

X. IGNACY POSADZY

# *Drogą Pielgrzymów*

W R A Ż E N I A

Z OBJAZDU KOLONIJ POLSKICH  
W POŁUDNIOWEJ AMERYCE

Z 40 ILUSTRACJAMI I 1 MAPKĄ  
WYDANIE CZWARTE (TYS. 31—40)

1938

4/i  
Dz T.

P O T U L I C E

NAKŁADEM SEMINARIUM ZAGRANICZNEGO

Ośrodek Postulatorski  
Towarzystwa Chrystusowego

## Przedmowa do pierwszego wydania

Mija 432 lat, jak na południowo - amerykańskim lądzie stał zwycięską stopę europejski zdobywca. Odtąd, ze skalistych gór Kastylii i z lesistych stoków Portugalii, poczynają spieszyć za Ocean coraz liczniejsze zastępy konkwistadorów. Spieszą, żądne złota i przygód. Na szczęście z katolickich wychodzą narodów! Więc ich duch katolicki hamulce kładzie na ich nienasycone żądze, rozprażone ogniem południowego słońca. Misjonarze - towarzysze przypominają im niestrudzenie, że dzicy, czerwonoskórzy tubylcy, to ludzkie istoty, co dusze mają nieśmiertelne. Nie wolno ich więc uciskać i wyzyskiwać! Sami zaś owi mężowie Boży stają się dobroczyńcami rozlicznych szczepów indiańskich.

Wśród zarosłych rozwałisk, na pograniczu Argentyny, Brazylii i Paragwaju, można jeszcze po dziś dzień podziwiać kulturalny wyczyn Jezuitów, uskrzydłony ofiarną miłością bliźniego.

Przychodzi kolej na cywilizatorską robotę Polaków pod koniec dziewiętnastego stulecia. Nastają czasy „gorączki brazylijskiej“. Idą nasi „Pielgrzymi“ — wychodźcy na podobój „Krainy Świętego Krzyża“. Idą w czystej intencji, z pieśnią pobożną na ustach. Duch ich nie krzepi się spuścizną dzikich konkwistadorów portugalsko - hiszpańskich. Raczej z ducha ofiarnych misjonarzy czerpie swą siłę.

Tam na Antypodach, nasi Pielgrzymi dobrze odczuwają potrzebę Ewangelii i Krzyża. Porzuceni na bezkresne kampsy i pampasy, czy między urocze góry, obnoszą ze sobą wszędy tęsknicę, nie tylko za krajem ojczystym, ale i za wiarą swych ojców. W cieniu palm i piniorów stawiają bożemki i przydrożne kapliczki, żywe pomniki tej wiary. Przed obrazem Częstochowskiej modlą się i wylewają swój ludzki ból i otuchę czerpią w twardej niedoli. Modlą się sami, jak umieją, boć często nie mają księdza, co by ich dusze krzepił na żywot wieczny.

Życie naszych Pielgrzymów za Oceanem, ich głód religijny i tęsknotę za ukochaną Ojczyzną, pragnie odmalować niniejsza książka. Wyrosła ona z objazdów po koloniach, z serdecznego obcowania z ludem, z wczuwania się w jego troski i bóle. Chce ona przedstawić dolę wychodzącą w barwnych obrazach, rzuconych na tęczową paletę przyrody południowo-amerykańskiej. Głęboka zaduma nad losem opuszczonych braci rzuca wprawdzie niekiedy leciutki kir-cichego smętku na te rozstonecznione wizje. Niezdolen on jednak przystoić mocarnej energii tych, co niby te polskie dęby wrastają w czerwony ład.

„DROGĄ PIELGRZYMÓW“ jest zbiorem wrażeń i studiów, opartych o mój dzienniczek podróży, który prowadziłem w czasie dwukrotnego swego pobytu w Ameryce Południowej, w r. 1929 i 1930—31. Są to niejako zdjęcia migawkowe ludzi i stosunków tamtejszych oraz przeżyć osobistych.

Właściwie to książka zbyteczna. Toć o Południowej Ameryce, a zwłaszcza o Brazylii, pisało już sporo wybitnych

polskich literatów i podróżników. Są to rzeczy doskonale i pod każdym względem wyczerpujące. Książki te były mi miłym przewodnikiem w czasie mych podróży. Rozczytywałem się i czerpałem z nich pełnymi garściami. Również i nasza literatura, poświęcona życiu chłopów, była mi pomocą, bo pozwoliła mi głębiej wejrzeć w bogate złoża i zakamarki psychiki ludowej.

Jest to książka niefachowa. Dużo w niej zjawisk, tkniętych tylko, których szczegółowe omówienie pozostawiam ludziom do tego więcej powołanym. Piszę ją poza tym człowiek, któremu nigdy się nie śniło o wydawaniu jakiejś książki.

Więc po co piszę?

Chcę szerzyć ukochanie sprawy Bożej i polskiej. Chcę potrafić w duszach młodych o strunę entuzjazmu i umiłowania ducha misjonarskiego. Chcę zwrócić uwagę na tych, co pod Krzyżem Południa myśli swoje, niby te mewy śnieżno-białe, w rodzinne wysyłają strony. Chcę wreszcie przystąpić się, choć w drobnej mierze, owej ośmiomilionowej rzeszy rodaków, co poza granicami Polski żywot wiedzie tułaczy.

W tych bowiem dniach do rąk moich dostała się odezwa J. Em. X. Kardynała - Prymasa dra Hlonda, Dostojnego Protektora polskiego wychodźstwa — w sprawie budowy Seminarium Zagranicznego:

„Na wychodźstwie giną dusze polskie! — Taka skarga płynie ku Polsce od dalekich siedlisk naszych tułaczy. Takim zarzutem obciąża zagranica sumienie Narodu. O kapła-

nów polskich woła i błaga osiem milionów Polaków na obczyźnie. Czyż mogłaby Ojczyzna odmówić opieki duchownej swym najnieszczęśliwszym dzieciom?

Mimo wszystko trzeba wykończyć i uruchomić Seminarium Zagraniczne w Poznaniu! Niech dla ratunku emigracji powstanie ten pomnik miłości chrześcijańskiej i polskiego patriotyzmu!“

Całkowity więc dochód z tej książki przeznaczam na budowę Seminarium Zagranicznego, w nadziei, że inni dorzucą swą czastkę. Niech jak najprędzej powstanie to wiekopomne dzieło misyjne. Niech się dźwiga gmach, który w dziejach naszego wychodźstwa tak wybitną ma odegrać rolę. Da Bóg, będzie to prawdziwa szkoła Bożych podchorążych, z których wyjdą młodzi kapłani o sercach gorących, buchających płomieniem miłości Boga i bliźniego! Oni to w świat szeroki pójdą „Drogą Pielgrzymów“ z hasłem szczytnym na ustach:

„Wszystko dla Boga i ukochanej polskiej  
rzeszy wychodźczej!“

Poznań, we wrześniu 1932 r.

## *Przedmowa do czwartego wydania*

Już IV wydanie „Drogą Pielgrzymów“ idzie w świat. Nakład 40 tysięcy wydanych dotychczas egzemplarzy świadczy wymownie o jednej rzeczy — bracia rodacy poza granicami Polski stają się coraz bliżsi sercu polskiemu. Fakt to radosny. Między Macierzą a Polonią zagraniczną coraz serdeczniejsze zacieśniają się węzły.

Dochód ze sprzedaży tej książki przyczynił się również w niemałej mierze do rozbudowy pożytecznego dzieła, jakim jest Seminarium Zagraniczne. Jedyna ta w swoim rodzaju polska placówka misyjna ma już za sobą 5 lat istnienia. Niezadługo wyruszą stąd pierwsze kadry misjonarzy wychodztwa polskiego.

Niech nowy nakład tej książki wzmoże jeszcze bardziej zainteresowanie 8-milionową Polonią Zagraniczną!

Niech to IV wydanie stanie się jeszcze jedną cegiełką, wmurowaną przez społeczeństwo polskie w kraju i za granicą pod gmach Seminarium Zagranicznego!

Oby błogostawieństwo Boże towarzyszyło książce i w dalszej jej drodze. Niech ją otoczy czułą opieką Wychodztwa Polskiego Królowa!

Potulice, w styczniu 1938 r.

## W szeroki świat

Przez niemieckie krainy. Męczeński naród. Highland Princess.  
U hiszpańskich wybrzeży. Okrętowi towarzysze. Nasze chłopaki.  
Lizbona.

Było to 11 sierpnia 1930 r. Brzask dzienny nie rozproszył jeszcze ciemności nocy, a miasto spało.

Nadjechał ekspres Warszawa—Paryż. Cały skąpany we mgle porannej, lśnił tajemniczo, prychając przy tym i sapiąc niesamowicie. Szczęśliwie ulokowałem swe liczne bagaże. Potem krótkie pożegnanie i ruszamy w daleki świat.

Otwieram okna. Wdycham na zapas woń polskich borów i pól. Mijamy wioski i sioła, budzące się do życia. Wreszcie *Z b ą s z y ń*. Krótki przegląd paszportów i dalej w drogę — za siódmą rzekę, za górę dziesiątą.

Jedzie też kilku Polaków. Są to przeważnie robotnicy, wracający z urlopu do Francji lub Belgii. Niektórzy po raz pierwszy w obce udają się strony.

Wincenty Słupek z Krzyżowa pod Tarnowem opowiada mi o ciężkiej doli robotników polskich w kopalniach pod *L e o d i u m*. Zarabiają wprawdzie nieźle, ale grożą im rozliczne niebezpieczeństwa.

„Taka tułaczka nikomu na dobre nie wyjdzie. Nie-jeden chłop się zmarnuje. A jak ciężko człowiekowi od-jżdżać z domu! Oż to serce polskie się krwawi!“

Mijamy B e r l i n, rozrastający się po wojnie do fan-tastycznych wprost rozmiarów. Spostrzegam, że Niem-cy z lubością wsiadają do polskich wagonów. Ba, prze-cież to istne cacka. Nowusieńkie, wykonane z wykwin-tem. Nie spotykałem takich wagonów nigdzie w Eu-ropie.

Niemcy palą zawzięcie i to prawie wyłącznie cy-gara. Nie wiem, czy ze zwyczaju, czy z powodu taniości towaru. Dość, że taki towarzysz podróży pyka i pyka, a ty siedzisz i dziwujesz się fantastycznym deseniom dymu.

Nad wieczorem ekspres, dudniąc, wjeżdża na o-gromny most żelazny na R e n i e. Jesteśmy w K o l o -n i i. Słońce zachodzi. Ostatnie jego promienie z lekka muskają katedrę — arcydzieło architektury — połysku-jąc rubinowym blaskiem.

Po północy zajeżdżamy do B r u k s e l i. Wysiadam, aby innym już pociągiem dotrzeć do morza. Nad ra-nem, na chybcika, zwiedzamy autem stolicę Belgii. Wszędzie flagi i jeszcze raz flagi. Przecież to stulecie niepodległości męczeńskiego narodu! Po krótkiej mo-dlitwie w katedrze, bogatej w rzeźby, oglądamy stare miasto, prastary ratusz i różne mogilniki wspomnień historycznych.

Na jednym z głównych placów stoi nowy pomnik bohaterskiej dziewczyny, G a b r i e l i P e t i t z T o u r -n a y. Gabriela bez trwogi spogląda w wyloty karabi-



nów niemieckich. Tak ją zaklął w marmurze artysta. Zarzucono jej zdradę, a ona z dumą poświęciła swe życie dla ojczyzny.

— Pokażę wam, jak kobieta belgijska umie umierać za swoich braci!

Te ostatnie jej słowa wyryto na cokole.

Pociąg unosi nas dalej.

Wreszcie Calais i Boulogne sur Mer. Na dworcu ogromny ruch. Luksusowe ekspresy bezustannie wyrzucają bogatych Anglików czy Amerykanów, jadących do różnych miejsc kąpielowych, zdaje się jednak, najwięcej do Karlsbadu.

Na zwiedzenie miasta nie pozostaje wiele czasu. Oglądam więc tylko stare bastiony i schrony, a potem wspinam się na wzgórze, gdzie w katedrze znajduje się cudowny obraz Matki Boskiej Bulońskiej. Żarliwie modłę się u Jej stóp, aby chroniła mnie w dalekiej drodze morskiej. Widzę tu sporą gromadkę pobożnych. Śnać Święta Panienska Bulońska zażywa tu wielkiej czci.

Załatwiam jeszcze ostatnie formalności w biurze linii okrętowej. Potem do portu, gdzie spotykam garstkę emigrantów z Polski, którzy odjeżdżają tym samym statkiem. Jest ich 12. Młode dębczaki, chłopcy naschwał, chcą popróbować szczęścia za morzem.

Wsiadam na mały statek portowy „Holland“. Ma on nas przewieźć do wielkiego transatlantyku „Highland Princess“, który zarzucił kotwicę poza molo portowym. Z powodu silnego przypływu i odpływu statki nie wjeżdżają do portu.

Była godzina wieczorna, gdy „Holland“ odbijał od brzegu. Deszcz lał przy tym jak z cebra. Wszystko to zepsuło efekt odjazdu. Nie było też nawet widać bla-  
dości twarzy, jak to zwykle bywa przy pożegnaniu. Po-  
woli zniknęło miasto, zniknął ład, a „Holland“, nie ba-  
cząc na nic, gnał pełną siłą pary w kierunku migoczą-  
cych świateł.

Zbliżamy się pod sam bok ogromnego motorowca „Highland Princess“. Przybycie nasze oznajmia we-  
sołą fanfara orkiestra pokładowa. Szybko lokują nas  
w przygotowanych już kabinach. Jakiś pasażer pod-  
nosi wielkie larum, że nie zabrano jego bagażu. Nie  
dopilnował tego, a więc jego wina. Pojedzie do B u e-  
n o s A i r e s tak jak stoi, a bagaż przywiozą mu za dwa  
miesiące. \* \* \*

Maszyny wydają przeciągły jęk. Przerażliwie  
grzmi syrena. Usuwają pomost. Śruby okrętowe po-  
czynają warczeć, zrazu wolno, a potem coraz szybciej.  
Wiatr huczy i gwizdże, jak gdyby chciał iść w zawody  
ze stukiem motorów. „Highland Princess“ wyjeżdża  
na pełne morze w ciemną, burzliwą noc...

W rześniętych oświetlonych salonach rojno i gwarno.  
Prawie sami Anglicy. Jadą głównie do L a s P a l m a s,  
na wyspy Kanaryjskie. Mają pieniądze, więc uciekają  
przed dokuczliwym chłodem i mgłą angielską. Przy-  
byciem naszym wcale się nie przejmują. Kurzą cuch-  
nące fajki. Tylko raz po raz wycedzą jakieś słowo.

Na mnie patrzą zrazu spode łba. Nie wiedzą, co  
to za duchowny, prawosławny czy katolicki. Jakiś  
odważniejszy jegomość, w skórzanej kurtce, podchodzi

do mnie i prosi o wyjaśnienie. Na drugi dzień odprawiam pierwszą Mszę św. na okręcie. Ustawiam ołtarzyk polowy w salonie. Nakrywam go ślicznie haftowanym obrusem, дарowanym przez poznański Związek Misyjny Polek. Ustawiam wazoniki z kwiatami.

Więcej obyci wchodzi i przypatrują się. Niektórzy nawet modlą się. Reszta zaś z fajką w ustach przez okna patrzy na święte obrzędy. Poprosiłem pierwszego oficera, aby oznajmił w osobnym komunikacie okrętowym, że Mszę św. będę odprawiał codziennie o siódmej rano.

Powietrze nieszczególne. Szczęśliwie jednak mijamy kanał La Manche i wszelkie niebezpieczne zatoki. Sporo ofiar morskiej podróży. Ludziska włączają się wymizerowani po pokładzie i raz po raz pochylają się w stronę morza. Ale to stary i niezbędny zwyczaj!

W oddali, jak sina mgła, majaczą brzegi Hiszpanii. Tysięczne światełka wskazują bliskość portu. „Highland Princess“ bierze kurs w tę stronę. Fale stają się coraz mniejsze. Okręt powoli i ostrożnie wjeżdża do portu. Jest to Vigo, znane miasto portowe, dokąd zawijają prawie wszystkie statki, jadące do Ameryki Południowej.

W Vigo zabieramy nowych towarzyszy niedoli i płyniemy dalej, wzdłuż wybrzeży Hiszpanii i Portugalii. Okryte szalem mgieł majaczą w oddali góry i zręby skalne. Ale wnet i one zlewają się z widnokregiem. I znowu tylko niebo i ocean bezkresny.

Wicher gwizdzie, a fale podnoszą się coraz większe, obryzgując z wściekłością boki naszego statku. „High-

land Princess“, statek nowiusieńki, bo odbywający trzecią dopiero podróż zamorską, kpi sobie z żywiołu. Niełitościwie pruje piętrzące się zwały wodne. Nie baczy na to, że niebo i strugi deszczu zlewają się w chaos nieprzenikniony.

A jednak, gdyby na drodze znalazła się jakaś skała podwodna! Nie na próżno wisi w kabinie zawiadomienie:

— Pasażer tej kabiny, w razie wydania rozkazu przez komendanta okrętu, udaje się do łodzi ratunkowej nr. 7. W chwili niebezpieczeństwa należy zachować równowagę i spokój!

Wczoraj odbyła się zbiórka z pasami ratunkowymi. Stanęliśmy w rzędach niby wojsko niezgorsze. Oficer dał krótkie pouczenie. Potem każdy kolejno nakłada pas. Dwie kobiety zemdlały. Może przeczyły coś złego.

Mewy zniknęły. Żarłoczne te ptaki są miłymi towarzyszami podróży morskiej. Podróżni chętnie zabawiają się z nimi. Raz po raz rzucają im żer. Ptaki zaś z piskiem i wraskiem puszczają się i w mig chwytają zdobycz. Czas jakiś sunęły za nami, walcząc z deszczem i wichurą. Następnie pokazały się burzyki, ptaki podobne do mew, barwy ciemnej, o skrzydłach silniej zbudowanych. Mimo burzy lekko wzbijały się nad maszty, po czym błyskawicznie spadały na wodę.

Pasażerowie „Highland Princess“ zdołali się już zaznajomić. Niektórzy są bardzo bezceremonialni. Taki sobie jegomość obchodzi kolejno wszystkich, opowiada jak spał i jaka jest pogoda, po czym zasypia w leżaku na górnym pokładzie. Inni znowu nie zawierają żadnych

znajomości. Chodzą godzinami po pokładzie, śpią, czytają, kurzą fajkę i spluwają w morze.

Są tu jednak ludzie bardzo inteligentni, z którymi można uciąć nie byle jaką pogawędkę. Jedzie więc np. p. L o w e , profesor konserwatorium z L o n d y n u , z córką jedynaczką. On, Wielki Mistrz jednej z łóż londyńskich, ona konwertytka, codziennie służy mi do Mszy św., na którą i ojciec przychodzi. Rozmawiam z nimi często o sprawach religijnych i podziwiam przy tym ich głęboką znajomość tych kwestii. Pan L. jedzie do B u e n o s A i r e s z występami muzycznymi, a córeczka odwozi tatusia do L a s P a l m a s ; potem wraca.

Zajmujący zresztą są ci Anglicy. Widać, że to naród, który nade wszystko kocha morze. Dowiaduję się bowiem, że część naszych towarzyszy podróży jedzie sobie, ot tak, byle jechać. Zajadą do Las Palmas, zrobią nieodstępny kodakiem kilka zdjęć i na drugi dzień wracają do Londynu. Ot, taki sobie „weekend“. I tak co roku. Nie dziw więc, że okręty angielskie zwykle w tym czasie są zapchane.

Powoli przyzwyczajamy się do porządku dziennego. Rano, wprost z łóżka, do łaźni z ciepłą wodą. Potem przechadzka po pokładzie. Zwyczajny jednak pasażer po kąpieli kładzie się do łóżka, wypija herbatę i zjada jabłko lub pomarańczę.

Po przechadzce, o godz. 7 Msza św., na którą przybywa coraz więcej pasażerów — nawet niekatolików. Niektórzy codziennie przystępują do Stołu Pańskiego.

O godz. 8,30 pierwsze śniadanie. Obwieszcza je strojny trębacz po wszystkich zakątkach okrętu. Wygrywa coś w rodzaju pobudki. I tak popisuje się przed każdym jedzeniem. Po śniadaniu tenis, krokiet, ping-pong itd., około jedenastej zakąski, po czym znowu sport i czytanie książek. O godz. 1 drugie śniadanie i drzemka. Nieodzwony „five o clock“, kolacja i dancing. Sport i jedzenie, oto najgłówniejsze, zdaje się, zajęcia angielskich naszych towarzyszy.

W trzeciej klasie od wczoraj większy ruch. W Vigo zabraliśmy 120 emigrantów hiszpańskich.

— Co to są za ludzie, te Szpanioki? — pytają do brotliwie nasze chłopaki.

Już się z nimi jako tako zaprzyjaźnili. Rozmawiają wprawdzie na miği, ale powtarzają, że są „amigos“ — przyjaciółmi. Przyjaźń ta wyjdzie im zresztą na dobre. Jadą przecież wszyscy do Argentyny, a tam, jak wiadomo, mówi się po hiszpańsku. Oprócz wykładów religijnych i oświatowych, które im stale wygłaszam, uczę ich języka hiszpańskiego, choć sam mało go posiadam. Uczymy się więc razem.

W trzeciej klasie są jeszcze i inne narodowości — nawet Turcy.

Pewnego razu zastałem Michała Pyndzyna z Balic, powiatu żydaczowskiego, grającego w domino z Turkiem Arhan Salihem. Byli tak zajęci grą, że mnie nawet nie zauważyli. Arhan irytował się i powtarzał:

— No, dali Micho!ł!

Michał zaś Turkowi wyjaśniał najpoprawniejszą turecczyznę: „icz“ — 3, „bes“ — 5!

Miłą rozrywką jest obserwowanie przeróżnych stworzeń morskich. Od czasu do czasu z wody wysuwa się ciemny grzbiet rekina. Wszyscy są tym widokiem podnieceni. Każdy czyni swe uwagi na temat chytrości tego potwora morskiego. Raz po raz też ukazują się stada delfinów, które koziołkując, ścigają się ze statkiem.

Ostatnia noc jest spokojniejsza. Ludziska tłumnie wylegają na pokłady. Orkiestra gra w salonach. Z pokładu trzeciej klasy dochodzą dźwięki gitary i fletu. Smętna piosenka hiszpańska płynie w gwieździstą, cudowną noc.

Rano przybywamy do L i z b o n y. Jak zwykle, obległa nas istna szarańcza łodzi z przekupniami. Rozpoczyna się hałaśliwy targ. Ofiarowują nam owoce, korale, jedwabie, a nawet części umeblowania. Żądane ceny kurczą się w mgnieniu oka do 25 proc.

Dźwigi i żorawie okrętowe, pędzone siłą elektryczną, wypływają na wielkie transportowce skrzynie i beczki z najróżniejszą zawartością. Inne znowu wciągają towary na statek, po czym pogrążają je w przepastne głębiny kadłuba okrętowego.

Miasto zbudowane amfiteatralnie. Za nim widać urocze jakieś gaje, a dalej błękitnieją góry, spowite w mgłę.

Miasto wielkie, pełne zabytków. Poza tym takie same ulice, wystawy jak w Rzymie, Paryżu lub Berlinie. Indywidualność wielkich miast zaciera pokost kosmopolityczny. Drobne tylko szczegóły mówią nam, że jesteśmy w P o r t u g a l i i. Przede wszystkim bije w

oczy owa bujna roślinność południowa. Na placach oryginalne klomby i zakurzone wachlarze palm. Ludzie zadziwiająco żywi, wiecznie gestykujący. Są niskiego wzrostu i bardzo uprzejmi.

Ładnie też wyglądają owe tysiące balkoników, umieszczonych przy każdym prawie oknie i tonących w powodzi jaskrawych kwiatów.

Wracamy na statek. Oblegają nas natarczywie chłopcy z pamiątkami. Dowcipnie zachwalają swój towar i nie odczepiają się, dopóki nie kupisz choć drobnostki. Wiedzą przecież dobrze, że angielski okręt nie byle jakich wiezie pasażerów.

Przeraźliwy świst syreny. Maszyny poczynają pracować. Wyjeżdżamy z portu na pełne morze. „Highland Princess“ leciutko pruje toń zatoki, gładką jak tafla lustrzana, i płynie w daleki świat.



## *Na pełnym Oceanie*

Maskarada. Wyścigi konne na morzu. U steru. Dzień Maryjny. Stolica kanarków. Wśród krętych uliczek. Nurkujące wisusy. Magnaci. Siwiuteńcy entuzjaści. Ryby latające. Na równiku. Pod Krzyżem Południa. Ziemia.

Lizbona pozostała za nami. Zniknął wreszcie i ład. Spotykamy sporo statków większych i mniejszych. Obok nas przepływa nawet jakaś łódź podwodna. Marynarze stoją na wzniesionym pomoście i machają białymi czapkami. Stalowy ten rekin pruje z łatwością nieruchomą, turkusową powierzchnię wód, a bieg jego znaczą srebrne skazy na gładkim zwierciadle oceanu.

Atlantyk względnie spokojny. Nie milknie jednak nigdy. Zawsze śpiewa swą pieśń bojową, raz ciszej, raz głośniejsz, zależnie od nastrojów.

Pokłady zaludniły się mrowiem ludzkim. W trzeciej klasie teraz dużo życia i rozgwaru. Wzniesli go Hiszpanie i kilku Portugalczyków. Bawią się, co się zowie. Urządzają coś w rodzaju maskarady. Na czele kroczy zaimprovizowana orkiestra flecistów i bębni-  
stów, uderzających w próżne blaszanki od konserw. Za orkiestrą podąża cała kawalkada chłopaków, śpiewających w takt muzyki. Przysłuchują się im pasażero-

wie innych klas, no i delfiny, co ciekawe swe paszcze wychylają z odmętów.

W pierwszej klasie odbyły się wczoraj wyścigi konne. Tak, prawdziwe wyścigi. Rumaki były wprawdzie drewniane. Mimo to nosiły nazwy znanych koni angielskich, a pociągały je sprawne ręce marynarzy. Pasażerowie robili zakłady i tak bawili się do późnej nocy.

A noc była przecudna. Niebo zasiane gwiazdami, woda lśniła jakby wysrebrzona. Za statkiem sunął jasny szlak, w którym zapalały się i gasły istne orgie światła i światełek.

Zjawisko to powodują drobne żyjątka morskie. W szczególności zaś t. zw. „baccilus phosphorescens“. Wrażenie potęguje się przez wzburzenie wody, poruszanej silnymi obrotami śrub okrętowych. Jeśli zaś przez ten szlak świetlany przepływają wielkie ryby, wytryskują jakby fontanny zielono-niebieskawego światła.

Toteż trudno zejść do kabiny. Co za urok w tym oceanie! Teraz dopiero rozumie się zachwyty poetów, którzy jego piękno i potęgę zaklęli w nieśmiertelnych swych rymach. Człowiek w pewnych chwilach rozumie mowę tego żywiołu i zbliża się doń coraz bardziej. Śmiejemy się nieraz z opowieści żeglarzy, że coś ich woła z głębin w czasie burzy. Słusznie. Ocean żyje i ma swe tajemnice.

Idę do mostku komendanta. Tam na dole ludzie się bawią. Tutaj czuwa przenikliwie oko pierwszego oficera. Na stoliku mapy, różne zegary i przyrządy. Wkoło światełka czerwone, zielone. Ster trzyma starszy podoficer.

Oficer wskazuje mi na mapie miejsce, na którym się znajdujemy, objaśnia mi sposób użycia niektórych przyrządów. Onieśmielony proszę go, aby pozwolił uchwycić ster. Drżącymi rękami chwytam ów mózg okrętu. Kieruję według wskazań iglicy. Przez pięć minut „Highland Princess“ słucha nakazów mej woli. Dziwna tedy radość rozpiera moją pierś.

\* \* \*

Wczoraj było święto Wniebowzięcia Matki Boskiej. Mszę św. odprawiłem na pokładzie trzeciej klasy, pod gołym niebem. Zebrali się emigranci i katolicy pasażerowie drugiej i pierwszej klasy. Rzewne to było nabożeństwo. Słońce pełnymi blaskami zlewało pokład i ludzi. A i ocean poszumem swym nucił pieśń Maryjną. Tym razem śpiewali tylko Hiszpanie, jako że są najliczniejsi i najwięcej zgrani. A pieśni ich płynęły w rozświetlony błękit nieba i szły przed Maryi tron. Raz po raz dały się słyszeć szlochy, a w czasie podniesienia powtarzały się jęklive wołania: „Jesu, miserere nostri! Maria, ora pro nobis!“

Po południu ujrzeliśmy znowu ląd. Podjechawszy bliżej, zauważyliśmy nagie, czarne ściany skalne, a za nimi niebotyczne szczyty gór w oprawie mgieł. Ponure wrażenie potęgowało wzburzone morze, rozbijające się u brzegów. Niedługo potem zawinęliśmy do portu Las Palmas, stolicy wyspy G r a n C a n a r i a oraz wszelkich innych wysp t. zw. Kanaryjskich, stanowiących osobną grupę wulkaniczną.

W starożytności nazywano je *Insulae Fortunae*. Jakiś czas należały one do króla kartagińskiego

go J u b y II. Po nim w Las Palmas pozostały dziwne pomniki psów. Prawdopodobnie żyli tu jacyś nadzwyczajni przedstawiciele psiej rasy. Dlatego też Rzymianie nazwali je „Canaria“ („canis“ — pies). Zdaje się jednak, że nazwa ta pochodzi od poczciwych kanarków, których tu niezliczone mnóstwo.

Dodać jeszcze należy, że wyspy Kanaryjskie — tak samo jak A z o r y — są szczytami zaginionej A t l a n t y d y.

Ledwośmy zarzucili kotwicę, a już na pokład jęły się wdzierać różne indywidua z tytułem kupców czy faktorów. Porozkładali dywany wschodnie, jedwabie chińskie, perły, korale, wyroby ceramiczne. Nie było jednak amatorów, bo wszyscy prawie wyroili się do miasta. Większa część podróżnych opuściła statek na stałe.

Spędzą tu wakacje lub pozostaną tak długo, dopóki do Anglii nie zawita maj. Wszak wyspy te mają najidealniejszy i najzdrowszy klimat na świecie. Temperatura nie przekracza tu nigdy plus 30 st. Cels. i nie spada poniżej plus 14 st. Cels. A i słońca tu bardzo wiele.

Z portu jedziemy do miasta tramwajem. Miasto rozciąga się na dwóch wzgórzach i w leżącej między nimi kotlinie.

Zachodzimy najpierw do starej części miasta. Jest tam pełno krętych uliczek. Na tych uliczkach wre życie od samego rana. Tu i ówdzie porozstawiane stragany z owocami. Piękne, duże jak śliwki winogrona nęcą przechodnia. Na drążkach wiszą banany i ana-

nasy. Wszędzie pełno brudnych dzieciaków. Wyciągają zasmolone łąpięta i natarczywie proszą o jałmużnę.

Tam znów opalony Kanaryjczyk prowadzi wielbłąda. Tu kobiety piorą bieliznę w ścieku. Opodal jakiś obdartusek o wielkich, czarnych oczach zachwala chłodniki — limoniadę, lub też kawałki lodu o anyżowym smaku, zatknięte na drewnianych patyczkach.

Idziemy do katedry. Jest to okazała budowla z r. 1497. Posiada dwie wieże. Prawa ma nawet dźwig elektryczny. Z wysokości 70 m roztacza się śliczny widok. W dali widać zawsze zielone plantacje bananów, pomarańczy, mandarynek i trzciny cukrowej. Na tle plantacji rozsiane są białe chatki tubylców.

Katedra nosi wyraźne cechy budownictwa hiszpańskiego. Wnętrze jest dość zajmujące. W środku znajduje się chór marmurowy. Za kratą żelazną widać starodawne brewiarze i antyfony. Bogato złożone ołtarze połyskują setkami drogich kamieni. Sporo też grobowców i pomników po zasłużonych hetmanach narodu. Przy katedrze wielki plac, pełen okazów sztuki ogrodniczej.

Bardzo ciekawe jest muzeum kanaryjskie. Są tam nagromadzone cenne skarby przyrody i kultury tych wysp. W kilku salach mieszczą się wykopaliska. Widać tam mumie, zaszyte w kozie skóry, ceramikę z zabawkami sztuki pierwotnej, stroje, łuki, amulety.

Niemniej ciekawe są wałace się po części kapliczki. W nich to modlili się dawniej wychodźcy, udający się do Ameryki Południowej. Tu bowiem okręty zatrzy-

mywały się przez dłuższy czas, aby naprawić szkody wyrządzone przez burze. A modlili się gorąco, bo, jak na owe czasy, droga była niepewna i zdradliwa.

Kupujemy pamiątki. Pieniądze angielskie przyjmują tu chętniej, niż miejscową p e z e t ę hiszpańską. Ludność znajduje się w niewoli finansowej Anglików. Po ulicach zresztą rozbrzmiewa angielszczyzna niczym w Londynie.

Wracamy do portu. Okręt nasz otoczyła czereda nagusów. Jak żaby pływają w wodzie. Gestami i krzykami dopraszają się, aby rzucić im monetę do wody. Gdy pieniądz spadnie, od razu wszyscy dają nurka w pogoni za monetą. Zwycięzca z uśmiechem pokazuje zdobywcę po czym ją wkłada do ust. Inni znowu wchodzą na górny pokład i z wysokości 14 metrów skaczą do wody. Pomiędzy nimi jakiś dziewięcioletni dzieciak.

Bardzo natarczywi byli handlarze kanarków. Ptaszka te cirlikały i gwizdały w maleńkich klatkach. Tak się nam wydawało u góry. Gdy zaś jeden z pasażerów wyciągnął z łodzi klatkę z małym śpiewakiem, wybie dzony, zielony wróbelek patrzył żałośnie i nie wyglądał na to, aby z jego gardziołka wychodzić miały tak piękne trele. Widocznie właściciel jego z łodzi klaskał i gwizdał zamiast wynędziałej ptaszyny.

Maszyny wydają jęk przeciągły. Majtkowie usuwają pomosty. „Highland Princess“ drży, jakby się lękała niebezpiecznej toni.

I znowu niebo i morze! I znowu seledynowo-zielone fale uderzają o burtę. Wlewają się na pokład

ogromnymi strugami słonej wody. Miotają się w swej bezsilności, pienia się ze złości.

I tak będzie przez całe dziesięć dni, zanim ujrzymy słoneczne brzegi dalekiej Brazylii.

Na statku teraz pustki. Przeto przestronniej i swobodniej. Garstka pozostałych stanowi jak gdyby jedną rodzinę. Wspólnie gawędzą i bawią się. Ludziska otwierają swe serca, wylewają radości i bóle.

M. in. wracają inżynierowie angielscy z wakacji. Pracują w różnych wielkich fabrykach argentyńskich. Głównie jednak zajęci są w wielkim i bogatym przedsiębiorstwie kolejowym „Ferrocarril Pacifico” należącym, jak wszystkie prawie linie kolejowe w Argentynie, do towarzystw angielskich. Pięciomiesięczne wakacje i wolną podróż do Europy otrzymują tylko co pięć lat. Materialnie mają się nieźle. Zarabiają przeciętnie 100 funtów angielskich miesięcznie.

Oni to opowiadają dużo o stosunkach argentyńskich. Urzędnicy, choć na ogół dobrze opłacani, nie zawsze odznaczają się sumiennością. I tak np. jedyna państwowa linia kolejowa wykazuje rok rocznie ogromne niedobory. Natomiast z linii angielskich wpływają grube miliony.

Jadą bogaci właściciele plantacji kawy w Brazylii. I tutaj bowiem dociera wszechwładny kapitał angielski. Są niezadowoleni ze spadku cen na kawę. Wymyślają na rząd brazylijski, że mało posiada inicjatywy. Z drugiej zaś strony żalą się, że ludzie dzisiejsi za mało piją kawy.

— Proszę tylko pomyśleć — denerwuje się p. Frank v. Hopkins z Mattâo — ostatnio zebrałem 100 tys. worków kawy. Jakże stąd wynikną straty!

Czym prędzej zapala fajkę i odchodzi. Potem długą chwilę biega nerwowo tu i tam.

Jedzie też p. James Corguodale z żoną. Oboje siwiuteńcy jak gołąbki. On liczy sobie 89 lat, a ona 8 lat mniej. Mieszkają w Bahia Blanca w Argentynie. Wracają z rodzinnej Szkocji, gdzie odwiedzili znajomych i dokąd jeżdżą co rok, co dwa.

— Panie, pytam raz staruszka — czy nie męczy Pana podróż morską?

— Proszę księdza — odpowiada mi — morze to żywioł, który z żoną najwięcej kochamy. Na morzu dopiero człek odżywa. Wsłuchany w jego wiekuiastą pieśń, staje się lepszy. Ono każe mu zapomnieć o drobiazgach życia codziennego. Ono wskazuje mu wieczność!

I tak bez końca zapalał się, jak gdyby w natchnieniu. Opowiadał mi, że w czasie wojny światowej nie mógł zażywać przyjemności podróży morskiej z powodu niebezpieczeństwa, grożącego ze strony patrolujących niemieckich łodzi podwodnych. Myślał, że nie przetrzyma. Tak tęskno mu było za morzem!

Widuję staruszków codziennie, jak prowadzą się za ręce. Przystają i wpatrują się w morze. Wpatrują się w białe grzbiety piany, co ustawicznie biją o burty. Milczą i z radością patrzą na żywioł ten przeogromny. Potem szepcą coś sobie do ucha i idą dalej. A ocean rzuca falę za falą i bryzgi brylantowe, co okręt kołyszą



— jakby z radości, że ktoś zrozumiał i pokochał jego wiekuiłą pieśń.

Emigranci się nudzą. Z początku zachwycali się morzem, to znowu życiem na okręcie. Przypatrywali się z ciekawością pracy marynarzy. Słuchali z lubością koncertów południowych i wieczornych. Jedzenie smakowało im lepiej, aniżeli w domu. Wszystko to już im się sprzykrzyło.

„Prose Ojca, kiedy będzie ta Brazylia?“ — pytają się ciągle.

Poza tym gorąco daje się im porządnie we znaki. Na niebie ciągle słońce. Szaleje i oślepia. Jego ultrafioletowe, prostopadłe prawie promienie gotowe są uśmiercić każdego śmiałka, który by się ukazał bez nakrycia głowy. Toteż ludziska włóczą się z kąta w kąt, szukając cienia.

Gdy opowiadam im o Brazylii i Argentynie, są trochę zaciekawieni. Słuchają a potem zarzucają setkami pytań.

Z hiszpańszczyzną dotąd kiepsko. Trudno im przyswoić sobie dziwaczny dla nich język. Jakoś do głowy nie wchodzi. Ale też nie dziw, bo upały ubezwładniają człowieka. Jednak każdy z nich zna już liczby do 20 no i — „buenos dias, senor“ — dzień dobry, Panu!

19 sierpnia przejeżdżał tuż obok nas wielki transatlantyk „Asturias“, należący do linii Royal Mail. Zdążał z Argentyny do Southampton. Emigranci wybiegli na pokład. Zaczęli powiewać chustkami i przypatrywali mu się przez lunety. Szczegół ten zdołał ich od razu zelektryzować. Niestety, takie szczęście mieli

raz tylko jeden. I znów wróciła szarzyzna dnia: morze i bezkresny błękit nieba.

Często pokazują się ryby latające. Dziwaczne te stworzenia chmarami całymi suną nad powierzchnią morza. Owe ryby latające są wielkości dużego śledzia. Mają łuskę srebrzystą i posiadają silnie rozwinięte pletwy piersiowe. Podnoszą się z wody zazwyczaj wtedy, gdy grozi im niebezpieczeństwo ze strony większych ryb. Lecą prosto, lecz nieraz zmieniają kierunek obranego lotu.

Mamy cudowne zachody słońca. Kto żyje, wychodzi na górny pokład i w niemym wzruszeniu ogląda owe dziwy Boże. Patrzy, a przed nim wśród opalowo-złotej poświaty toni morskiej znika kula ognista, mieniając się wszystkimi kolorami tęczy. Potem chmurki, morze, niebo palą się jak rubiny. A potem — głucha zapada noc.

20 sierpnia mijamy równik, to miejsce na ogromnej dyni-ziemi, kędy — jak opowiada Pan Balcer:

*Na równe świat się dzieli połowy,  
Tak odmienione, że słońce gdy gaśnie,  
Z jednej, to z drugiej świat się rusza nowy.*

Upał dochodzi do zenitu. Niebo żar i płomień śle.

*Już nigdy mokrej nie obaczysz liny.  
Już się na masztach żywica aż smaży  
I w krwawozłote ocieka bursztyny.  
Bieleje niebo, zaś pomost zapala,  
A morze ciężko, jak war, się przewala.*

Mimo wszystko starym zwyczajem odbywają się uroczystości neptunowe. Rano pobudka. Marynarze w dziwacznych mundurach wygrywają skoczne melodie. Na ich czele kroczy Neptun w złotej koronie z trójzębem w prawicy. Asystuje mu Pani Neptunowa, pisarz i dwóch czarnych policjantów.

Rozpoczyna się chrzest nowicjuszy. Wpierw jednak Neptun wyraża swe oburzenie na tych wszystkich, co bez jego zezwolenia ważą się mącić królestwo boga wszelkich mórz i oceanów.

Potem następuje mydlenie neofitów, golenie ogromną brzytwą i „clou“ uroczystości — wrzucanie ich kolejne do wielkiej kadzi z wodą.

Potem ogólne opryskiwanie się morską wodą, jak to u nas w dyngus bywa. Jednakże słońce w okamgnieniu wysusza ubrania.

Ochrzczonym wydaje Neptun barwne dyplomy na znak, że odtąd swobodnie krążyć mogą po wszelkich wodach, nad którymi on dzierży odwieczne panowanie.

Wieczorem uroczysty obiad, a potem bal do późnej nocy. Na drugi dzień dalszy ciąg uroczystości: zawody, wyścigi pań o premie, łykanie wody morskiej itd.

Minęły uroczystości, zmniejszyły się upały. Wracamy do starego trybu życia. Msza św., lektura, przechadzki, wykład u emigrantów i krokiet lub golf.

Wieczorami przypatrujemy się innym już gwiazdozbiорom. Zamiast Wielkiej Niedźwiedzicy przyświeca nam sławny „Cruzeiro do Sul“ — Krzyż Połud-

nia. Obok zaraz czernieją „Saccos de Carvão“ — Worki Węgla. A księżyc szerokim szlakiem olśniewa bezdenne wody oceanu.

W takie wieczory puszczam w ruch maleńki mój gramofonik z polskimi płytami. Są to różne mazury, obertasy i kujawiaki. Nie brak wyjątków z „Halki“, „Straszego Dworu“ i innych oper polskich.

Anglicy kiwają głowami. Mówią, że nie wiedzieli, by muzyka polska była tak cudowna i oparta na odrębnych zupełnie motywach.

Chętnie też słuchają deklamacji polskich. Niektórzy z nich twierdzą, że język nasz podobny jest do włoskiego. Inni, że do francuskiego. O Polsce prawie nie mają pojęcia. Dostojewskij, Tołstoj to według nich Polacy.

Kończy się morska tułaczka. Odprawiam dziękczynną Mszę św. za szczęśliwie odbytą podróż.

Za trzy godziny mamy ujrzeć brzegi słonecznej Brazylii. Wszyscy gromadzą się na pokładzie. Każde serce promienieje nadzieją. W oczach wyraz oczekiwania. Wtem — słowo „Ziemia“ idzie z ust do ust. I rzeczywiście na nieboskłonie niewyraźnie rysują się skaliste brzegi owej ziemi wymarzonej.

Po paru godzinach wpływamy pomiędzy ogromne zręby skalne zatoki Guanabary. Mijamy nadbrzeżne forty. W słońcu połyskują stalowe wieże pancerne. Z dala widać zalane słońcem szczyty Pão do Assucar i Corcovado, na którym ustawiono posąg

Chrystusa — największy na świecie. Potem coraz dokładniej rozróżniamy dzielnice i wreszcie ulice brazylijskiej stolicy.

Białą swych marmurów, malachitem swych ulic i placów wita nas najpiękniejsza stolica na świecie, „miasto wiekuistej wiosny“ — uroczę Rio de Janeiro.

*Królowa stolie*

Uprzywilejowany zakątek. Orgie barw i zieleni. Nowe Rio.  
Bondy. Awenidy. Miasto wiekuistej wiosny. W rajskim  
ogrodzie. Anima naturaliter catholica.

Było to w przeddzień naszego przyjazdu do Brazylii. Po wieczery wszyscy wychodzimy na górny pokład. Wieczór cudowny. Niebo roziskrzzone gwiazdami. Rozmowa toczy się dokoła owej ziemi obiecanej, którą jutro mamy oglądać.

P. Marqueida Souza, Portugalczyk, pyta się mego sąsiada, podtatusiałego Chilijczyka, czy widział już Rio de Janeiro.

— Owszem — brzmi odpowiedź — ale powiem panu jeszcze coś. Kiedy Pan Bóg stworzył świat i pełnymi rękoma obsypał go swymi dary, wszystkie te piękności i skarby spadły na jeden zakątek. Tym szczęśliwym zakątkiem jest właśnie Rio.

Sąsiad mój miał rację. Przekonali się o tym zresztą wszyscy na drugi dzień. Stali prawie nieruchomi, wpatrując się z rozrzewnieniem w owe cuda Boże. — Morze o barwie szafiru, niebotyczne góry, setki wysepek. Wszędy wachlarze palm, a w cieniu ich pyszne pałacyki. Orgie barw i zieleni. Wszystko jak w bajce.

A miasto? Owa półtoramilionowa stolica Brazylii wykwintem i przepychem stara się dostosować do bajkowego otoczenia. Szerokie awenidy, wysadzone palmami. Gmachy rządowe i prywatne o kolumnach i rzeźbach antycznych.

Jest i stare miasto o wąskich uliczkach, jak Rua Theofilo Ottonio, Rosario, S. Pedro, General Camara. Życie tu wre. Składy, magazyny i składziki obok siebie — bez drzwi i szyldów. Sterty towarów, obok nich kupcy bez surdutów. Ruch i gwar, wesołość, dowcipy. Nie ma jednak owej nerwowej gonitwy za pieniądzem, która cechuje kupców, zwłaszcza północno-amerykańskich.

Brazylianie ma czas. Nie sprzeda dziś, to sprzeda za tydzień. „Paciencia“ — cierpliwość, oto hasło mieszkańców „krajiny Świętego Krzyża“.

Niedaleko starego miasta buduje się nowe Rio. Praca Floriano Peixoto — to jego zaczątek. Tu wznoszą się nie byle jakie drapacze chmur. Ot takie domki sobie o 14, 16 czy 20 piętrach. Na pierwszych piętrach mieszczą się zazwyczaj luksusowe kina z urządzeniem prawdziwie komfortowym. Po ścianach i dachach tych domów przewalają się wieczorami potoki oślepiających światła reklamowych. Szkoda, gdyż psuje to nastrój i szpeci całość obrazu. Lecz taki już los wszystkich wielkich miast.

Znajduję się tuż nad brzegiem morza. Siadam więc do tramwaju, aby obejrzeć sobie owe awenidy nadmorskie. Przecież to chluba i duma każdego „Carioca“ — mieszkańca Rio de Janeiro. — Tramwaje — „Bondy“

są naturalnie otwarte. Mają one I i II klasę. Do pierwszej wolno wsiąść tylko pasażerom przyzwoicie ubranym. Oznaką owej elegancji, która daje prawo do klasy pierwszej, może stanowić chociażby pomięty kołnierzyk. Druga przewozi wszystkich. Jest jednak znacznie tańsza, gdyż kosztuje tylko 100 rejsów<sup>1)</sup>). Za owe marne rejsy można przejechać Rio wszerz i wzdłuż. A przecież to nie bagatela, skoro miasto ciągnie się na przestrzeni 50 km.

Wzdłuż wozów tramwajowych bieżą schodki, po których wchodzi się do środka. Po nich też uwijają się z akrobatyczną zwinnością brazylijscy tramwajarze. Biletów nie ma. Gdy już zapłaciłeś, tramwajarz pociąga za sznur i na zegarze wyskakuje numer kolejny. Ile numerów, tyle wieczorem oddaje pieniądze.

Czasem jednak nie pociągnie, choć pasażer zapłacił. Mówią, że zdarza się to dość często. Wówczas to rejsy pozostają w jego kieszeni. Dosłownie w kieszeni, torb nie noszą, a pieniądze wsuwają do wszystkich czterech kieszeni kamizelki.

Pierwsza awenida B e i r a M a r ciągnie się na przestrzeni 4 kilometrów. Palmy, pałace wielmożów tego świata. Po lewej zaś urwisty brzeg, to znowu plaża żółta, piaszczysta. A fale Atlantyku, wesoło igrając, uderzają o brzeg, a czasem przelewają się po gładziutkim asfalcie.

---

<sup>1)</sup> Milrejs — moneta brazylijska, dzieli się na 1000 rejsów. W r. 1930 milrejs równał się mniej więcej złotemu. Obecnie, wskutek dewaluacji, 1 milrejs równa się 65 groszom.



I inne znowu awenidy łączą się z sobą: Praia do Russel, Flamengo. Kończy je Praia Atlantica. I tam wszędzie pałace i wille.

Rano tu rojniej. Całe rodziny maszerują do morza w strojach kąpielowych. Lubownicy porannych kąpeli nadchodzą lub przyjeżdżają nawet z dalszych ulic. I tak przez cały Boży rok. Latem i — zimą!

Tak, bo Rio to „miasto wiekuistej wiosny“. Tu zawsze pełno zieleni i zawsze ciepło. Jeden jedyny raz w bieżącym roku były „trzaskające mrozy“. Termometr wskazywał 16 st. ciepła. Ludzie się trzęśli z zimna. Mówili, że to chyba kara Boża. Popijali gorącą kawę i szli do morza!

Mój sąsiad w tramwaju obserwuje mnie, jak wchłaniam w siebie te dziwy. Zapytuje, czy mi się to podoba.

Wyrażam swój zachwyt: „Uma vista esplendida, brilhante“. Jest tym wzruszony. Prosi, abyśmy zeszli. Następnie wynajmuje samochód i pokazuje mi osobliwości miasta. Cieszy i raduje się jak dziecko. Taki to już Brazylianie. Grzeczny i gościnnie do przesady.

W końcu jedziemy do Ogrodu Botanicznego. I tu znowu wrażenie imponujące. Idziemy aleją wysokopiennych palm królewskich. Zdaje się, że to kolumny jakiejś świątyni. Zamiast sklepienia pióropusze palm i ten bezkresny błękit nieba, rozpięty nad nimi.

Dalej rzucają nam się w oczy drzewa żelazne z liśćmi drobnymi, jak u akacji. Drzewa kauczukowe, mimozy i 600 gatunków palm wszystkich kształtów i odcieni wabi nas swym urokiem. A drzewa te po części

oplecione pnączem rozmaitym. Obfitość „epiphytów“ — należących do rodzin ananasowych czy storczykowych, naprawdę zadziwia. Krzewy, pnącze i drzewa w pełnym rozkwicie, bo oto wiosna się zbliża. A do tego świergoty ptasząt, bławatników, kowali i bemtevis. I wszystko to u stóp ogromnej góry. Naprawdę kawałeczek rajy na ziemi, kędy przyroda śpiewa potężny psalm na cześć Boga-Stwórcy.

Milrejs spada. Wydawałoby się, że taka zniżka sprowadzi zamieszanie, protesty i komentarze w prasie. Nic podobnego. — Milrejs spada, a nikt się tym nie przejmuje. „Paciencia“ — cierpliwości, wreszcie się przecież poprawi. Mimo zniżki, nic tu nie drożeje, przeciwnie, ceny na różne artykuły spadają.

Zniżkę milrejsa spowodował spadek cen kawy na rynku światowym. Za worek kawy (60 kilo) jeszcze niedawno płacono 200 i więcej milrejsów. Dziś już tylko 70. Magazyny pełne. Na zbyt czeka przeszło 20 milionów worków. Toteż część zapasów zniszczono, a wszędzie rozpowszechnia się odezwy, nawołujące do zmniejszenia produkcji.

Robi się ciepło. Gdzie tylko spojrzeć, sprzedają lody. Napoje zazwyczaj mrożone. Miejscami ludzie chętnie piją „caldo da canna“ — wyciśnięty i zamrożony sok z trzciny cukrowej.

Owoce tu również mają powodzenie. W sklepach jednak nie ma pomarańczy, bananów oraz ananasów. To owoc zbyt pospolity. Sprzedaje je przekupka na przedmieściu. Za to podniebienie Brazylian łechcą różne „egzotyczne“ jabłka, gruszki i polskie ziemniaki.

Ludzie są tu religijni. Do religii odnoszą się z wielką czcią. Modlących spotyka się w kościołach o każdej porze. W niedzielę kościoły są przepełnione. Tylko, że nabożeństwa odbywają się w trochę inny sposób. Msza św. zawsze cicha. Za to na chórze wspaniałe sola i inne popisy. Kaznodzieje lubują się w pięknych zwrotach, za co nieraz nawet w kościele zbierają pochwały.

Dowodem tej religijności ostatnia Komunia św. wielkanocna, do której w Rio przystąpiło jednego dnia około 1000 osób, przedstawiciele warstw kierowniczych, tak ze świata urzędniczego, jak naukowego i literackiego.

Buduje się dużo nowych kościołów. Na przedmieściach, gdzie niedawno ciemnym gąszczem szumiała nieprzebyta puszcza, dziś krzyże lśnią na wieżyczkach nowiuteńkich świątyń. A i w centrum miasta dźwigają się potężne gmachy, poświęcone chwale Bożej.

Dusza Brazylijanina jest „naturaliter catholica“. Mimo spotykanej tu czasem obojętności, w tej duszy panuje prawdziwie Bóg.

## *Na szczytach*

W wagoniku kolejki linowej. Urka. Nad Atlantykiem. Cuda Boże. Na szczyt Corcovado. Gościnnie mulat. Największy na świecie. Odsłonięcie pomnika. Brazylia u stóp Chrystusa.

W drugim dniu pobytu w Rio wybieramy się na szczyt P â o d e A s s u c a r, słynnej „Głowy Cukrowej“. Jedziemy tuż nad brzegiem Atlantyku, po czym wtańczamy się w zaciszne uliczki. Mkniemy w cieniu palm, wśród rzędów drzew brakatingi i mimozy. Jak w kalejdoskopie, przesuwają się przed nami przytulne domki w najrozmaitszych stylach, przymilne ogródki, w których kwitną pomarańcze i róże.

Dojeżdżamy do stacji końcowej. Wagonik kolejki linowej już czeka. Przyłączamy się do grona turystów angielskich i wsiadamy.

Ruszamy powoli. Prawie nieznacznie wzbijamy się w górę; coraz dalej, coraz wyżej. Domy maleją. Place, awenidy, ulice wyglądają jak lśniące sznury. Niektórych strach chwyta za gardło. A my wciąż płyniemy w rozelśniony błękit nieba, coraz wyżej, wyżej.

Dojeżdżamy do Urki. Jest to niejako podnóże Góry Cukrowej. Motorowy opowiada nam, że przed paru tygodniami Urka zapchana była mrowiem ludz-

kim, gdyż nad zatoką i miastem krążył po raz pierwszy niemiecki sterowiec, który przybył tu wprost z Europy.

Urka ma bujną roślinność. Gęste zarośla trzciny, takuary tworzą fantastyczne girlandy. Egzotyczny obraz wypełniają palmy i drzewa z gatunku bigonii, paproć drzewiasta i bambusy. Niektóre z nich kwitną, toć zbliża się wiosna. Istny zgiełk kolorów i odcieni. Melodyjnie śpiewają tangary, podsrokosze. Wielkie żuki przesywają powietrze. Nad nami latają ogromne motyle, mające skrzydła malowane srebrem i złotem. Przyroda śpiewa cichą symfonię na cześć swego Stwórcy. A w dole Atlantyk przewala swe fale, które spienione uderzają o zręby skalne i znowu wstecz się cofają. Rzucają bryzgi, dokoła huczą razem z poświstem wiatrów i nucą mocarny hymn na Jego cześć.

Inny wagonik kolejki linowej wiezie nas już na sam szczyt. Cichy zgrzyt w uzębieniu górnych kół, co ślizgają się po linie stalowej. Pod nami Atlantyk spieniony, szalejący. Krew się ścina w żyłach, bo nużby lina pękła lub sprzęgła się zerwały! Jesteśmy na wysokości 400 m. Ale płyniemy coraz wyżej, wyżej i wyżej!

Przed dwoma laty wydarzył się w tym miejscu straszny wypadek. Motorowy od samego początku okazywał jakieś dziwne zaniepokojenie. Lecz nikt nie przypuszczał, że nosi się z myślą samobójstwa.

I nagle wyskoczył... Wagonik stanął. Pasażerowie struchleli. Panie mdlały. Co się teraz stanie? Nie szczęście jednak zauważono i wysłano inny wagonik. Pasażerowie przesiedli się i obyło się bez zbiorowej ka-

tastrofy. Inna rzecz, że niektórzy poważnie to odchorowali.

Wreszcie dojeżdżamy do celu. Stawiamy pierwsze kroki na Pão de Assucar. Potem wchodzimy na szczyt wieży obserwacyjnej.

Wszyscy prawie oniemieli z podziwu. Prawdziwe cuda Boże. Tam wspaniała stolica brazylijska wśród gór o dziwacznych kształtach i widok na dalekie Góry Organowe, majaczące w dali. Tu zatoka, wyspy i ocean bezkresny. Na nim wielkie okręty, olbrzymy, które płyną w stronę Afryki lub Europy, wydają się jak zabawki dziecięce.

A jeszcze tu cudniej w ciemną noc, gdy u dołu płoną miliony świateł i światełek. Istne fontanny świetlne nad brzegami Atlantyku.

Dobrze jest przebywać tutaj, bo człowiek odradza się duchowo. Radości, smutki, zawody — wszystko tu maleje, rozplywa się i znika. Człowiek czuje się bliskim Boga. Rozumie Jego potęgę i dobroć nieskończoną, że pozwala oglądać owe dziwy prawie nadziemskie. To też mimo woli łączy swe modły z wiekuiłą modlitwą wszelkiego stworzenia.

Nazajutrz wyruszamy na szczyt góry Corcovado.

Jadę tramwajem na przedmieście Aguas Fereas. Jadąc, przyglądam się osobliwościom miasta. Wtem przystępuje do mnie konduktor i pyta po polsku:

— Jegomość pewnie z Polski? Tak mi się wydaje.

Opowiada mi, że nazywa się Antoni Banachowski i że pochodzi spod Lublina. W Brazylii jest już 20 lat. Powodzi mu się dobrze.

Dojeżdżamy do stacji końcowej. Stąd też wjeżdża osobna kolejka zębata na górę Corcovado. Jest jeszcze czas, więc chodzę sobie po ulicy. Staję przed małym sklepikiem z owocami. Leżą tam całe sterty bananów, ananasów i pomarańczy. Gospodarz, mulat, ról biały, pół czarny, zaprasza, by wejść. Od razu podaje talerz i kładzie na stole najpiękniejsze owoce.

Jedz, padre, jeżeli smakuje.

Skorzystałem z zaproszenia. W końcu, kiedy chcę płacić, pieniędzy nie przyjmuje.

— Był to dla mnie zaszczyt, odpowiada z uśmiechem.

Co prawda, takie owoce jak banany, pomarańcze kosztują tu grosze tylko.

Wagonik górskiej kolejki zabiera nas ze sobą. Towarzystwo liczne. Przeważają Anglicy i Francuzi. Powoli jedziemy w górę. Wspinamy się w licznych zakrętach po północnym, potem zachodnim zboczcu góry. Z okienka wagonu widać na przemian to gęstą ścianę lasu, to znowu miasto i morze. Widok coraz piękniejszy. Las jakiś dziwnie odrębny. Palmy, mimozy, drzewa gumowe i żelazne o listkach drobnych jak u akacji. W słońcu wydawało się wszystko, jakby utkane z płynnego złota. Do tego ta woń rozlicznych krzewów kwitnących i ziół!

Stajemy na wysokości 700 m. Idziemy pod wspinały pomnik Chrystusa, projektu Landowskiego.

Ale co za pomnik! Wysokość jego wynosi 32 m. Rozpiętość ramion 12 m. Palec wskazujący prawej ręki przeszło 1 m. Pomnik już na ukończeniu. Pracuje

tam kilkudziesięciu robotników. Ogromne żurawie wciągają do góry żelazo, cement, marmury. Święte oblicze jest ukończone. Majestat, boskość bije z niego. Chrystus zwrócony w stronę miasta i oceanu. Ręce ma rozkrzyżowane, jakby chciał wszystkich do siebie przyciągnąć, co tam u jego stóp żyją i umierają.

Twarz taka wyraźna, a usta takie żywe! Zdaje się nam, że za chwilę się otworzą i wypowiedzą owe Boskie słowa:

„Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i obciążeni jesteście, a ja was ochłodzę!“

Później, po wykończeniu, umieści się wzdłuż pomnika tysiące światełek, co świecić będą przez całą noc. Okrętom na pełnym morzu będzie Chrystus jaśniejący drogowskazem, a ludziom w mieście i w dalekiej dolinie — przypomnieniem.

Patrzmy przed siebie. Widok najpiękniejszy może na świecie. Dlatego twierdzą Brazylijanie, że szatan, kusząc Chrystusa, przywiódł go właśnie na górę Corcovado i ukazał mu wszystkie królestwa ziemskie.

Gwar tu żaden nie dochodzi. Ani szum morza, ani głos ludzki. Jeno żurawie żelazne skrzypią monotonnie. Chmury pachną i niesione lekkim wietrzykiem otulają nasze stopy. Milczymy, oniemiemi potęgą i ogromem piękna. Raz po raz tylko bezwiednie z niektórych piersi wyrwie się: „Oh, que c'est merveilleux!“ — o, jakie to cudowne! To znowu: Jaki wielki jest Bóg!

Naprawdę dobrze nam tu... Chciałoby się w nieskończoność przedłużyć chwile pobytu. Ale słońce zapada. Palą się szczyty pobliskich gór. Więc na pożegnanie



klękamy u stóp Chrystusowych, a z ust naszych wyrywa się gorące westchnienie:

„Królowi wieków nieśmiertelnemu, niewidzialnemu, samemu Bogu, cześć i chwała na wieki wieków.“

\* \*  
\*

Odśłonięcie pomnika odbyło się w dniu 12 października 1931 r.

W przeddzień tego święta na polu S â o C h r i s t o v a n w obecności 50 biskupów i setek tysięcy wiernych odprawiła się Msza św. pod gołym niebem. Dwadzieścia tysięcy mężczyzn przystąpiło do Stołu Pańskiego.

Nazajutrz uroczysty spokój ogarnął rozbawione zwykle Rio. Świąteczny nastrój zapanował wszędzie. Umilkł hałas, zamarły fabryki, maszyny stanęły w niemym bezruchu, jakby w zrozumieniu zbliżającej się wielkiej chwili.

Wzgórze C o r c o v a d o pokryło się mrowiem ludzkim. Nad stokami unosiły się dziesiątki samolotów. Krążyły nad posągiem Chrystusa i róże nań rzucały czerwone i białe. Okręty wojenne na morzu poruszały się wolno, z flagami pochylonymi ku górze Corcovado.

Nadszedł najważniejszy moment uroczystości. Rozbłyśły reflektory, zapaliły się tysiące świateł, kiedy Marconi w Rzymie dotknął przycisku elektrycznego. Wśród odgłosu strzałów armatnich, X. Kardynał Sebastian Leme dokonał w tej samej chwili poświęcenia posągu.

— Chrystus zwycięża, Chrystus panuje — tak kończył swe przemówienie kardynał brazylijski.

— Ponieważ Chrystus panuje, krzyż nigdy nie będzie upokorzony, ani też wykorzystany z naszej Ojczyzny. Ażeby zgasić wiarę w Brazylii, trzeba by wznieść się pod niebiosy i zgasić wszystkie gwiazdy. Musiałby chyba nastąpić wstrząs ziemi lub morza, który by zdołał osiągnąć Chrystusa Zbawiciela na Corcovado. Musiano by podciąć granit Corcovado, Corcovado serc...

— Chrystus panuje w tym państwie, a na ziemi, na której króluje Chrystus, powinni wszyscy miłować się wzajemnie...

Na ziemi, gdzie Chrystus panuje, nie może istnieć tyrania rządu, ani też kapitalizmu...

— Narodzie brazylijski, „Chrystus zwycięża, Chrystus rządzi, Chrystus panuje“ i Brazylii bronić będzie od wszelkiej złej przygody...

## *Życie polskie w stolicy*

Poselstwo polskie. W pałacyku nad morzem. Polonia. Życie gospodarcze. Literatura i sztuka. Dla Polski.

Polaków spotkamy w każdym wielkim mieście na obu półkulach. Znajdujemy ich więc i w stolicy brazylijskiej. Rodacy nasi skupiają się tu już od kilku dziesiątków lat, gdyż Rio de Janeiro jest pierwszym wielkim portem na drodze z Europy do Ameryki Południowej i jest stolicą największego państwa w tej części świata.

Przez miasto to przewinęły się już całe gromady Polaków. Szli i poszli dalej. Nie zadowalały ich warunki klimatyczne i gospodarcze. Szli do stanów bardziej południowych, do środowisk emigracji europejskiej. Pozostali tylko najśmielsi, tworząc zaczątki kolonii polskiej.

Polaków tu osiadłych będzie zaledwie tysiąc. Na ogólną liczbę 200 tysięcy Polaków, przebywających w Brazylii, stanowi to więc mały tylko odsetek.

Większość ich należy do kategorii miejskiego proletariatu. Są to po większej części robotnicy i rzemieślnicy. Pracowników umysłowych znajduje się nie wielu.

Główną ostoją tutejszej kolonii jest poselstwo polskie i stowarzyszenie „Polonia“.

Poselstwo rozpoczęło swą działalność w roku 1920. Dnia 27 kwietnia tegoż roku przybył do stolicy pierwszy minister pełnomocny R. P. śp. Ksawery Orłowski. Witają go uroczyście delegacje zarówno polskie jak i brazylijskie. Nad gmachem poselstwa przy rua Senador Vergueiro zawisł Orzeł Biały. Od razu też podniosło się znaczenie kolonii polskiej. Przedtem Brazylianie mawiali często: „Polonia sem bandeira não vale nada“ — Polska bez sztandaru nic nie znaczy. Teraz poczęto Polaków więcej poważać.

Obecnie p<sup>o</sup>łem R. P. jest p. dr Tadeusz Grabowski. Poselstwo od kilku miesięcy mieści się w ładnym pałacyku tuż nad Atlantykiem na Praia do Botafogo. Na parterze znajduje się wydział konsularny, kancelaria, archiwum, biblioteka i mieszkania dla służby. Na piętrze zaś gabinet posła, prywatne jego mieszkanie i salony recepcyjne.

W gmachu tym swojsko i miło. Znać, że tu Polski kawałek. Liczne szczegóły dekoracyjne o cechach narodowych, polskich robią miłe wrażenie. Kilimy, maty buczaćskie, wyroby porcelanowe z Pacykowa, historyczne drzeworyty i dzieła polskich malarzy dopełniają całości.

Tutaj zbierają się wybitniejsi członkowie kolonii polskiej z okazji różnych uroczystości. Przybyli więc przede wszystkim na uroczystość ogłoszenia niepodległości Polski, schodzą się w każde święto narodowe, na Nowy Rok itd. Stale znajdują tu opiekę prawną i kul-

turalną. Stąd też wychodzi inicjatywa dla różnych poczynań.

Przyznać należy, że poselstwo tutejsze obsadzono ludźmi odpowiednimi, którzy pracą i poświęceniem umieli zdobyć sobie zaufanie zarówno Polaków, jak i Brazylijanin. Są co prawda i malkontenci, ale wszystkich zadowolić niepodobna.

Drugą ostoją kolonii w Rio jest towarzystwo polskie „Polonia”. Na jego czele stoi obecnie, po ustąpieniu p. prof. dr Radeckiego, p. Nowicki. „Polonia” skupia z górą 130 członków czynnych. Posiada śliczny lokal, opłacony przez poselstwo. Tu się zbierają Polacy każdego wieczora. Gawędzą, bawią się i czytają, przez co utrzymują w sobie ducha polskiego.

Jest też dość duża biblioteka oraz czytelnia pism, których prenumeruje się kilkanaście. „Polonia” urządza obchody narodowe, bale i zabawy, zazwyczaj łącznie z obchodami. Niektórzy członkowie, jak np. p. prof. Radecka, prowadzą dla przyjezdnych bezpłatne kursy języka portugalskiego. Nie zapomina się też o tych, których choroba pozbawiła pracy. Zorganizowano dla nich osobną pomoc lekarską w jednym z tutejszych ambulatoriów przy udziale pracujących tam Polaków. Po wyzdrowieniu otrzymują zapomogi lub pożyczki.

Towarzystwo polskie reprezentuje tutejszą kolonię wobec cudzoziemców. Delegacje jego biorą udział w różnych uroczystościach międzynarodowych i obchodach.

A jaki jest udział Polaków w tutejszym życiu gospodarczym? Oczywiście niewielki, gdyż emigracja na-

sza rekrutuje się głównie z rzesz robotniczych i rzemieślniczych. Niektóre tylko jednostki umiały się wybić własnym wysiłkiem i zorganizować własne warsztaty pracy.

Pierwsze przedsiębiorstwa polskie powstały tutaj 40 i 30 lat temu. Franciszek Krause, pochodzący z Łodzi, założył własny warsztat rymarski, a potem przeniósł się na import skór z zagranicy. W tym też czasie rozpoczął samodzielną działalność przedsiębiorcy budowlani, Stanisław Przybylski i Teodor Michalski.

W r. 1908 rozpoczął samodzielną działalność nestor kolonii rioskiej, Jakób Kosiński. Skład jego maszyn drukarskich mieści się przy rua Buenos Aires, jednej z głównych ulic miasta i należy do największych składów polskich. Prócz tego jest jeszcze kilka pomniejszych, jak Kegel Ska, dom handlowy, oraz Michael Ska, import i fabrykacja wyrobów galalitowych. Kilku zaможniejszych robotników polskich, jak Modzelewski, Reszkowski, Starzyński założyli fabryczkę włókienniczą; jednakże z powodu braku kapitału fabryka ich na razie jest nieczynna.

Są też Polacy, którzy nie mają samodzielných przedsiębiorstw, lecz pracują jako przedstawiciele firm zagranicznych. Jest również kilka drobnych warsztatów rzemieślniczych. Są to jednak przedsiębiorstwa początkujące.

W ostatnim czasie na rynkach tutejszych pojawia się polski cement i węgiel. Węgla sprowadzono w roku 1933 100 tys. tonn. Niedużo wprawdzie, ale miły to początek.

A udział Polaków w literaturze i sztuce?

Z pisarzy polskich znani są tu szerzej Sienkiewicz i Ossendowski, których dzieła przetłumaczono na język portugalski. O Mickiewiczu, Słowackim i Krasińskim wiedzą tylko w kołach specjalistów. Z malarzy znają tu Matejkę i Wyspiańskiego, z muzyków Paderewskiego, Rubinsztajna, Kochańskiego i Hubermana. Paderewski bawił tu w roku 1912. Brazylianie urządzili mu gorącą owację. Wśród okrzyków „Viva a Polonia independente“ — Niech żyje Polska niepodległa — wynieśli Mistrza z sali koncertowej na rękach. Była to największa propaganda polskości.

Ze stałych pracowników na polu sztuki, osiadłych w tutejszej stolicy, wymienić należy rzeźbiarza Jana Żaka. Jest on twórcą frontonu pałacu parlamentu oraz dekoracji w różnych gmachach rządowych i prywatnych. On też stworzył pomnik „Siewcy“ — ofiarowany Brazylii przez kolonie polskie. Nagrodzono go szeregiem medali i odznaczeń. Malarz Brunon Lechowski jest tu niemniej ceniony. Wystawa jego obrazów, urządzona przed niedawnym czasem, cieszyła się dużym powodzeniem.

Na polu wyłącznie naukowym pracuje psycholog p. prof. dr Radecki. Jest on naprawdę chlubą nie tylko Polski i Brazylii, ale całej Ameryki Południowej. Od roku 1925 wykłada psychologię w uniwersytecie tutejszym oraz w Akademii dla lekarzy wojskowych. Poza tym stworzył pracownię psychologiczną, wyposażoną tak bogato, jak może żadna inna w Ameryce Południowej.

Odwiedziłem go na Ingenio Dentro. Oprowadzał mnie po swym laboratorium, pokazywał, objaśniał. Podziwiałem, co za energia a przy tym inteligencja nadzwyczajna. Z laboratorium tego wyszło dotychczas 25 prac z dziedziny psychologii teoretycznej i stosowanej. Pisał je sam lub też jego asystenci. Jest ich aż 12. Wśród nich znajduje się również żona jego, p. profesorowa Halina z Peplowskich Radecka. Tyle pracy, a jednak oboje znajdują czas, aby zająć się tutejszymi Polakami. Stać ich zawsze na kilka wykładów lub lekcji języka miejscowego dla początkujących.

Gdy opuszczaliśmy laboratorium, zapadł już wieczór. Idziemy aleją wysmukłych palm. Obok nas przelatują ogromne ćmy — motyle. Z dala dochodzi odurzający zapach kwitnących pomarańczy. Cała atmosfera tchnie dziwnym urokiem.

— Proszę księdza — przerywa naraz milczenie nasz uczoney — namozolę się, napracuję właściwie dla obcych, a jednak to wszystko czynię ku większej chwale naszej drogiej Ojczyzny.



## Kraina Ducha Św.

„Alves Rodriguez“ opuszcza stolicę. Burza. Victoria. Miasto bez troski. Polak sekretarzem biskupa. W biskupim pałacyku. W sanktuarium na wzgórzu. Koleją w głąb kraju. W dolinie Słodkiej Rzeki. Sensacja w miasteczku.

Skończyły się dni mego pobytu w stolicy Brazylii. Rozejrzałem się, nagromadziłem sporo informacji co do ludzi i stosunków tutejszych. Trzeba było jechać dalej — na sam front, kędy chłop polski bój zawzięty toczy z odwiecznym borem dziewiczym.

Było to w połowie września. W porcie czekał nieduży „Alves Rodriguez“ z Lloydem Brazylijskiego. Parowczyk ten wybierał się w drogę do stolicy stanu Amazonas — *M a n a o s*. Dziewięć dni miał płynąć wzdłuż brzegów brazylijskich. Siedem dni zaś miały go kołysać ciepłe wody królowej rzek — „Amazonki“.

Deszcz pada od samego rana. Zmoknięci ludziska tłoczą się przy wejściu na statek. Rozpychają się, aby jak najprędzej schronić się do kabin i sal. Są to kupcy, żołnierze, robotnicy, koloniści. Wśród nich znajduje się kilka rodzin polskich. Przybyły niedawno z Polski. Jadą w te same strony, co ja — ku wybrzeżom Słodkiej Rzeki. Świeże rezerwy, mające wzmocnić stan polskiego posiadania na północy Brazylii.

Deszcz pada, a muzycanci okrętowi grają na umór. Rzępola i bębnią, aż uszy bolą. Z muzyką tą łączy się świst syreny. „Alves Rodriguez“ wyjeżdża na pełne morze.

Wiatr gwizdże, a morze huczy. — Spienione fale uderzają o burty naszej łupinki.

Przelewają się przez pokład. Ludzie chorują, aż strach patrzeć. Z kabin i sal wydobywają się tłumione jęki. Tak to bywa: „A kto chce rozkoszy użyć“ — niechaj wyjedzie na ocean takim sobie liliputkiem.

Gong na próżno wzywa na obiedni posiłek. Kucharki i kucharze śmieją się w kułak, boć jedzenia nie przygotowali. Wiedzą dobrze, że ochotników nie będzie.

Na drugi dzień Atlantyckie nieco się uspokaja. Wymizerowani pasażerowie zjawiają się w jadalni. Z rozkoszą zapijają czarną kawę, chrupiąc twarde suchary.

— Ale jeśli to potrwa całe 17 dni, to chyba pomrzemy — mówi mi jakiś Brazylijczyk, który wybiera się nad Amazonkę.

Gdyby morze było spokojne, to taka przejażdżka mogłaby być nielada przyjemnością, a przy tym nawet niedrogą. Przecież bilet I klasy do stolicy „Amazonas“ kosztuje niecałe 700 milrejsów. A za pieniądze te dają schludną kabinę, jedzenie wykwintne i komfort znaczny.

Znowu zbliżamy się do brzegów. Z dala widać dzikie, poszarpane grzbiety górskie, o dziwacznym kształtach. Wjeżdżamy powoli wąziutkim przesmykiem do Zatoki Capichaba. Po obu jej stronach

rozłożyło się miasto Victoria, stolica stanu Espírito Santo, czyli krainy Ducha św.

Znowu rewizje celne i badanie wykazów osobistych jako że to inny stan. Wychodźców naszych lokują w osobnym domku emigranckim. Goszczą ich tam i przyjmują owacyjnie. Zależy im przecież bardzo na naszych pionierach, co pójdą w ich dziewicze lasy.

Ów stan św. Ducha ma 48 tys. km kwadratowych powierzchni. Mieszkańców zaś liczy zaledwie pół miliona. Przeważają Brazylijanie europejskiego pochodzenia. Jest też sporo murzynów, metysów i mulatów. Wszyscy żyją w najlepszej zgodzie i pokoju.

Miasteczko robi wrażenie miłe. Ludzie chodzą tu zawsze zadowoleni, bez troski o jutro. Po cóż się troskać, kiedy przyroda taka litościwa. Nie masz mieszkania, to wyśpisz się pod palmą na trawniku miejskim. Boć przecież tu zawsze ciepło i przyjemnie. Nie masz co zjeść, to zawsze się znajdują banany czy pomarańcze, które w dodatku prawie nic nie kosztują.

Biskupem jest tu Benedicto Paulo Alves de Souza. Kapłan to wykształcony, który swe studia odbywał w Lowanium i Rzymie. Rozum ma bystry a serce głębokie. Niestety często zapada na zdrowiu, przeto rządy diecezji sprawuje właściwie X. Józef Lidwin, jego sekretarz.

Składam wizytę X. Biskupowi. W poczekalni spotykam mnóstwo ludzi. Są tam kupcy, robotnicy, panie z towarzystwa. Przeważają jednak ludzie z lasów i puszczy głębokiego „interioru“ — prowincji. Mają oni wygląd trochę zbójceki. Ubrani jaskrawo, noszą wiel-

kie ostrogi u butów, kapelusze o szerokich rondach, za pasem pistolet zawsze nabity i „facão“ — rodzaj bagnetu.

Niektórzy z czekających trzymają w ręku jakiś upominek dla biskupa. Są to zazwyczaj drobiazgi — ła-kocie, kwiaty, wiktuały.

Opowiada mi X. Lidwin, że ludzie tu przychodzą do biskupa z byle jaką sprawą. Najczęściej jednak zdarzają się zaproszenia w „k u m o t r y“ i formalne odwiedziny t. zw. „visitas“.

Ksiądz biskup przyjmuje zawsze owe zaproszenia. Jest już ojcem chrzestnym dość licznej czeredki swych diecezjan. Gdy nie może pójść, zastępuje go w tej zaszczytnej funkcji X. Józef.

Jeśli chodzi o kabokli, czyli ludzi leśnych, to przychodzą oni, żeby biskupa zobaczyć choć jeden raz w życiu.

Wchodzi sobie taki prostaczek leśny z gracją prawdziwego granda portugalskiego do pokoju biskupa. Klepie go tutejszym zwyczajem po ramieniu i wita go ceremonialnym:

„Senhor bispo, como vae?“ — Jak się ksiądz biskup miewa?

Po czym rozmawia chwilkę i wychodzi rozpromieniony i szczęśliwy. Wróciwszy teraz do swoich, opowiada, jak to biskup go przyjął i z nim rozmawiał. I wszyscy w całej okolicy wiedzą, że João czy Pereira widział biskupa, — a że tu ludzie bujną mają wyobraźnię — to nawet dodają, że biskup pokazywał mu wszy-

stkie kościoły w stolicy i nie chciał go puścić, a w końcu odprowadził go daleko za miasto.

X. Lidwin, Polak urodzony w Brazylii, pełni funkcję sekretarza już od kilku lat. Biskupi tutejsi zresztą chętnie powierzają ten odpowiedzialny urząd Polakom. I tak biskupi w Matto Grosso, Goyaz mają sekretarzy Polaków. A sekretarz biskupa to wielka tutaj rzecz. Jest to zarazem zastępca w czasie jego nieobecności. — Nie ma tu bowiem ani wikariusza generalnego, ani kapituły. Diecezja bowiem liczy zaledwie 35 księży, przeważnie zakonnych.

Po wizycie w pałacu biskupim X. Józef pokazuje mi nową katedrę, która jest na ukończeniu. Wszystkie sprawy budowy spoczywają na jego głowie. Poza tym jest on jeszcze rektorem największego sanktuarium kraju — bazyliki Matki Boskiej Bolesnej na górze P e n h a. Mieści się tam cudowny obraz w wielkim ołtarzu. Bazylika, zbudowana na skałach i głazach granitowych, stanowi jeden z najpiękniejszych zabytków sztuki północnej Brazylii.

Wchodzi się do niej po setkach kamiennych schodów wśród palm i egzotycznych drzew podzwrotnikowych. Dopiero na wysokości 180 m rozpoczynają się mury warowne, otaczające wspaniałą świątynię z trzech stron. Jedna strona nie potrzebuje osobnego muru. Tam granitowa ściana prawie prostopadle spada do oceanu.

Schodzą się tu pielgrzymki z dalekich często stron, aby uprosić sobie potrzebne łaski. Spotkałem właśnie taką pielgrzymkę z S a n t a C r u z. Było wśród nich

sporo murzynów. Wszyscy z wielką wiarą korzyli się u stóp Maryi. Przynieśli dla Niej wota i świece. Po czym z pieśnią na ustach wracali do domu.

Z Wiktorii jedziemy koleją w głąb kraju. Są tu tylko dwie klasy — pierwsza i druga. Jadą również i nasi wychodźcy. Przewodzi im p. dr Biernacki z Lublina, lekarz nowych kolonii polskich w krainie Ducha św. Przyjechali umyślnie po nich do Wiktorii.

Krajobraz typowo brazylijski. Góry, pagórki, rzeczki, strumyki. Mniejsze lub większe plantacje kawy i bananów, poprzerzynane palmowymi gajami. Wille, chatki ubogie lub tylko szałas, nakryte liśćmi z palmy butiji, przy tym małe obejście — oto zwyczajne domostwa tutejszych mieszkańców.

Towarzystwo nasze w wagonie — to farmerzy, drobni handlarze lub też urzędnicy. Gestykulują żywo i jedzą pomarańcze. Dzieci zaś urządzają sobie ślizgawkę na skórkach od pomarańczy i bananów. Nikt im tego nie broni. Dziecko w Brazylii to świętość. Pozwala mu się na wszystko.

Na maleńkich stacyjkach pociąg zatrzymuje się na chwilę. Pasażerowie wybiegają i piją czarną kawę lub zjadają „doce“ — słodycze. Po czym gwizd maszyny. Wszyscy pchają się do wagonów i machają chusteczkami w stronę tych, co pozostają. „Até a volta! Até logo!“ — do widzenia — rzucają im na pożegnanie.

Pociąg znowu pędzi nad przepaściami. Przelatuje po mostach dudniących. Wreszcie, rozbujawszy się, osiąga w swym biegu punkt kulminacyjny — 30 km na godzinę.

Naraz przeciągły gwizd parowozu i nagłe szarpnięcie. Wśród pasażerów panika! Za późno! Pociąg przejechał krowę!

Spuszczamy się do doliny Rio Doce — Słodkiej Rzeki. Wzdłuż ogromnego jej koryta ciągną się nieknięte jeszcze lasy dziewicze. Lokomotywa gwizdże i dzwoni. Wjeżdżamy ostrożnie w główną uliczkę miasteczka Collatina.

Wszystko co żyje, wychodzi na ulicę i z ciekawością ogląda przybyszów.

„Polaccos, padre polacco!“ — Polacy, ksiądz polski — wołają jeden do drugiego.

Jest godzina dwunasta. Idziemy więc wprost do maleńkiego kościółka tuż obok stacji.

Wpadam na plebanię i proszę o pozwolenie odprawienia Mszy św. Proboszcz, stary kapucyn, Włoch, gotuje właśnie obiad. Odkasuje rękawy, myje sobie ręce, potem wita się serdecznie. Przywołuje chłopca, ministranta i zakrystiana w jednej osobie, po czym razem przygotowują wszystko, co potrzebne.

Modlimy się szczerze. Wychodźcy nasi wzdychają sobie, prosząc Boga o pomoc. Wszak za chwilę pójdą w odwieczny bór. Pójdą na ciężki znój. Z siekierą i z różańcem w ręku. Oby ich pracy błogosławił Najmiłościwszy Bóg!

## *Do najmłodszej kolonii*

Towarzystwo Kolonizacyjne. Pierwsze transporty. Niebezpieczny most. Wśród Indian. Niemiecki mineralog. Jadowity wąż. Urok dziewiczego lasu. Wyrwidęby.

Z Collatiny jadę do nowych kolonii polskich w *Aguia Branca*, co znaczy Orzeł Biały. Objazd kolonii polskich w *Espirito Santo* rozpoczynam od „Orła Białego“, ponieważ nigdy jeszcze nie było tam księdza.

*Aguia Branca* to najmłodsza kolonia polska w Brazylii. Powstała dzięki staraniom Towarzystwa Kolonizacyjnego w Warszawie. Towarzystwo to jest instytucją, założoną w celu czynnego wykonywania prac kolonizacyjnych na terenach, uznanych za odpowiednie przez polskie władze w Warszawie.

Z ramienia tegoż towarzystwa bawił w Brazylii w roku 1927 zasłużony jego prezes, p. Gilicyński, w celu zbadania warunków kolonizacji. Istniały wówczas różne pomysły kolonizacyjne. Przeważało zdanie, że wychodztwo polskie należy skierować głównie do czterech południowych stanów Brazylii, to jest do *Rio Grande do Sul*, *Santa Catharina*, *Parana* i *São Paulo*. W stanach tych bowiem Polakowi najłatwiej dostosować się do warunków klimatycznych. Stany te jednak zaczęły



stawiać bardzo niedogodne warunki i do porozumienia nie doszło.

Dlatego też p. Giliczyński udaje się do Espirito Santo i Minas Geraes i rozpoczyna pertraktacje. Szczególnie przychylnie traktują propozycje prezesa towarzystwa władze stanowe Espirito Santo, gdyż zależy im na zaludnieniu pustych terenów. Znają przy tym Polaków jako dobrych kolonizatorów. Mieszka tam bowiem sporo Polaków z dawniejszej jeszcze emigracji.

W październiku 1923 r. obie strony podpisują umowę. Rząd espiritosanteński oddaje Towarzystwu 50.000 hektarów dziewiczego lasu na północ od Rio Doce — Słodkiej Rzeki, z prawem osadzenia 1800 rodzin rolniczych w ciągu 8 lat. Umowę tę ratyfikuje Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej w Warszawie w dniu 25 lutego 1929 roku.

Pierwszy transport przybył tu przed rokiem. Koloniści poszli w głąb lasów i osiedli nad rzekami P a n c a s, S ã o J o s è, R i o C l a r o. Pierwszą osadę nazwali „Orłem Białym“, jako że swój twardy znój rozczęli pod znakiem Orła Białego.

Następowały dalsze transporty. Zjeżdżał tu chłop polski spod Wilna, Łomży, Lublina, Stanisławowa. Może tam w kraju nie starczyło chleba, a może i szczęścia popróbować chciał za oceanem. I jest tu dziś razem około 100 rodzin polskich i ruskich.

Z zaciekawieniem więc jadę w te strony. Towarzyszy mi p. dr Biernacki, lekarz kolonii.

Przejeżdżamy przez Słodką Rzekę. Rzeką ta ma około 500 m szerokości. Prowadzi przez nią nowy most

żelazo-betonowy. Zdaje się, że nie jest on jeszcze wykończony. Są tam bowiem tylko luźne deski, a poręczy nie ma żadnych. Aż w głowie się kręci, gdy patrzy się z mostu na rwący prąd rzeki. Trzeba mieć spokój istic brazylijski, aby uniknąć katastrofy. Niedawno spadła z tego mostu jakaś kobieta. Chciała wyminąć samochód, posunęła się za bardzo na brzeg — i stało się nieszczęście. Przedtem jeszcze wpadł do wody pewien jeździec wraz z koniem.

Wjeżdżamy w dziewiczy las. Przy drodze raz po raz spotykamy maleńkie osady. Mieszkańcy ich rąbią wysokopienne drzewa. Inni palą wyschnięte już poręby. Potem chodzą pomiędzy spalonymi pniami i wprost w popiół rzucają ziarna kukurydzy i ryżu. Przyjdzie deszcz i poręba w mig się zazieleni. A potem żniwo będzie, jakiego świat nie widział. Ziemia wypoczęta, a popiół na niej — to wartościowy potas.

Pod wieczór docieramy do *Aldeamento dos Indios*. Jest to rezerwat Indian. Rząd brazylijski wyznaczył tu dwa tysiące hektarów dla resztek silnego kiedys szczepu *Ay Mores*. Są to już naprawdę resztki: 12 mężczyzn, 7 kobiet i 8 dzieci.

Jeszcze przed 15 laty było ich tutaj około pięciu tysięcy. Epidemia grypy wyniszczyła ich prawie doszczętnie. Chciano ich leczyć. Odmówili. Chciano odseparować chorych. Powstał bunt. Ponadto, lekceważąc chorobę, w gorączce szukali ochłody w zimnych potokach górskich.

Dni ich są policzone. Ci, co pozostali, nad życie lubią „cachas“ — wódkę, pędzoną z trzciny cukrowej.

A w picciu nie znają miary. Na próżno im perswadować. Nie pomagają też najlepsze chęci rządu. Z funduszków państwowych utrzymuje się dla nich nauczyciela, daje się im żywność, ubranie, mieszkanie. I wszystko na próżno.

Rozmawiam z nimi. Mówią nieco po portugalsku. Od razu dopytują się, czy nie mam dla nich podarków. Dają każdemu z nich medalik z Matką Boską Częstochowską. Oglądają z podziwem, po czym zawieszają go sobie na cienkich łykach liany u prawej ręki.

Za fotografię muszę zapłacić. Jak na komendę bowiem wołają: „Grin, Grin“ — pieniądze! Prężą się, otrzepują, stroją miny.

Nocujemy w domu ich „ułaskawiacza“, p. Luiz Alvez Vianna. Jest to urzędnik brazylijski, którego pieczy powierzeni są Indianie. Ma on osobną izbę z trzema łózkami dla przejezdnych.

Spotykamy niemieckiego mineraloga, p. Richarda Schallera, który poszukuje tu cennych kruszców. Opowiada, że wczoraj był na pobliskiej G ó r z e Ś m i e r c i. Poprowadzili go tam dwaj Indianie. Po drodze mówili mu wiele o górze.

W nocy błądzi tam jakaś czarna postać, a w twarzy jej płonie żywy ogień. To dusza ich wodza N i i n g a k o l e, który po śmierci nie może zaznać spokoju. N i i n g a k o l e pokochał B i n g r e, córkę wodza szczepu sąsiedniego. I dla niej zdradził swoich towarzyszy. Zasadzili go więc na śmierć i ze szczytu Góry Śmierci strącili w przepaść.

P. Schaller przebąkiwał coś niecoś, że blisko szczytu znalazł żyły srebra.

Rano dosiadamy mułów i dalej w drogę. Wąska tędy prowadzi ścieżyna leśna. Wyrąbano ją fojsą czy fakonem w gąszczu i płątaninie lian, drzew i trzciny takuary. Trzcina ta, wijąc się po drzewach, tworzy fantastyczne girlandy.

Ponad gąszczem wznoszą się rozmaite gatunki drzew. Wiecznie zielone, najwspanialsze na świecie skupienia roślinności. Drzewa I p é właśnie kwitną. Mają całe pęki fioletowego kwiecia.

Dziwny to las. Szumi tylko w czasie burzy. Panuje w nim zapach terpentyny i kamfory, to znowu jak gdyby konwalii. Zapach ten wydają niektóre nieznanne mi liany.

Dokoła nas krążą dziwaczne ptaki. Wielkie motyle, o skrzydłach szerokich jak ludzka dłoń, mienia się i połyskują w słońcu. Papugi „a r a r y“ z wraskiem przelatują nad nami. W konarach drzew smutnie zawodzą małpy — wyjce.

Jedziemy stępa, pogwizdując wesoło. Na przedzie troper Alfredo, za nim ja, w końcu p. dr Biernacki.

Nagle Alfredo błyskawicznie wstrzymuje muła i krzyczy:

— „Para“ — stój!

Stajemy. Alfredo zeskakuje na ziemię. W jednej sekundzie ostrym fakonem odcina długą gałąź z i k i t y b y , a potem całą siłą wali w jakieś szarawe miejsce przy ścieżce.

Teraz dopiero pojmujemy niebezpieczeństwo. Oto dwumetrowa blisko ż a r a r a k a , jedna z najjadowitszych żmij brazylijskich, usadowiła się obok ścieżki, czyhając na zdobycz.

Uderzenie było silne. Żmija miała grzbiet złamany. Alfredo zbliżył się do swej ofiary i wbił jej półmetry fakon w zatrutą paszczę.

Zeszliśmy z mułów. Doktor wyciągnął scyzoryk. Naciął skórę poniżej szyi gada, który wił się jeszcze w śmiertelnych podrygach. Potem ściągnął skórę z taką wprawą i łatwością, jak gdyby to była rękawiczka. Zawinał ją w szerokie liście drzewa mlecznego i schował do torby. W ciągu trzech minut niebezpieczeństwo minęło i łup był gotowy.

Po pięciu godzinach spotykamy pierwsze osady naszych kolonistów. To forpoczty owej dzielnej gromady, co przybyła na podbój odwiecznego boru.

*I było co patrzeć na te batalie,  
Na Wyrwidęby te i Waligóry;  
Prężą się karki, wzdymają się szyje,  
Żył widać bicie wśród spalonej skóry,  
Aż świsnie topór, huknie, jak grom bije...  
Kwietnych płatańców pękają wnet sznury.  
Małpy skaczą z dzikim wrzaskiem.  
Z gniazd ptactwo leci, siejąc piór blaskiem.*

## *Forpoczty w odwiecznym borze*

Zwycięski pochód. Baraki. Własny dom. Działki. Koszta. Warunki higieniczne. Zasiwy. Z dymem pożarów. Polskie nabożeństwo. Polska pieśń.

W Orle Białym chłop polski daje świadectwo swych zdolności kolonizatorskich. Bez lęku poszedł w bór dziewiczy jako *c o n q u i s t a d o r* — zdobywca, i tam, gdzie niegdyś grasował dziki Indianin, kędy pomruk jaguarów straszyl przybysza, on osiadł na stałe.

Coraz dalej wrębuje się w las tropikalny. Od rana do wieczora grzmią topory i siekiery. Poświstują fojsoy i fakony. Na szerokich porębach wzdłuż rzek Rio Pancas, Rio Claro, Rio R. José błyskają chciwie jego oczy.

*Z okrutną w puszcze lud rzucił się mocą,  
Ciąć one bory, stojące z prawięka.  
Tylko te serca, te ręce dygocą,  
Tylko ta dusza w siekierę ucieka.  
Huczą topory dniem, huczą i nocą...  
Nie patrzy słońca i świtu nie czeka  
Ta przesilona praca, co się zdało,  
W pień do korzenia puszcza zwali tę całą...*

I walą się odwieczne cedry, imbuje, zakarandy, mahonie. Nic nie zdoła się oprzeć jego naporowi. I kędy

przejdzie jego noga, wyrastają krzewy m a n d i o k i, szumią zielone łany trzciny cukrowej i kukurydzy.

Ciągle nowe przybywają transporty. Nowoprzybyłych kolonistów umieszcza się w obszernych barakach. Są one schludne i dość obszerne. Podzielone są na trzy sale, z których dwie służą jako sypialnie, a jedna jako jadalnia.

W tej ostatniej urządziłem na razie kapliczkę, gdzie rano odprawia się Msza św. a wieczorem nabożeństwo. Tu się też zbierają dzieci na naukę.

Pobyt w barakach trwa tak długo, dopóki kolonista nie pobuduje sobie domku na własnej działce. Domek ten na początek jest zazwyczaj bardzo skromny. Kilka pniaków palmowych, wbitych w ziemię, na nich dach, pokryty liśćmi palmy butiji. Ławki z drzewa zakarandy, łóżko z plecionych włókien zikityby, rozłożonych na czterech kołkach. Kociołek, zawieszony na drucie, a pod nim ognisko. Oto i kuchnia samorodna.

Później jednak kolonista buduje sobie dom z tarcz desek. Na przedzie umieszcza werandę, zakłada ogródek. Domy Konstantego Samsela z Małego Łęcka, czy Michała Sanka z kresów, lub Bolesława Ruszczyckiego ze Stanisławowa, śmiało mogłyby stanąć w jakimś miasteczku i nikt by zapewne się nimi nie gorszył.

Zaraz po przybyciu na osiedle, kolonista otrzymuje działkę. Wybiera ją sobie sam, zwykle wśród znajomych z kraju lub podróży, aby wzajemnie sobie pomagać. Po załatwionym przydziale działki i wręczeniu prowizorycznego tytułu własności, kolonista otrzymuje

plan działki i opis jej granic, sporządzony przez rządowego miernika.

Działki wynoszą po 25 hektarów. Większe rodziny otrzymują dwie działki. Jedna działka kosztuje gotówką 3325 zł, na raty 4000 zł. Przy kupnie działki na kredyt, należność spłaca się w ciągu 6 lat, przy czym pierwsza rata musi być wpłacona w początkach czwartego roku pobytu na kolonii.

Do tych cen dochodzą jeszcze koszty przejazdu. Cena karty okrętowej dla osoby dorosłej wynosi 950 zł, dla dzieci do 10 lat połowę, a do 5 — czwartą część pełnej sumy. W cenie tej opłacony jest przejazd od stacji kolejowej w miejscu zamieszkania w Polsce do portu w Brazylii oraz utrzymanie w drodze i na postojach. Przejazd z portu brazylijskiego do kolonii opłaca rząd tutejszy<sup>1)</sup>.

Do czasu pierwszych zbiorów z własnej działki, Towarzystwo Kolonizacyjne zabezpiecza rodzinie wyżywienie. Dostarcza jej na kredyt produktów spożywczych oraz niezbędnych artykułów gospodarczych.

Nad zdrowiem naszych pionierów czuwa tu p. doktor Biernacki z Lublina. Młody to jeszcze, ale dzielny bardzo lekarz. Wolne chwile spędza przy mikroskopie, badając zarazki chorób tropikalnych. Chwil tych jed-

---

<sup>1)</sup> Obecnie warunki przyjmowania rodzin osadniczych na kolonię zostały złagodzone, gdyż przejazd obniżono. Karta okrętowa kosztuje dla kolonistów 667 zł od osoby, powyżej lat 10. Zadek na 25-hektarową działkę ziemi wynosi obecnie 500 zł. Poza tym na koszt utrzymania podczas pierwszych miesięcy pobytu na kolonii rodzina winna posiadać 350 zł.



nak ma niedużo. Z dalekich bowiem stron — nieraz 100, 150 km — zjeżdżają się „caboclos” — ludzie leśni, prosząc o poradę.

Upały nie są tak dokuczliwe, jakby się wydawało. Obecnie temperatura dochodzi do 32° C. w południe. Będzie jeszcze trochę cieplej, zwłaszcza w grudniu i styczniu. Mówią jednak, że w ubiegłym roku i w tym czasie nigdy nie było powyżej 38° C.

Obecnie po działkach odbywają się zasiewy, oczywiście w sposób bardzo prymitywny. Chodzi się pomiędzy spalonymi pniami i rzuca wprost w popiół ziarna ryżu, kukurydzy czy fizonu, czarnej fasoli. Z sadzeniem trzciny cukrowej, mandioki, drzewek kawowych, bananów i pomarańczy postępuje się w sposób podobny.

Ciężka praca już minęła. Było to niszczenie lasu pod uprawę. „Deribada” — cięcie lasu kosztowało naszych dużo potu i wysiłku. Mimo to niektórzy wyrabiali trzy do pięciu hektarów.

Po deribadzie nastąpił odpoczynek, czekali, aż gałęzie, krzewy i pniaki uschną. Potem puścili ogień. Paliło się przez dni kilka. Ogromne chmury dymu buchnęły w przestworza. Zwierz dziki uciekł w głąb lasów. A co nie uszło, zginęło w płomieniach lub dusiło się w dymie.

Paliło się wszystko dokoła. Paliły się drzewa, co u nas idą na wagę złota. Z drzew żelaznych czy mahoniowych zostały tylko osmolone pnie. Ostatni Mohikanie minionej chwały. Załóżnie wyciągają spalone konary i żalą się niebu.

Trudno. Sentyment ustępuje szarej rzeczywistości. Tu zresztą wszędzie człowiek walczy z przyrodą, a ona z nim, mszcząc się na każdym kroku. On jednak zawsze zwycięsko wychodzi z tych zapasów.

Koloniści czują się tu rozmaicie. Najwięcej ich trawi tęsknota. Tęsknią za tymi, co pozostali w kraju. Wiedzą, w którym kierunku leży Polska. Więc myśli swe, niby sokoły, wysyłają w te strony.

Największą ich pociechą jest polska pieśń. Śpiewają w domu. Przy ognisku zbierają się społem na pogawędkę i wspólną pieśń. A pieśń ta polska płynie w roziskrzony otok nieba, tam, kędy krzyż gwiazdny błyszczy na południowej stronie.

A kiedy zamilkną znużeni, las za nich śpiewa. Rozbrzmiewa przedśmiertelną skargą lub głosami tęsknoty. Przeciągle, grobowe wycie graszainów przerywa gniewne porykiwanie pумы. A wtóruje im wrzask olbrzymich puhaczy, co trzepocąc tajemniczo skrzydłami, zawodzą żałośnie. Po czym i las ucisza się. Nastaje głucho milczenie.

Tak to w Orle Białym polskte forpoczty pędzą swe dni.

## *Pod mahoniowym krzyżem*

Wzgórze nad Jasną Rzeką. W poranek niedzielny. W procesji pod krzyż. Poświęcenie. Pierwsze nabożeństwo. Wesele Bolka i Basi. Cmentarz na puszczy. Duszpasterskie odwiedziny. Duch Boży. Ku chwale Maryi.

Zył tu naród dosyć szczęśliwie w tej odwiecznej kniei. Lecz do tej pełni szczęścia brakowało mu Zastępcy Bożego, co by go słowem polskim cieszył i modlitwą.

Dopraszać się zaczęli i orędownać. Więc przyjechał do nich polski ksiądz. Z radością go witali i ze łzą w oku, jako że z kraju świeżo przybył i pozdrowienie im wiozł z ojczystych stron.

Najpierw uradzili postawić krzyż Chrystusowy, tam na wzgórzu, nad J a s n ą R z e k ą. A drzewo miało być co najprzedniejsze, by wieki trwało, a zawsze świadczyło o pobożności ducha polskiego na obcej ziemi.

Ścieli więc mahoń, co tam w ciemnym borze rósł opodal. Krzyż z niego Pański ciosali z własnej woli: Faustyn Cietupski z Zalewskiej parafii, Nasiadka Stanisław, obaj Ptakowie, Jan i Paweł z gminy Załoskiej i Paweł Jaceńczuk spod Lwowa. I odbyło się uroczyste poświęcenie.

Jest cudowny poranek niedzielny. Puszcza i las śpiewają poranny hymn na cześć Stwórcy. Rzesza ptasia zgiełkliwym szczebiotem wyśpiewuje „Kiedy ranne“. Gromady zielonych papużek wtórują tukanom, kowalom i podsrokoszom. Ogromne motyle mienią się wszystkimi kolorami tęczy. Ze ścieżyn leśnych i pikadonów dochodzą słowa pieśni pobożnej.

Idą pierwsi znad Jasnej Rzeki. Idą Szablaki, Sokołowcy, Kanie i Ptaki. Wszystek lud dobrany, a silny i żyłasty, niby te pnie cedrowe. Przewodzi im Samsel Konstanty, chłop roztropny i wielce w siebie dufający.

Idą znad Pankasu Piekarscy, Karabiny, Sokołowicze, tęgi Piastowski ród. Znad rzeki św. Józefa nadchodzą Ignatowscy, Grzeluki, Siury i Smorągi i wielu innych.

Gromadzą się na dziedzińcu przed domem administracji.

Nasamprzód poświęcam trzy wiadra wody, z Jasnej Rzeki przyniesione.

Po czym kropię lud, co zwarł się w koło, niby ten zagon w kraju, szumiący zbożem rozmaitym. Każdy kaja się przed majestatem Bożym i w piersi się uderza i półgłosem szepcze:

*Przez to święte pokropienie,  
Boże, odpuść me zgrzeszenie!*

W procesji ruszamy teraz pod krzyż. „Kto się w opiekę“ śpiewają z rozrzewnieniem, jako że ich opieką jest prawdziwie tylko Bóg. Samsel przoduje głosem, stąpając uroczyście po księżej prawicy. Zna on

się najlepiej na śpiewie i świętych obrzędach, bo w kraju był drugim kościelnym i kalkanistą.

I przyszedli do krzyża. Ksiądz przysiadł na pniaku imbui i jął słuchać świętej spowiedzi. Samsel zaintonował Godzinki. Naród się zakołysał i na kolana się rzucił, chwając Pannę Świętą. Po świętej spowiedzi ustawiono mały ołtarzyk polowy. Dziewczęta jeły znosić liście palmowe i kwiaty ipé i dzikie orchidee i stroić ołtarzyk i krzyż.

Rozpoczynają się obrzędy poświęcenia. Ksiądz modli się długo, raz po raz głośniej odmawia święte słowo łacińskie, to znowu ręce rozkłada i żegna drzewo krzyżowe. Potem idzie w koło krzyża i z czterech stron kropi wodą święconą. Żegna się następnie i tłumaczy doniosłość uroczystej tej chwili.

— Krzyżu św., nadziejo nasza jedyna na obcej tej ziemi — tak rozpoczął swe przemówienie. Kobiety pierwsze zaszlochały, ale i chłopom łyż się zakręciły.

Mówił, jako ich ojcowie wiernie trzymali się krzyża i w tym znaku zwyciężali:

— Ustawiliście ten krzyż mahoniowy — wołał dalej — ale postawcie też krzyż w sercach waszych!

— Czczycie Ukrzyżowanego i jego święte przykazania!

— Wówczas też Pan Jezus pobłogosławi waszej doli tułaczey, waszym familiom, waszemu dobytkowi i pokój wam da i łaskę świętą.

I wszystkich jakaś żałość chwyciła za serca, że nikt się już nie mógł powstrzymać od łez, które płynęły niby te wielkie krople brazylijskiego deszczu.

Kiedy potem odprawiała się Msza św., śpiewano „Krzyżu Święty”. A śpiewali z taką mocą, że aż drzewa i palmy się zatrzęsły od tej serdecznej wichury głosów. Nawet ptactwo zamilkło, wsłuchane w ten żywiołowy huragan, co z piersi polskich płynął pod Boży tron.

Już dawno przebrzmiało „Ite missa est” — a oni ciągle śpiewali i modlili się pod mahoniowym krzyżem.

Albo to pierwsze nabożeństwo, odprawione pod gołym niebem w zagaju palmowym!

Naród zwarł się w koło ołtarzyka i na kolana się rzucił przed majestatem Bożym, niby ten łań żywych kłosów, co czasu żniwa się pochyła. Słońce zlewało swe promienie na ten naród, u stóp ołtarza się korzący. Wyzłaczało ten zagon szarych kubraków i wypłowiałych zapasek. Dwie małpki spuściły się z góry na dolne gałęzie i przypatrywały się tej dziwnej uroczystości. Patrzyły to na nas, to znowu na siebie, a skubiąc się po główkach, medytowały, co by to wszystko miało znaczyć. Zielone papugi, koliberki i inne ptaszyny Boże krążyły nad ołtarzem, jakoby cześć chciały złożyć Synaczkowi Bożemu.

Po nabożeństwie odbyło się chrztów bez liku. Woda chrzcielna zmywała główki polskich pacholąt, urodzonych w tych dzikich, odwiecznych borach na żywot wieczny.

Odbyły się huczne weseliska, po kilkanaście od razu, jako że tu księdza nie było nigdy. Na pierwszy ogień poszedł Bolek od Samsela i Basia Sarańczykówna.

Bolek, najstarszy syn Samsela, zgrabny i urodziwy, już od dawna szukał sobie żony. Rozglądał się nad Jasną Rzeką, nad Pankasem. Zachodził do szłaśców i chałup. Wreszcie Basia przypadła mu do gustu. Boć to dziewczyna gospodarna, zdrowa i młodość sama, a przy tym nabożna i starszych szanująca.

— Baśka będzie moją — powiedział sobie.

Rozmówili się młodzi i na drugi dzień przyszli do mnie. Załatwiliśmy potrzebne formalności i rozpoczęły się przygotowania do ślubu. Bolek wybrał się do miasteczka nad Słodką Rzeką po sprawunki. Spory to kawałek, bo przeszło 110 kilometrów drogi. Szedł Bolek całutkie trzy dni w jedną stronę i drugie tyle z powrotem.

W miasteczku kupował, co się należało. Obrączki, białą suknię ślubną dla Baśki, sznur białych koralii również dla niej, no i — przysmaków trochę i innych jeszcze drobiazków na wesele.

Nadeszła niedziela. Był rozstępniony dzień październikowy, parny i duszny, jako że w Brazylii wszystko na opak, kiedy u nas jesień to tam wiosna, a kiedy tam lato — to u nas zima. Otóż w ten śliczny, wiosenny dzień jęli się zbierać sąsiedzi i przyjaciele w domu Samselowym. Młodzi naprzeciw gościom wychodzili i pokornie ich witali i zapraszali. A gdy już wszyscy byli zebrani, przyklękli oboje przed rodzicami i o błogosławieństwo prosili. Matka ich przeżegnała obrazem świętym i tą wodą świętą ich skropiła, co to ksiądz poświęcił onegdaj. A potem rozplakała się na głos.

A innych też łyzy chwyciły za gardło, że to taka rzewna odbywała się uroczystość na tym odludziu.

Wyszli z domu — wszyscy na piechotę. Boć nikt tam jeszcze konia nie ma, ani tego mizernego muła nawet. Na przedzie kroczył uroczyście murzyn Sebastião i grał zawzięcie na harmonice skoczne melodie. Bo i o muzykę trudno, choć to gospodarskie wesele.

Gdy wyszli z lasu, ujrzeli z dala krzyż święty, co go z mahoniu ciosali kilkanaście dni temu.

Idąc tedy podle niego, uklękli wszyscy razem i w piersi pokornie się bili, jako że im ksiądz powiedział, że krzyż ten to największa świętość Orła Białego, zanim kościółek tu nie będzie wzniesiony.

Z baraku, kędy na razie ustawiono ołtarzyk święty, wychodziła już procesja. Więc śpieszyli się goście wesełni, żeby do niej się jeszcze dołączyć. Po procesji rozpoczęła się Msza św. Młodzi uklękli na czerwonym obrusie tuż przed wszystkimi. Modlili się żarliwie, żeby Bóg najmiłosierniejszy błogosławieństwo im zesłał obfite i łaskę świętą na tę małżeńską życia drogę.

Po Mszy św. i kazaniu ksiądz zaintonował „Veni Creator“. Stary Samsel śpiewał dalej z księżej książeczki, jako że na ceremoniach świętych znał się doskonale.

Potem ksiądz przemówił do nowożeńców. Mówił im, iżby wierni byli Bogu i po Bożemu żyli w tym świętym przymierzu małżeńskim. A kiedy wspomniał, że już nigdy nie ujrzą ojczystych stron i że tu na obcej ziemi ten Pan Jezusinek im więcej będzie potrzebny, to i co najtwardszy chłop się rozrzewniał.



Reszta obrzędów odbyła się, jak w kraju. Jeno, że ksiądz kapy nie miał, i że kropidła nie było, i że termometr wskazywał 38° w cieniu.

Lud potem szerokim wachlarzem rozpląnął się na placu przed barakiem. Z pistoletów gruchnęły salwy, które głośnym echem o bory się odbiły. W powietrzu drżały śmiechy i wiwaty weselne, co z mocnych piersi buchały ochoczo. Orszak weselny wracał nad Jasną Rzekę.

Na progu witała Samselowa młodych solą i chlebem. Po czym murzyn na harmonijce zagrał coś skoczniejszego i wesoły puszczono się tan.

Gospodarze częstowali się wódką z trzciny cukrowej. Krążyła ogromna butelczyna z rąk do rąk drugą, trzecią i czwartą kolejką. Słabym z głowy się już kurzyło, to się też ściskali i przygadywali sobie serdecznie.

A młodzi tancerze wirowali, aż skry się z podkówek krzeszały. Hulali, oj hulali zawzięcie i tan wiedli zapamiętały, zawracali, przyklekali, przytupywali i śpiewali:

*Hej, hej, wiara, hej,  
Ten byle jakie cielę,  
Co się weseli niewiele,  
Hej wesele, wesele!*

Samselowa jeła zapraszać do stołu. Państwo młodzi zasiedli pośrodku, reszta zaś podle nich z obu stron, co najprzedniejsi goście znad Jasnej Rzeki.

Jedli rosół z papużek zielonych, smaczny i pożywny, rosół z kury przypominający, świnkę dziką i ptac-

two leśne. W końcu banany opiekane i mamony, owoce tutejsze.

Po jedzeniu powiedli się znowu w zawrotny tan, pośpiewując wesoło:

*Przed nami stoi ciemny bór,  
Stoi jak mur, jak mur, jak mur!  
Dalej razem z kumem kum —  
Topory w garść i rum — i rum!  
Zwalim puszcę — wielki trud!  
Poradzi nam nasz twardy ród!*

I tak śpiewali i zabawiali się do rana. A dokoła była cisza. Zwierz dziki, zda się, zaniechał swych łowów, ukryły się gady. Nawet ogromne ćmy nocne zaprzestały swych harców. Aż zdawało się, jakby zamilkła cała przyroda, żeby z zaciekawieniem śledzić, jak wygląda pierwsze polskie wesele w dziewiczym brazylijskim borze...

\* \*  
\*

W ciągu tygodnia jęli przygotowywać miejsce pod cmentarz. Rąbali las, palili drzewa. A cmentarz był potrzebny, bo i pod pięknym, brazylijskim niebem umierają ludzie. Tak niedawno tu są, a już mogli tyle...

Chowali dotychczas umarłych, gdzie się przydażyło. Młody Kazimierz Duda spod Wągrowca pochował pierworodnego swego synka tuż obok chałupy, bo tak żona sobie życzyła, iżby blisko miała do grobu swej dzieciny. Inni umarłych chowali na wzgórzu, za nowiną, na skraju lasu.

I za tydzień już cmentarz jest gotowy. Poświęcenie odbyło się uroczyste i cmentarza i tego krzyża Chrystusowego, co w środku jego stanął — i tej obcej, brazylijskiej ziemi, na której tyle jeszcze polskich spocznie kości...

A krzyż ten jest prosty, bez pasyjki nawet, jako że tu niczego kupić nie można. Biedny, jak ten naród polski, co po świecie poniewierać się musi, szukając chleba.

I odbywają się duszpasterskie odwiedziny po domach. Od szałasu do szałas, od chałupy do chałupy idziemy i święcimy tę biedę, tę ukochaną, polską biedę.

W cieniu palm, przed ołtarzykiem domowym, naród przed Bogiem się korzy. Pacierz mówi za pacierzem, spieczonymi wargami, ze wszystkich sił duszy wierzącej, z sercem pełnym ekstazy. A potem śpiewa pieśni Maryjne, wpatrzony w czarniawą, słodką, matczyną twarz Częstochowskiej.

Lud jest dobry, choć zebrany ze wszystkich stron Polski, choć ten i ów z indyferentyzmem religijnym się zetknął. Owe lasy dziewicze i to ciągłe przestawanie z przyrodą w jej pierwotnej niepokalaności, wytworzyły jakąś dziwną atmosferę religijną. I tą atmosferą każdy tu oddycha. Ogarnia ona i innowierców — rodaków, którzy do chrztu św. przynoszą swe dzieci i o przyjęcie na łono Kościoła proszą.

Na Mszy św. rano zawsze jest dużo ludzi. A niektórzy z nich mają po parę kilometrów drogi i to ścieżyną, ciętą w lesie dziewiczym. Ale przychodzą. Tak samo wieczorem na nabożeństwo różańcowe. Przychodzą

dzą nawet z odległych działek. U stóp Maryi wylewają swą tęsknotę, swój ludzki ból. Z takim zapałem śpiewają litanie do Matki Boskiej, jak może nigdy w kraju. Potem wracają do swych szałasów, czy chat z nową siłą na jutrzejszy dzień.

Pod tchnieniem tego ducha religijnego wyrastają kwiaty prawdziwej miłości chrześcijańskiej. Zbierają się ludziska w gromady i wspólnie rąbią las.

Jeśli ktoś wskutek różnych chorób tropikalnych zaniemógł, inni pracują na jego działce. Zachorował ciężko kolonista Chudnickij, prawosławny. Zgłaszają się dobrowolnie koloniści Polacy i na noszach niosą go kilkadziesiąt kilometrów do stacji sanitarnej.

W O r l e B i a ł y m budują już kościół. Praca jest tak zorganizowana, że codzienie 8 kolonistów pracuje na zmianę przy świątyni. Prócz pracy nie oszczędzą i grosza na ten cel. Da Bóg, niedługo przybytek Boży pod wezwaniem Królowej Korony Polskiej już będzie wykończony.

Tak w cieniu mahoniowego krzyża rozbrzmiewa chwała Pańska, a nakazy Ukrzyżowanego gorliwie spełnia polski lud.

## *Dusze na pustkowiu*

Synowie odwiecznej puszczy. Kaboklowe chrzty. Bezgrzeszni ludzie. Małżeństwo. Święta naiwność. Książd od mrówek.  
W gościnie.

Duszpasterstwo moje obejmuje również kabokli, półdzikich synów odwiecznej puszczy. Jest ich spora liczba w Orle Białym.

Blisko domów administracji kolonii powstało nawet całkiem nowe osiedle, przez nich założone. Chęć zarobku na różnych posługach w administracji ściągnęła ich w te strony. Poza tym mieszka sporo kabokli nad rzekami, w żyznych dolinach i wąwozach.

Wszyscy owi egzotyczni parafianie są katolikami, bo przyjęli chrzest św. w katolickim kościele. Taka jest dawna tradycja. Może być do kościoła 200 km drogi i więcej, kabokło siada na koń i wiezie do chrztu swoje dziecię. Chodzi mu głównie o zdobycie nowych „compadres” — kumów, którzy mocą tego aktu wchodzą do rodziny i przez to wielką odgrywają rolę.

W Orle Białym dużo odbyło się takich chrztów kaboklowych. Imiona zazwyczaj dają dosyć dziwne: Hector, Aristides, Thiotoin, Mustinga. Zdarzają się i dziwaczne, jak Berberura, a nawet *Kyrieleison*. Tak

samo nazwiska mają długie, nieraz nawet po kilka nazwisk, brzmiących na ogół bardzo religijnie, jak José Maria da Conceição Jesus dos Santos.

Jeśli chodzi o jakiekolwiek wiadomości religijne, to ich nie posiadają prawie wcale. Wiedzą tylko, że jest Pan Bóg, czy Pan Jezus i Matka Boska. Poza tym nie wiedzą nic więcej — ani że mają duszę nieśmiertelną, ani że istnieje życie pozagrobowe. Umieją jednak Zdrowaś Maryjo.

Na nabożeństwa przychodzą z ciekawości. Podobają im się śpiew kościelny. Podobają im się ceremonie, a szczególnie obrzędy Mszy św. Zachowują się przyzwoicie, klękają wespół z naszymi. Słuchają pilnie i z zaciekawieniem nauki, wygłoszonej do nich zaraz po kazaniu polskim. Do spowiedzi św. na razie jeszcze nie przytępują, bo nie są jeszcze przygotowani.

Raz tylko jeden z nich odważył się ku zdumieniu swych towarzyszy. Przyklęknął.

„Bom dia — dzień dobry — como vae senhor padre?“ — Jak się ksiądz miewa — tak rozpoczął.

Każę mu się przeżegnać.

— Padre — tłumaczy mi — ja się nie umiem żegnąć, lecz mój przyjaciel potrafi. I ledwom się zreflektował, on już odbiegł od konfesjonału, by przyprowadzić owego „amigo“. Obaj teraz klękają i przyjaciel czyni znak krzyża św. Wszystko w najlepszej intencji. I grzechów oczywiście nie mieli żadnych, bo dotychczas o grzechu nie słyszeli.

Jeśli chodzi o sakrament małżeństwa, to tylko niektórzy go przyjęli. Reszta żyje na wiarę. Trudno im

wytłumaczyć, że tak nie wolno. Nieraz robią wielkie oczy, że może istnieć taki przepis. Dotychczas bowiem sądzili, że to tylko dla parady i dla dodania większego splendoru odbywa się ślub w kościele.

Odtąd coraz częściej do Orła Białego zjeżdżają pary, które chcą ślubować w naszej kaplicy. Jeno, że „delegacja“ stanowi trudność nielada. Trzeba więc spisywać nazwiska i posyłać osobnego gońca do proboszcza w Collatina, któremu tereny te na razie jeszcze podlegają. Bagatela — 220 km na piechotę. Gonic wraca, przynosi „delegację“. Lecz cóż, kiedy proboszcz nazwiska poprzekręcał, Annę dopisał do Józefa zamiast do Jana. Więc wątpliwość nielada i nieraz goniec na nowo pędzi, pokutując za proboszczowskie niedopatrzzenie.

Ostatnio nawet dwie Polki wyszły za kabokli. Perswadowałem, odradzałem. Cóż, kiedy temperament i uroda owych leśnych donzuanów podbiły ich serca. Zresztą jeden z konkurentów powiedział mi w oczy, że mię zastrzeli, jeśli będę się sprzeciwiał. Byłby to niewątpliwie uczynił, bo na słowie kabokla można polegać, jak na Zawiszy. Mnie zaś zależało na tym, by raz jeszcze ujrzeć Polskę ukochaną. Więc zrezygnowałem z niefortunnego męczeństwa i ustąpiłem.

Do chorych księdza nie wołają. I są ogromnie zdziwieni, jeśli idzie się bez wołania. Wystraszeni pytają się, ile to kosztuje. Niektórzy z nich jednak mają przekonanie zabobonne, że skoro ksiądz namaścił chorego, chory umrzeć musi w ciągu 6 godzin. Więc mówili, że mię zawezwą, skoro ktoś nie będzie mógł umrzeć.

Mimo to przypisują olejom świętym siłę leczniczą. Pewnej nocy jakieś indywiduum wchodzi do mego mieszkania i budzi mnie ze snu. Drzwi i okna są dzień i noc otwarte, jako że dla srogich upałów inaczej usnąć nie można. — Otwieram oczy przerażony. Przede mną kabokło w wyszarzałej palli — pelerynie z nożem i wielkim pistoletem za pasem. Kiedy ochłonałem, on dobrotliwie klepie mnie po ramieniu i prosi żebym dał choć odrobinę oleju św., bo dziecko zachorowało mu ciężko.

Często przed pełnią księżyca przyprowadzają krowy, żeby je poświęcić. Utrzymują, że to dobrze robi i że bydła nie chorują już nigdy.

Mały Tonio przyprowadza osiołka, już prawie zdychającego, z prośbą, żeby osiołek żył i to długo, bardzo długo. Krótkie błogosławieństwo — i wracają do domu zadowoleni i mówią, że „padre Ignacio“ jest kabokłom życzliwy.

Kabokle coraz częściej mnie odwiedzają. Niektórzy po raz pierwszy w życiu widzą księdza, więc chcą go zobaczyć.

Przyjeżdża pewnego razu Pereira da Silva w asyście swej czarnej małżonki z fajką w ustach.

— Padre — odzywa się dobrotliwie, klepiąc mnie po ramieniu — ty musisz jechać ze mną i wypędzić u mnie mrówki, które mi niszczą zbiory.

Pojechałem. Wodą święconą skropiłem obficie zasiewy, dobytek, a potem wszyscy siedli w kucki przy wielkich kopcach „sauwy“ — mrówki brazylijskiej. Ja zaś ukląknęłam, błagając Boga o odwrócenie klęski.



I zdaje się, że Pan Bóg odwrócił klęskę, bo w pięć dni później przygalopował Pereira da Silva z oznajmieniem, że mrówki znikły.

Wieść o tym rozniosła się w mig po okolicy. Już na drugi dzień przychodzi jakiś obywatel o czekoladowej cerze i rozpoczyna indagację:

„Vossé é padre de formigas“ — to ty jesteś tym księdzem od mrówek? Zabieraj się i jedź ze mną, bo i u mnie są mrówki!

A potem ze wszystkich stron nadciągały delegacje kabokli z tą samą prośbą. Czy wszystkim modlitwy te i błogosławieństwa pomogły, nie wiem, bo za parę dni opuszczałem kolonię.

Przychodzi roześmiany Faustinho z białą chustką na głowie i z harmoniką w ręku w towarzystwie swego przyjaciela. Jest to delegacja z Villa Verde, małego osiedla, oddalonego od nas o jakieś 70 kilometrów.

— Padre, jedź z nami i pokrop święconą wodą takich młodych ludzi, co się bardzo lubią, jak te leśne synogarlice i zrób im takie wesele, jak to Polacy mają.

Innym razem przychodzi Miranda z synkiem, prosząc mnie do osady Corrego Salvador. Kawał to drogi, kilkanaście godzin na mule, zanim dojeżdżamy do jego chałupy.

A chałupa ta sklecona z pniaków i liściem palmowym pokryta. Tam też mój przyjaciel przygotował mi legowisko. Cztery kołki w ziemię wbite, połączone mię-

dzy sobą lianami, na tym trochę trawy leśnej i łoże gotowe.

Poszliśmy późno spać, bo trzeba było dużo opowiadać, by zadowolić ciekawość onych synów wiekuiestej puszczy. A potem nie wiedziałem, jak się położyć, bo gromada ciekawskich przez wielkie szpary w ścianie obserwowała, jak klękam, jak się modłę. Ponieważ rozebrać się nie wypadało, więc położyłem się tak, jak stałem i zasnąłem snem sprawiedliwych.

Nazajutrz budzę się rano, bo ktoś mnie chwytą za wielki palec u nogi, a potem ucieka spiesznie. Jest to siedmioletnia Rili, córeczka mego gospodarza, która chciała się tylko przekonać, czy ksiądz ma palce u nogi jak inni ludzie, boć w życiu księdza nie widziała.

Około południa odprawiam pod chałupą uroczyste nabożeństwo, chrzczę wszystkie dzieciaki Mirandy, błogosławię małżeństwo córki jego Miny z Murzynem Gonçalvesem. Potem święcę krzyż, który Miranda postawił na wzór Polaków w Orle Białym. Nie mając pasyjki, umieścił na krzyżu koguta, wyciętego z deski.

I tak jeździłem wskroś te lasy dziewicze do kabokli, od osady do osady w gromadzie. I przywykłem do wojowniczych fakonów i długich pistoletów swoich kompanów. I nie dziwiłem się już więcej ich ubraniu i tym ostrogom ogromnym, nałożonym na bosa pięty.

X I sypialiśmy razem pod jednym szafasem. Jadałiśmy z jednej misy fasolę i mięso suszone. Razem też śpiewaliśmy smętne kansony przy ognisku w jasne księżycowe wieczory.

I mówiłem im dużo o Bogu, co jest Stwórcą i Panem lasów i puszczy. I uczyłem ich świętych pacierzy. A oni zawierali przymierza małżeńskie i dzieci prowadzili małe i dorosłe, aby woda chrzcielna ich głowy zmyła w świętym sakramencie żywota.

Tak się szerzyło Boże Królowanie w dzikiej puszczy. Tak odżywały zapomniane dusze na pustkowiu.

## *Wielka zawierucha*

Czar wiosny. Niepokojąca wieść. Niebezpieczeństwo najazdu. Tajemniczy gość. Jasna Góra. Ku Słodkiej Rzece. Tropikalna noc.

Kończyły się dni pobytu mego w Orle Białym, kończyły się objazdy duszpasterskie wśród dziewiczych lasów, na północ od Słodkiej Rzeki. Życie religijne było jako tako zorganizowane, fundament pod przyszłe polskie parafie położony.

Były cudowne dni wiosenne. Rzeki, lasy, góry — wszystko pachniało wiosną. Drzewa sapukaje, olbrzymy, pokryły się młodymi liśćmi, czerwonymi jak rubiny. Zakwitły ipé, peroby, grauny. Śnieżno-białe kielichy kwiatów sąsiadowały z kwieciami karmazynowym, fioletowym i jaskrawo-żółtym. Kwitły storczyki i orchidee, pokrywające wszelkie rozwidlenia i garby drzew, gdziekolwiek się zbiera choć odrobina wilgoci. W podzwrotnikowym słońcu mieniły się zwoje filodendrów, które na dół spadają jednym szeregiem na podobieństwo zasłon japońskich.

Wspaniałe „arary“ — papugi o piórach, przypominających wszystkie kolory tęczy, tukany, podsrokosze, kowale, drobniutkie koliberki — cała ta rzesza ptasia śpiewała, rajcowała, cieszyła się wiosną.

Po działkach i koloniach zieleniły się półka czarnej fasoli, ryżu i kukurydzy. Bujnie wyrastały młode gaje pomarańczy i kawy. Kury i kaczki prowadziły swe młode. Kolonista odpoczywał po ciężkiej i mozolnej robocie, a oko jego radowało się, gdy patrzył na te owoce swej pracy i pomocy Bożej.

Wtem jakiś jeździec przywiózł wiadomość o wielkiej rewolucji w Brazylii. Niektóre stany, pokrzywdzone podczas ostatnich wyborów prezydenta, zbuntowały się przeciwko rządowi centralnemu. Cały kraj ogarnęła krwawa zawierucha.

Uzbrojone oddziały ochotników i wojska sąsiedniego stanu Minas zaczęły wkraczać na terytorium naszego stanu Espirito Santo. Niektóre zaś oddziały rewolucjonistów zdołały się nawet przedrzeć przez front wojsk rządowych i posuwały się ścieżkami leśnymi w stronę stolicy. Lada dzień musiały przechodzić przez kolonie polskie.

Zrobił się popłoch. Tym więcej, że kabokle opuśczeni swe chaty, chowając się wraz z rodzinami i dobytkiem w nieprzebytym gąszczu lasu dziewiczego.

Kobiety zaczęły płakać i lamentować. Ale i chłopów ogarnął strach, jako że takiej zawieruchy nigdy jeszcze nie przeżywali. Tego samego dnia przygalopował jakiś podenerwowany osobnik. Przedstawiwszy się panu dr Biernackiemu, tymczasowemu administratorowi kolonii, zażądał natychmiastowego wydania wszelkiej broni, znajdującej się w posiadaniu kolonistów oraz oddziału polskich ochotników.

Nie pomagały perswazje, że broni wydać nie można, bo koloniście w lesie broń jest w każdej chwili potrzebna. Że Polacy jako „estrangeiros“ — cudzoziemcy do wewnętrznych walk politycznych mieszać się nie mogą. Wszystko daremnie. Jegomość ten, oficer rezerwy, groził rewolwerem i nocnym napadem na kolonię.

W końcu jednak odezwała się w nim struna rycerska, tak charakterystyczna u każdego Brazylijanina. Zrezygnował nagle z pretensji. Na odchodnym prosił mnie tylko o modlitwę dla sprawy rządowej. Potem na czele swego oddziału pocwałował w las.

Bogu dzięki, oddziały rewolucjonistów ominęły naszą kolonię. Posuwały się z błyskawiczną szybkością naprzód, staczając niedaleko nas kilka większych walk, jak np. pod B a i x o G u a n d u, kędy obficie lała się bratnia krew.

Mogłem więc spokojnie wyjechać na dalszy objazd kolonii polskich w stanie Espirito Santo.

Jadę w towarzystwie p. dr Biernackiego, który chce mi towarzyszyć do Collatiny. Leje jak z cebra. To też muły nasze ostrożnie stąpają po rozmokłej glinie. Mrok zapada a my jeszcze w drodze. Na szczęście liczne świetliki, fosforyzujące zielonkawymi światełkami, oświetlają nam drogę. Wreszcie przyjeżdżamy do kolonii M o n t e c l a r o — Jasnej Góry. Tak bowiem nazywali koloniści to nowe osiedle na cześć Częstochowskiej. Woda potokiem spływa z ubrań i mułów. Owe 26 km przebyliśmy w 5 godzinach.

Na drugi dzień nabożeństwo. Bolesław Ruszczycki ze Stanisławowa, student weterynarii i harcmistrz,

a obecnie kolonista-konkwistador, zbudował maleńką kapliczkę z drzewa kolorowego. Tam się odprawiły obrzędy święte.

Jest cudowny poranek. Osłepiające słońce wysusza ścieżki i roztopy. Zewsząd idą nasi. Idą z dalekich „pikadonów“ — z pieśnią pobożną na ustach.

Przystępują gromadnie do świętych sakramentów. Ponieważ nie ma krzesła, słucham spowiedzi św., siedząc na pniaku palmowym. Potem poświęcenie wody z rzeki Pankasu i z braku kropidła pokropienie kwieciami palmy butii.

Następnie Msza św. Lud zwarł się dokoła ołtarzyka niby ten zagon pszeniczny w kraju i na kolana się rzucił przed majestatem Bożym. Pieśni Maryjne płynęły z ust rozmodlonych jedna za drugą. Płynęły w wiośniany czar, w rozstłonecznione niebo i szły do niebios bram.

Po Mszy św. i kazaniu krótka pogawędka z kolonistami jasnogórkimi. Potem jeszcze polski koncert gramofonowy i dalej w drogę.

Do Collatiny mamy stąd 80 km. Popędzamy więc długouchę nasze wierzchowce, nie zatrzymując się nigdzie po drodze. Wieczorem docieramy do *Aldeamento dos Indos*. Jesteśmy okropnie zmęczeni. Mimo nocy, kąpiemy się w ciepłych falach rzeki Pankasu, a poleciwszy się opiece Najświętszej Paniienki Jasnogórskiej, zasypiamy snem sprawiedliwych.

Wczesnym rankiem ruszamy dalej. Po drodze spotykamy oddział rewolucjonistów. Śpiewają i machają

czerwonymi chusteczkami. Oznajmiają nam, że rewolucja zwyciężyła.

„O presidente esta preso“ — prezydent uwięziony — wołają jeden przez drugiego.

Docieramy wreszcie do Słodkiej Rzeki i nad nią położonego miasteczka Collatina. Lokujemy się w hotelu „G l o b o“. Pod naszymi oknami odbywa się główny ruch. Tędy przechodzą wszyscy ludzie, „tropy“ i pociągi. Tu główna uliczka i tor kolejowy razem. W hoteliku zakwaterowało się kilkunastu rewolucjonistów. Ich odznaką jest jakikolwiek czerwony fatałaszek. Czerwona chusteczka na szyi lub strzępki czerwone, przymocowane do munduru lub żakieta.

Gdy zobaczyli księdza, od razu zaczęli się popisywać swoją katolickością. Dosłownie każdy wyciągał z kieszeni różaniec, krucyfiks, po parę medalików.

— Ojcie — musieliśmy zwyciężyć, bo z nami była Matka Boża.

Wieczorem tuż pod oknem rozlegały się strzały. To tak sobie strzelali żołnierze na wiwat. A potem śpiewali piosenki żołnierskie przy akompaniamencie gitary.

Tropikalny księżyc zalewał światłem miasteczko i Słodką Rzekę i daleką okolicę. Chór potężny, złożony z miliona głosów owadzych, ptasich i żabich, rozpoczął coraz to inną serenadę. W blasku księżyca roślinność przybrała fantastyczne kształty. Wydawało się, jakoby jakaś niewidzialna ręka pokryła wszystko



przędą migocącego srebra. Powietrze napełniała odurzająca woń kwitnących sapukai i jaśminów. Potem milczenie objęło wszystko w swe ramiona. Jeno palmy szumiały samotne i te szuwary i takuary nad brzegami Słodkiej Rzeki.

## Wzdłuż Słodkiej Rzeki

Wiośniane świty. Pogłosy rewolucji. Na workach kawy.  
O zmroku. Polski Żyd. Duszpasterz na odludziu. Rodak  
zblakany. Kawowe pola.

Podróż pociągiem z Collatiny do L a g e I t à należy do prawdziwych przyjemności. Pociąg biegnie wzdłuż Słodkiej Rzeki i jej dopływu, S a n t a M a r i a. Czasem wspina się wysoko na krawędź skalistą, to znowu zjeżdża niziuteńko, tak że fale Słodkiej Rzeki uderzają o tor kolejowy.

Jest wiosna. Kwitną drzewa. Kwitną kwiaty. Kwitną wszystkimi kolorami tęczy. A kwiecie i kwiaty, ogromne jak dłoń ludzka, jaskrawe i lśniące, mieniają się wśród listowia, zalane potokami podzwrotnikowego słońca.

Wszystko pachnie. Pachną dzikie jaśminy, orchidee, mirty, storczyki. Pachną świeże poręby, łąki, wody, pachnie las dziewiczy. A woń to silna, odurzająca.

Pociąg wjeżdża czasami w las dziewiczy. Wówczas to żakarandy, masaranduby, drzewa olejne, żelazne, guarapirany, arasy i olbrzymie drzewa cynamonowe konarami swymi uderzają o dach, kiedy wiatr nimi kołysze. Palmy gisary i niskopienne palmy breżauby, co

liście mają prawie dwunastometrowe, muskają rozgrzane ściany wagonów.

Pasażerowie żyją pod znakiem rewolucji. Opozycjoniści triumfują. Żywo gestykują i z radości klepią się po plecach. Kilku żołnierzy-rewolucjonistów, znajdujących się w naszym przedziale, częstują winem i wódką.

Mój znajomy, p. Lima, skrajny rządowiec, pieni się z irytacji. Raz po raz coś bąknie pod nosem, ale tak, że nikt go nie słyszy. Mówi mi po cichu, że nie wierzy, aby rewolucja miała zwyciężyć.

Wysiadam na stacji Lage-Ità. Dopytuję się, czy nie ma jakiej furmanki do Figueiry. Chcę bowiem odwiedzić miejscowego proboszcza, zanim rozpocznę objazd kolonii polskich, na jego terytorium położonych. Mam szczęście. Jakiś samochód ciężarowy jedzie właśnie w tę stronę. Wprawdzie jest naładowany workami kawy, ale zawsze samochód. No, a owe 60 i parę kilometrów drogi polnej, to na tutejsze stosunki taki sobie skok nieduży.

Winduję się więc na worki z kawą i ruszamy. Jest po deszczu, więc droga rozmokła. Na opony nałożyliśmy łańcuchy, by wóz się nie ślizgał. Gdzie droga była równa, szofer puszczał maszynę niczym w Europie. Trzeba było się trzymać to daszka, to ścian, aby nie zlecieć razem z workami. Gdy podjeżdżał pod wysokie góry, było gorzej. Kilka razy musiałem schodzić i pchać. Były chwile, kiedy się zdawało, że nie wjedziemy. Wówczas to ogarniało nas niemiłe uczucie na myśl, że trze-

ba będzie zanocować w głuchym pustkowiu. Ale jednak „Ford“ dawał sobie radę.

Gdzie były większe roztopy, szofer schodził i pacytkiem wymierzał głębokość owego nieszczęsnego „buracco“ — bajora. Jeśli miało sporo cali głębokości, wówczas szliśmy do pobliskiego lasu, aby ściąć parę palmitów. Wrzuciwszy kilka pniaczków w kałużę, można było przejazd zaryzykować.

Tymczasem zaczął zapadać wieczór. Słońce już było na horyzoncie. Promienie jego różowiły góry, kładąc ciemne pasma cieniów na jary i rozdoły.

A gdy ciemność nastąpiła, zabłysły różnobarwne ogniki świetlików — zielone, różowe, błękitne. Jęły migotać i skrzyć się w liściach drzew i krzewów przydrożnych. Przeraźliwie zahuczał raz po raz demoniczny głos wielkiej sowy leśnej. Donośnie rozlegało się łkanie kozodojów.

Przyjeżdżamy do osady P a l m e i r a. Stajemy przed „Casa Alleman“ — Domem Niemieckim. Dowiaduję się, że właścicielem tego sklepu jest polski Żyd. Bawi on tu zaledwie trzy lata, a już zdołał się niezgorzej wzbogacić. Od razu też wychodzi p. Goldman i wyraża zadowolenie, że może tu powitać pana księdza z Polski.

Opowiada mi, że skupuje w okolicy kawę, ryż, skóry i handluje, czym tylko się da. Mówi, że zostanie tu jeszcze dwa lata, a potem pójdzie do stolicy założyć „welki interes“. Pracuje u niego pewien Polak, przybyły niedawno z kraju. Goldman zobaczył go w stolicy i zabrał ze sobą

Wieczorem docieramy do Figueiry. Zaraz idę na plebanię. Dom to dosyć okazały, otoczony palmami kokosowymi.

Tutejszym zwyczajem klaszczę w ręce, oznajmiając swe przybycie. Na wołanie „o de casa“ — nikt nie wychodzi. Widocznie proboszcza nie ma w domu. Idę więc szukać w osadzie. Zastaję go wreszcie w gronie przyjaciół.

Proboszcz Heinrich N i e w i n d był mocno zaintrygowany wizytą. Dawno tu już obcego konfratra nie było. Zerwał się więc od razu i witał się serdecznie.

„Como vae vossa mercè“ — jak się masz waszmość? — odezwał się miejscowym zwyczajem, klepiąc mię po ramieniu. Ale jakie było jego zdziwienie, kiedy zacząłem mu wyjaśniać cel wizyty w narzeczu westfalskim. Poprzednio już bowiem mi mówiono, że Padre Henrique — jak go wszyscy nazywają — jest dobroduszny westfalczykiem.

Następnie przedstawiłem się jego towarzyszom. Gdy się dowiedzieli, że to „padre polonez“ — ksiądz polski — mówili mi od razu, że w Figueirze mieszka również jeden „polonez“ i nazywa się Mażeci. Wnet też kilku wybiegło, aby sprowadzić mego rodaka.

Po chwili zjawia się ów Mażeci, który w rzeczywistości nazywa się Jan Maciejewski. Urodzony już w Brazylii, niedużo po polsku, potrafi. Opowiada mi na pół po polsku i portugalsku, że ojciec jego przyjechał „z Alemanii, gdzie je mimiecki cysorz“. Jest tu „matadorem“ czyli rzeźnikiem i powodzi mu się dobrze. Na szyi miał zawieszony medalik św. Józefa, a Padre Hen-

rique chwalił go, że pobożny jest i pracowity i do kieliszka nie zagląda.

Tak samo chlubnie wyrażał się X. Niewind o innych Polakach, którzy mieszkają w obrębie jego parafii. Główne ich skupisko to *Patrimonio dos Polaccos*, miejscowość, którą przed 40 laty sami założyli. Mają tam śliczny kościół z Matką Boską Nieustającej Pomocy w ołtarzu. Niestety, może ich odwiedzić tylko trzy razy do roku i to jedynie przez dwa dni, gdyż parafia jego obejmuje przestrzeń 4 tys. km kwadratowych. Na jej obszarze znajduje się przeszło 30 kościołów i kaplic.

Opowiada mi, że teraz objazdy nie są tak trudne, gdyż są miejscowości, do których można dotrzeć samochodem, a dokąd niedawno jeszcze jeździł tylko na mule. Wybierał się wówczas na kilku mułach z kościelnym, bagażem, ołtarzem i sprzętem liturgicznym. Zaszywał się na parę miesięcy w dziewicze lasy, docierając do najdalej nawet mieszkających owieczek.

Nazajutrz odprawiłem Mszę św. o godzinie 5. Był obecny na niej mój rodak. Ogromnie się ucieszył, gdy mu dałem medaliki i obrazki polskie. Mówił, że nigdy nie zapomni tego dnia, w którym po raz pierwszy w życiu ujrzał księdza polskiego.

Miałem znowu szczęście. Trafiła się okazja, aby pojechać do *Patrimonio dos Polaccos*. Wybierał się tam jakiś poczciwy Brazylianie samochodem ciężarowym, naładowanym tym razem samym ryżem. Pożegnałem się więc z Padre Henrique oraz z p. Maciejewskim i w drogę. Przyznam, że na workach ryżu

lepiej się siedziało, niż na kawie. Przy tym nie trzeba było tak często schodzić i spieszyć z pomocą, jak poprzednio.

Wreszcie podjeżdżamy do Patrimonio. Po drodze ogromne plantacje kawy. Na stokach górskich, pod ścianami skalnymi, wszędzie kawa, po części już polska.

Za chwilę stajemy przed domem pierwszego kawiarniarza polskiego, p. Trzoska, pochodzącego z Ostrówka nad Gopłem. W pierwszej chwili zakłopotanie, a potem rozczulenie i radość, że po 40 latach przybywa pierwszy gość i duszpasterz z ojczystych stron.

*Wśród polskich kawiarzy*

Państwo Ducha św. Pierwsza kolonia polska. Radosna wieść. Abominatio desolationis. Polskie nabożeństwo. W odwiedziny. Polska kawa. Zamożny kawiarz, analfabeta. Dzień Zaduszny.

Było to w roku 1873. Od brzegów Europy odbijał okręt nieduży, co żagle miał rozpięte białe i w daleką udawał się drogę. Do Brazylii zdązał, do tej ziemi obiecanej, kędy wiosna wiekuista. Na pokładzie było kilkadziesiąt rodzin polskich „pielgrzymów“. Lud to był pomorski spod Starogardu głównie i Kwidzynia. W świat szeroki jechał za chlebem, jechał budować nową ojczyznę.

A długa to była droga i mozolna. Jechali przeszło trzy miesiące. Czasem wiatru zbrakło i żagle leniwie zwieszały się z masztów. To znowu burze szalały ogromne, co statkiem niby łupinką rzucały po wyjąłym oceanie. Wówczas to lud ten tułaczy przed obrazem Częstochowskiej klękał i płakał i o zmiłowanie błagał. A ona Jasnogórska Panienka u Syna się za nim wstawiała — i ustawały burze i uciszenie następowało wielkie.

I Bóg ich zaprowadził szczęśliwie na tę brazylijską ziemię. A ci co tam rządy sprawowali, kazali im wy-



bierać krainę, w którejby osiąść chcieli. A oni dowiedziawszy się, że istnieje kraina pod wezwaniem Ducha Świętego, wszyscy ku niej podążyli.

Ale ciężkie tu były początki. Klimat gorący, dziki bór dziewiczy, drzewa w nim twarde, że aż topory się tępiły. A ona tęsknota za ojczyzną ukochaną i te choroby przeróżne, co okrutnie prześladowały dzielnych synów Pomorza. Pieśni nabożne śpiewając i popłakując czasem, pracowali w pocie czoła — i wytrwali.

Nadeszły świeże posiłki. Szedł lud spod Płocka i Kalisza. Więc raźniej im było i weselej, jako że już większa była gromada.

Wychodźcom naszym od razu przydzielono spory szmat lasu dziewiczego pod uprawę. Nasze Wyrwidęby i Waligóry rącho zabrały się do pracy. Ale cóż, kiedy klimat tropikalny zaczął dziesiątkować ich szeregi. Rozpacz ogarnęła wszystkich. Zbuntowali się i chcieli wracać do kraju. Lecz, gdy przyznano im tereny inne, zdrowsze, zostali. Tak powstała pierwsza kolonia polska w Espirito Santo. Nazwano ją Patrimonio do Santo Antonio dos Polaccos, jako że kolonista polski oddał się pod opiekę św. Antoniemu.

Później rozproszyli się po całym stanie. Poszli do starych kolonii włoskich czy niemieckich lub też zakładali nowe. Nową taką kolonią było również Patrimonio dos Polaccos, położone nad rzeką Lage. I do tej właśnie osady przybyłem przed pięciu dniami. Oprócz p. ministra Grabowskiego, posła Reczypospolitej w Rio de Janeiro, który bawił tu w przejeździe przez parę godzin, dotychczas nikt z Polski nie

odwiedził tego ustronia. Toteż radość była wielka, kiedy zawitał tam pierwszy ksiądz polski.

Od razu wysłano gońców do wszystkich domów polskich, nawet do tych z nad Corrego de Caixada. A są to prawie trzy godziny drogi. Na drugi dzień na nabożeństwo stawili się wszyscy. Jechali na koniach i mułach, lecz większość przyszła na piechotę. Przyszli też Brazylijanie i dużo Włochów, którzy tam razem z nimi mieszkają.

Kościółek jest niewielki. Cały murowany, wewnątrz i zewnątrz pobielany. Zbudowany na wzniesieniu, panuje nad osadą i bliższą okolicą. Po bokach jest wolna przestrzeń. Dalej na lewo bożamęka i cmentarz. Po prawej plebania, schludna i przestronna, cała z drzewa cedrowego i imbui. Świeci jednak prawie zawsze pustkami. Tylko trzy razy do roku otwiera swe gościnne podwoje, gdy Padre Henrique zjeżdża tu na dwa dni, aby błogosławić związki małżeńskie, chrzcić i święcić groby tych, co w międzyczasie pomarli.

Między kościołem a plebanią nasi zbili się w gromadę, w oczekiwaniu tego pierwszego polskiego nabożeństwa. Gwarzyli sobie i opowiadali. Starzy po polsku, reszta zaś po portugalsku.

Jechałem z kolonistą Trzoskiem, u którego nocowałem. Gdy nas ujrzano, zaczęto dzwonić w wielki dzwon. Taki jest tu zwyczaj. I nie dziw, skoro ksiądz tak rzadko tu przyjeżdża.

Na pozdrowienie „Niech będzie pochwalony“ jeno ci najstarsi odpowiedzieli. Potem powitanie, łzy, wybuchy radości. Ale i młodzi witali serdecznie, klepiąc

mnie tutejszym zwyczajem po ramieniu. Ośmieleni mówili nawet po polsku, choć bardzo słabo, używając bezustannie zwrotów portugalskich.

Kiedy im rozdałem medaliki i obrazki Matki Boskiej Częstochowskiej, świętych polskich, okazało się, że nie umieją czytać. Zaledwie pięciu znalazło się „czytających“. Reszta nie umiała czytać i pisać ani po polsku, ani po portugalsku. Pytam ich, co będą śpiewali podczas Mszy św.

My zabocyli śpiewać, ojculku — odpowiadają, za wstydzeni.

Prawdziwa „brzydkość spustoszenia“.

Podczas Mszy św. śpiewali pieśni nabożne po portugalsku razem z Brazylianami i Włochami. Kazanie potem. Skupili się w koło ambony w oczekiwaniu tego słowa Bożego, co po raz pierwszy brzmieć miało po polsku na obcej ziemi.

— Rodacy, pozdrowienie wam wiozę od tej ziemi polskiej ukochanej i od tej Matuchny Częstochowskiej.

I dziwna jakaś żałość chwyciła wszystkich za serca, że od łez powstrzymać się nie mogli, co obficie zraszały ich zbiedzone lica wygnańcze.

Potem słowa uznania, że wytrwali we wierze ojców. Słowa zachęty w końcu, by i nadal tej świętej wiary się trzymali, żyjąc i umierając dla Jezusa i Jasno-górskiej Paniienki.

Potem modlitwy przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej po polsku. Jakaś rzewność ogarnęła wszystkich. Płakali i szlochali, korząc się przed Panną świętą.

Na naukę katechizmu zjawilo się sporo. Cóż, kiedy nawet nie wszyscy przeżegnać się umieli. „Zdrowaś“ po polsku lub portugalsku umiało zaledwie kilku.

Wykład o kraju bardzo ich zainteresował. Szczególnie przyglądali się obrazkom i fotografiom, przedstawiającym miasta polskie, przemysł, stroje ludowe i zwyczaje.

Materialnie mają się dość dobrze. Mają duże planacje kawy, trzciny cukrowej, ryżu, mandioki. Odwiedzałem ich kolejno. W objazdach tych towarzyszyli mi Stanisław Frąckowiak, rodem z Ostrówka nad Gopłem, Antoni Rafalski spod Kwidzyna i Marceli Gratek z gminy Czosny, pow. brzezińskiego. Wszyscy trzej zamożni gospodarze, poważani i szanowani przez swoich i obcych.

Zajeżdżaliśmy zwykle przed dom, zawsze czysty i bielony, z ogromną werandą i dachem spadzistym na przedzie. Potem zsiadaliśmy z koni, którym rzucano wiązkę liści palmowych. Po poświęceniu domu następowało zwiedzanie obejścia i plantacji.

Przyznać należy, że rodacy nasi pracują z ogromnym zapałem i poświęceniem. Przyszli bez grosza, a dzisiaj dorobili się majątku. Głównym źródłem dochodu jest k a w a. Każdy z moich towarzyszy posiada blisko 20 tys. drzewek kawowych, z których rok rocznie zbiera 300 worków kawy. Jeszcze przed trzema laty za worek kawy płacono 200 milrejsów. Więc z bogacili się nieźle. Dziś kawa spadła o dwie trzecie, ale jednak zawsze się opłaca.

Jak tylko okiem sięgnąć na wzgórzach i stokach wszędzie kawa. Niektóre krzewy właśnie kwitną.

Kwiecie bielusieńkie jak śnieg marcowy. Odurzająca woń, przypominająca nasze konwalie i jaśminy, łechce nasze nozdrza, a my chodzimy wśród prostych rzędów drzewek kawowych i napatrzeć się nie możemy tej polskiej kawie na brazylijskiej ziemi.

Taka plantacja kawy wymaga jednak dużo pracy. Trzeba ciągle koło niej chodzić, czyścić, okopywać, wycinać. Toteż rodzina kawiarza pracuje ciężko od rana do wieczora. Zazwyczaj rodziny są tu bardzo liczne. Widziałem tu po 12, 13 i więcej dzieci. Rodziny, mające 7 — 8 dzieci są rzadkością.

Najładniejszą gospodarke i najkulturalniejsze plantacje ma p. Antoni Rafalski. Prawie 70-letni starzec ciągle jeszcze pracuje nad ulepszeniem gospodarstwa. Mimo siedemdziesiątki p. Antoni trzyma się prosto, jak wojskowy. Przybył do Brazylii przed 60 laty. Przypomina sobie dobrze ową trzymiesięczną podróż na „wiatrówe“ przez ocean. W Brazylii nie zaznał niczego, prócz pracy. Liczne, okropne blizny, oto ślady tej ciężkiej pracy, tego zmagania się z dziewiczym lasem i przyrodą. Jest analfabeta, ale posiada dużo wrodzonej inteligencji. Ma 12 dzieci dorosłych; wszystkie już na swoim, ale wszyscy analfabeci, jak ich ojciec.

Dom nowy, nowe budynki. 30 sztuk bydła, 18 tys. drzewek kawowych i 250 hektarów ziemi i pastwiska, oto dorobek jego życia, niestety tylko materialny.

Jest D z i e ń Z a d u s z n y. Rano odprawiłem nabożeństwo żałobne za dusze Polaków, zmarłych w tej kolonii. Przedtem ćwiczyliśmy „Przez czyścicowe upalenia“. Potem kilku tę pieśń śpiewało podczas Mszy św.

Była to kakofonia, jak na zamówienie. Ale w każdym razie przełom i początek lepszej przyszłości.

Wyruszyliśmy w procesji na cmentarz umarłych. Pierwsza procesja w dziejach kolonii! Na przodzie niesiono krzyż, za nim chorągwie czarne, czerwone, jakie tylko były w kościele. Każdy trzymał w ręce świecę zapaloną.

Droga to była męcząca pod owe góry wysokie, zwłaszcza, że słońce prażyło promieniami oślepiającymi. Stawaliśmy pod krzyżem cmentarnym, przy którym rosły palmy wysmukłe. Tam lud klękał w pokorze i w piersi się bił i za umarłych modły odprawiał. Potem na groby, mogiły zapadłe, krzyżyki chwiejące się, skrzypiące, padały krople wody święconej. A potem dymy kadzidła unosiły się nad polskimi grobami. Niby welony jakieś tajemnicze szły od grobu do grobu, aż się górą rozwiały. Takie to wzruszające obrzędy po raz pierwszy odprawiały się przy mogiłach wygnańców polskich. Bo biedni oni bardzo. Umierali bez kapłana, bez świętych Sakramentów. I taki sam los czeka żyjących. I to ich najwięcej boli.

Wieczorem znowu się zbieramy na cmentarzu. Na grobach zapalają świece. I płoną setki świec, symbole wiekuistej światłości. Przypomnieli sobie pieśni nabożne i śpiewają je z zapalem. Potem odmawiamy głośno różaniec.

Łzy się leją pod krzyżem cmentarnym i modlitwa płynie pokorna pod Boży tron. Płynie za dusze tych polskich kawiarzy, co tu na wygnaniu pomarli w wielkiej tęsknocie za ukochaną Ojczyzną.

## Pomorski lud

Zagrożona pozycja. Niebezpieczna przeprawa. Przez las dziewiczy. Przed obrazem Częstochowskiej. Chłuba Pomorza. Koncert samorodny. Dobrobyt i nędza. Ułańskim szlakiem.

Po dniu Zadusznym wyjeżdżałem z Patrimonio dos Polaccos. Był rozśłoneczniony dzień, pełen skwaru i gorąca. Powietrze przesiąknięte wonią niezliczonych tajemniczych kwiatów, co kwitły na przydrożach, polanach, na konarach i w rozwidleniu drzew.

Na pożegnanie stawili się wszyscy. Oprócz Polaków — Włosi i Brazylianie.

— A wróćcie ino rychło do nas — „até à volta“ — do widzenia, wołali i zapraszali serdecznie.

Potem w drogę przez L a r a n i a l i C a s a B r a n c a do Collatina. Taki był właściwie plan. Szyki się jednak popsuły. Przyjeżdżam do C a s a B r a n c a, a tu dwóch jeźdźców zastępuje mi drogę. Są to Włosi z pobliskiego I t à. Mam jechać z nimi, aby odprawić tam nabożeństwo. Już od roku nie mieli Mszy św. Adwentyści, metodyści, spirytyści wdzierają się do osady i bałamucają ludzi.

Nie pomagają perswazje, że jeżdżę tylko po koloniach polskich, że w C o r r e g o d' A n t a Polacy już

mnie czekają. Wytaczają argumenty o powszechności Kościoła z prawdziwie włoskim temperamentem. Nie było rady. Trzeba było ustąpić. Za chwilę już cwałowaliśmy w stronę tak bardzo zagrożonej duszpasterkiej pozycji.

Na drugi dzień nabożeństwo. Stawiło się wiele ludzi. Dzieci szkolne stały w rzędach, poubierane w mundurki harcerskie. Starsi klęczeli, korząc się przed Majestatem Bożym. Śpiewano pieśni włoskie i portugalskie. I jakaś dziwna pobożność, jakieś ukochanie sprawy Bożej biło z tych pieśni gorących, że za serca chwyciła wszystkich. I ten kościółek stary, i te palmy dookoła szumiące, i ten ołtarz Pański, wszystko radowało się spolem, jako że na te miejsca Bóg znowu zstąpił żywy, utajony w świętym Sakramencie.

Krótką potem nauka w języku portugalskim. Słowa zachęty do wytrwałej służby pod proporcem Chrystusowym — i dalej w drogę!

W Collatina czekali już wysłańcy z Corrego d'Anta: Jazdzewski Michał i Adam Rafalski. Początkowo byli onieśmieleni. Wreszcie zbliżyli się z zapytaniem:

— To wy jesteście polski „padre“?

Dowiedziawszy się, że długo już czekają, zapakowałem niezwłocznie swe manatki do „m a l i“ — torb, przymocowanych do siodła. Potem dosiadłem ślicznej gniadej klaczy, którą przyprowadzili dla mnie.

Jedziemy kłusem przez miasteczko, potem ścieżką udeptaną przez pola ryżowe. Na przedzie Michał, za mną Adam. Kazali mi jechać w środku, tłumacząc, że tak jest lepiej, bo nic mi się stać nie może.



Dojeżdżamy do Santa Maria, prawego dopływu Słodkiej Rzeki. Rzeka ta płynie w głębokim wąwozie i ma kamieniste łozysko. Jest nieco szersza od Warty pod Poznaniem. Woda w niej mętna po ostatnich ulewach.

Znak Krzyża św. i wjeżdżamy do wody. Konie ślizgają się z kamienistych progów. Raz po raz utykają i niespokojnie rzucają się w wodzie. Sadzą szczupakami, strzygą uszami i parszczą przez wydęte chrapy, jak gdyby w obliczu niebezpieczeństwa. W mig pokrywają się pianą i drżą, jak gdyby przestraszone. Wreszcie docieramy do brzegu. Konie stają dęba, aby podejść do wysokich progów, a potem wychodzą na równą polanę.

Ubranie porządnie się zamoczyło, lecz w krótkim czasie wysuszyło je słońce, oślepiające, gorące.

Towarzysze rozgadali się na dobre. Często brak im wyrazów polskich. W mig jednak polszczą słowa portugalskie i tak zaradzają „falcie palawer“ — brakuje słów polskich, lękając się tylko, aby ich za to nie „kastigować“ — łąjać.

Są oni zresztą, tak samo, jak wszyscy z tej kolonii, dzielnymi synami Pomorza spod Starogardu i przed 40 laty przybyli w te strony. Chłopcy, jak się patrzy, tęgi pomorski lud.

Cwałujemy jakąś godzinę brzegiem Słodkiej Rzeki, a potem wjeżdżamy w las dziewiczy. Giniemy w fioletowym półmroku i zieleni. Odurza nas zapach kwitnących ipé i jaśminów. Raz po raz tylko promień

słoneczny przedrze się przez zbity gąszcz i twarze nasze i ręce maluje w złote kófeczka.

Po dwu i pół godzinach docieramy do rzeczki Corrego d'Anta. Nad rzeczką tą rozłożyła się osada tej samej nazwy. Oto cel naszej podróży. Mieszka tu kilkanaście rodzin polskich kawiarzy, pomieszanych z Włochami i Brazylianami.

Nie ma kościoła, więc dom prywatny zamieniamy na świątynię Bożą. Przez pięć dni w ubogim domku rozbrzmiewa chwała Pańska. I to w polskim ojczystym języku. Ten i ów ze starych przypomniał sobie jakąś pieśń Maryjną, którą kiedyś śpiewał w kraju. Wszyscy uczą się na gwałt, a potem śpiewają, że aż domek trzęsie się od tej serdecznej wichury głosów:

*Usłyszałem wdzięczny głos,  
Jak Maryja woła nas:  
Pójdźcie do mnie, moje dziatki!  
Przyszedeł czas, ach, przyszedeł czas...*

Śpiewają przed obrazem Częstochowskiej, którą stary Rafalski przywiózł jeszcze z kraju. Śpiewają rano, wieczorem i gdy na katechizm się zbierają. A Pannienka Święta litościwie na nich spogląda, bo taki biedny ten lud polski, a taki wierny świętej sprawie. Nikt ich prawd Bożych nie uczy, a jednak wiara ich tak silna i potężna! Wspaniałe działanie łaski Boskiej!

Przychodzą stare wężale po 35 lat i więcej, aby przygotować się do pierwszej spowiedzi świętej. Inni po 40 latach przerwy przyjmują Jezusa Eucharystycznego. Tak, ostatnia spowiedź w kraju — 40 lat temu.

I znowu dzisiaj. A chęci mieli przecież szczere, a serca ich trawiła tęsknota za Chlebem żywota! A jednak, nie znając dobrze obcej mowy, nie wazyli się otwierać głębin swej polskiej duszy.

Wesele jest więc wielkie. Nie opuszczają żadnego nabożeństwa. Wiodą swe dzieci, nawet niemowlęta. Chcą siebie i pisklęta swe nasycić karmią Bożą na długi czas. Leje deszcz jak z cebra, a oni przychodzą i w ciemnościach potem wracają ścieżyną leśną — miłą, dwie lub więcej. Wszędzie ta sama radość, to same rozczulenie.

I grały nam w duszach niebiańskie melodie, a w sercach szczęście aż się przelewało. Ubogie domki zamieniały się w świątynie Pańskie. Ściany domów mieniły się setkami świateł. Przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej paliły się świece dzień i noc i dusze tam śpiewały bezustannie, nie czując zmęczenia.

Żniwo było wielkie, a anioły Pańskie na skrzydłach białych do niebios zносиły obfity plon.

Takich synów wydało Pomorze! I dumnym być może z owych Jażdżewskich, Rafalskich, Włodkowskich, Kapickich, co stoją na straży wiary i polskości Chrobrych obyczajem.

Prawda, że dzieci ich słabo nieraz mówią po polsku. Ale nikt im przecież dotychczas o Polsce nie mówił, nie tłumaczył, że zachować należy ojczysty język i obyczaj.

A jak im serca rosły, gdy usłyszeli po raz pierwszy polskie melodie, wyjątki z oper polskich, słowo polskie, odtworzone na płycie gramofonowej! Aż nogami prze-

bierali, gdy gramofon ochryłym głosem obertasy, mazury i kujawiaki różne wygrywał.

Albo ono wesele Bartkowe na płycie! Pięć razy z rzędu go słuchali i ciągle za mało. A potem je sobie powtarzali, to przygwizdywali, to podśpiewywali.

Gorzej naturalnie, jeśli ktoś wziął sobie za żonę Włoszkę lub Brazyliankę. Tam już polskość zamarła. Tam i nazwisko polskie wykoszlawiło się do cna. Trudno już poznać, że Collombequi to poczciwy Gołąbek pomorski spod Starogardu. Lecz to wyjątki.

Materialnie mają się dobrze. Każdy z nich ma przynajmniej 25 hektarów ziemi i 10 tys. krzewów kawowych. Są i tacy, co mają 100 i 150 hektarów. Najmajątniejszy jest Michał Jażdżewski z 200 hektarami ziemi i 25 tys. krzewów.

Pytam się starego Jażdżewskiego, pochodzącego spod Starogardu, co mu się tu najwięcej podoba, a co najmniej.

— Najwięcej — odpowiada — to to, że ziemia dobrze rodzi. Wsadzisz do niej suchy kijoczek, a on rośnie. A jeszcze to, że zawdy tu ciepło i że nie trzeba takich czornych kamieni, co w Europie nazywają wangle. — A, co najmniej, ciągnie dalej, że człowiek mizerny żyje nie przymierzając jak to bydełko. Przydzie niedziela, świanto ani to ksiandza, ani nabożeństwa. A już najgorzej tu umierać przez świantej spowiedzi. Jak se o tym pomyślę, to się serce kraje!

I rozpląkał się staruszek jak dziecko przy tych słowach. A łzy te płynęły szerokimi brózdami po po-

marszczonej twarzy, takie jasne i serdeczne, jakoby o zmiłowanie Pańskie wołały do niebios.

Oglądałem szczegółowo ich gospodarstwa i plantacje. Nie można było ominąć żadnego domu. Tak serdecznie prosili. Więc święciłem im domy, obrazy świętych i ich dobytek.

O Polsce mało co wiedzą. Nikt z nich nie wiedział, które miasto jest stolicą Polski, która rzeka największa i jakie są bogactwa naszej ojczyzny. Takie same zresztą pojęcie mają o Brazylii, w której tyle lat już mieszkają. Ale też nikt ich tego nie uczył.

Tak, trudno się obyć bez księdza i nauczyciela w życiu zbiorowym.

Ostatnie nabożeństwo, ostatnia nauka! Siadamy na koń. Znalazło się 20 towarzyszy z brazylijskim „subdelegado“ czyli wójtem na czele. Ogromne ostrogi u nóg, noże i pistolety za pasem z gracją zarzucone „pale“ — peleryny i wielkie „rondeiry“ — kapelusze na głowie dodają im uroku. Chrząst siodeł, brzęk uderzających o siebie strzemion i tupot koni, niczym szwadron polskich ułanów. Pędzimy, aż ziemia dudni przez bory dziewicze, góry i rzeki — do innych kolonii, do braci naszej ukochanej, kędy biją polskie serca.

## Królewskie dni

Jedna z najstarszych kolonii. Tajemniczy jeździec. W Mutum. Polski patriarcha. Odwiedziny po domach. Baunilskie góry. Na wiekuistą drogę. Radość i smutek.

Jedną z najstarszych kolonii polskich w stanie Espirito Santo jest B a u n i l h a. Nazwa ta pochodzi od rzeczki, która przez kolonię tę przepływa. Rzeczka znowu wzięła nazwę od licznych tu roślin wanilii, które po portugalsku nazywają „baunilha“.

Baunilha ma zakończyć objazdy moje w krainie św. Ducha. I tam bowiem jest sporo rodzin polskich, które przed 40 laty zawitały w te górzyste strony. I one dotychczas nigdy jeszcze nie zetknęły się z księdzem polskim.

W chwili, gdy wybierałem się w drogę, z M u t u m przygalopował jakiś jeździec. Twarz marsowa, ciemne oczy, czarna koszula, za pasem wielki pistolet i nóż, ogromne ostrogi — wszystko to zdradzało typowego Brazylianina.

Niezmiernie jednak się zdziwiłem, gdy ten tajemniczy jeździec oznajmił mi w gwarze brazylijskiej, że jest Polakiem. Wprawdzie po polsku już nie rozumie, bo żyje w otoczeniu Brazylian, ale czuje się Polakiem i polskie nosi nazwisko.

— „Eu me chamo Punseque“ — nazywam się Punsek — przedstawia się z gracją.

Później dowiedziałem się, że ojciec jego nazywał się Pączek i pochodził z Płocka. Dzieci swe jednak wychowywał po brazylijsku.

Zbrazylijszczony mój rodak oznajmia mi cel swego przyjazdu. Opowiada, jak dwa tygodnie temu zmarła mu żona. Była to rodowita Brazylianka, ale bardzo pobożna. Koniecznie życzyła sobie, aby przed śmiercią sprowadzono jej księdza. Było to niemożliwe, gdyż drogi rozmokły, a do księdza bardzo daleko. Więc musiał uklęknąć i dać konającej uroczyste przyrzeczenie, że po jej śmierci sprowadzi jak najprędzej do Mutum księdza, co na miejscu za nią Najświętszą złoży Ofiarę. Szuka kapłana już od dwóch tygodni, ale na próżno. Wczoraj dowiedział się, że jakiś nieznanymi ksiądz jeździ po koloniach, więc przyjechał.

Pojechaliśmy razem. Natychmiast zaprowadził mnie na cmentarz, na grób swej żony. Zabrał ze sobą i dzieci. Było ich sześcioro. Wszystko poubierane w czarne koszulki, na znak żałoby.

Cmentarz był na wysokiej górze. Na owe miejsce wiecznego spoczynku wspinaliśmy się jakie pół godziny. Poświęciłem grób, a potem uklękliśmy. Na przemian płynęły modlitwy i łzy, a cisza była jakaś utajona i jedno palmy szumiały przy grobach.

Na drugi dzień nabożeństwo żałobne. Potem dalej w drogę. W Corrego Secco przejeżdżamy przez plantacje kawy, należące do wdowy Adamkowskiej. Podjeżdżamy tylko pod dom, aby oznajmić czas

jutrzejszego nabożeństwa. Potem, nie schodząc już nigdzie z koni, docieramy do Baunilha.

Kościółek tu nieduży z Matką Boską Bolesną w ołtarzu. Zbudowali go Polacy przed 15 laty. Położony jest osobiwie, bo na wysokiej górze i otoczony zewsząd krzewami kawowymi. Jenó wąska dróżka przerzyna owe morze kawowe, prowadząc do kościoła.

Blisko kościółka prawie nikt nie mieszka. Dopiero o godzinę stąd zaczynają się osady polskie. Mimo tej odległości nazajutrz przyjechali wszyscy. Przyjechali już rychłym rankiem, gdy byłem pogrążony jeszcze we śnie. Ksiądz tu zwykle nocuje w minaturowej plebanijce, zbudowanej obok kościoła.

Zbudził mnie dopiero tupot koni i gwar ludzki. Gdy przetarłem oczy, ujrzałem przez otwarte okna całe to zgromadzenie, a tuż za nimi dziesiątki ich koni, swobodnie pasących się na polanie. Za chwilę byłem ubrany. Potem powitania, wybuchy radości i zadowolenia. Zebrani byli Konopkowie, Kaleńscy, Jakubowscy, Rembińscy, Adamkowscy, Grudzikowie i inni. Wszystko lud dzielny i wielce pobożny, z Królestwa pochodzący.

Przewodził im stary Matuszak Stanisław, rodem z Perłowa, powiatu kaliskiego. Staruszek blisko osiemdziesięcioletni, siwy jak gołąbek. Opowiadają jak to on, niby ten prorok, narodowi zawsze przykładem przyświecał, do zachowania świętej wiary ojców i mowy ojczystej wszystkich zachęcając.

— Żeby nie Matusok, to bycik my wszyscy pomarnieli — wołają jeden przez drugiego.



Staruszek jest wzruszony. Mówi, że od roku wszystko go boli i z domu nie wychodzi. Jednak nie chciał opuścić tego pierwszego nabożeństwa polskiego na obcej ziemi. Jechał blisko trzy godziny na koniu. Chwilami myślał, że nie dojedzie, bo mu się źle robiło. Bóg jednak pozwolił mu oglądać to szczęście przed śmiercią.

Nabożeństwo potem żałobne za zmarłych Polaków w Baunilha. Stary Matuszak przewodził. Czasami głos mu się urywał, to znowu kaszel go dusił zjadliwy. Ale on śpiewał — po raz ostatni w swym życiu na polskim śpiewał nabożeństwie.

Potem procesja żałobna na cmentarz. Wprawdzie dwa tygodnie już minęły od dnia zadusznego, ale prosili, żeby wspólnie umarłych odwiedzić, pokropić ich groby i za nich się pomodlić.

I tak przez cztery dni nabożeństwa rano i wieczorem. I spowiedzi święte, niektóre po 40 latach, jako że dotąd nigdy nie było kapłana, co by rozumiał ich mowę ojczystą. I te uczyty eucharystyczne, kiedy dusze łączyły się z Panem nad Pany!

Królewskie to były dni, pełne wiośnianych woni i łaski Pańskiej. Nawet niebo było nam przychylne. Bo, toć to pora deszczowa, słońce świeciło bezustannie, wyzłacając góry i parowy i krzewy kawowe.

W czasie tym odwiedziny po domach. Towarzyszą mi koloniści na koniach. Radują się i śpiewają z całej duszy. Pieśni do Matki Bożej nasamprzód, a potem i figlarne i dowcipne, słyszane kiedyś w domu:

*Tancowały dwa Mnichały  
Jedan duży, drugi mały.  
A tan duży buł bogaty  
Kupsiuł sobie róg tabaki...*

Wszędzie średnia zamożność i dostatek. Choć sporo urwało się z powodu katastrofalnego spadku cen za kawę. W razie jednak sprzedaży kolonii, każdy z nich osiągnąłby 30 tys. milrejsów, choć dwa lata temu dostałby dwa razy tyle. Więc dorobili się nieźle, gdyż wszyscy przecież przyszli tu bez grosza. Oto skutek wytrwałej pracy i poświęcenia. Kolonista polski zdał tu naprawdę egzamin z swych zdolności kolonizatorskich.

W każdym domu częstują kawą. Taki to zwyczaj w Brazylii. Kiedy się wchodzi do domu, na pierwsze podają kawę. Nawet w poczekalniach różnych urzędów częstują kawą, aby się klienci nie nudzili.

Kawa jest zazwyczaj bardzo mocna, a pije się ją bez mleka. Za to cukru jak najwięcej. Połowa cukru, połowa kawy! Naturalnie, że cukier ten wyrabiany z trzciny cukrowej, nie zawiera tyle słodczy co nasz. Jest za to o wiele smaczniejszy.

Kawę pija się przez cały dzień — i nic nie szkodzi. W kraju nieraz jedna filiżanka zepsuła mi sen. Tu przeciwnie. Może to klimat tropikalny neutralizuje złe skutki kofeiny.

Nie zapomnę baunilskich gór i tych wąskich ścieżyn nad przepaściami. Trzeba się mocno trzymać w strzemionach, aby nie spaść. Za to ze szczytów

wspaniały widok na Słodką Rzekę, która krętą wstęgą gdzieś na nieboskłonie toczy swe wody, dalej na Góry Diabelskie, o fantastycznych kształtach, a wokoło — sama kawa.

Wśród tych gór mieszkają nasi kawiarze. Mieszkają w schludnych domkach pobielanych, otoczonych palmami kokosowymi. Obok domu zazwyczaj śpichlerz, przy nim rodzaj klepiska do mycia i suszenia kawy, potem inne zabudowania gospodarcze i ogród z owocami tropikalnymi.

Bardzo ładne zabudowania ma zięć starego Matuszaka, u którego staruszek jest „na chlebie”. Wszystko to pobudowane przez niego. Zastaliśmy go przy małym ołtarzyku domowym, modlącego się z „Dunina”.

Staruszkowi udzieliłem Sakramentu Ostatniego Namaszczenia. Wszyscy uklękli i w piersi się bili, a łzy im płynęły ciurkiem. Boć przecież klęczeli u łóża swego hetmana i wychowawcy, co już niezadługo miał udać się w drogę wiekiustą.

Migotliwy płomyk jarzących się świec rzucał długie cienie na głębokie brózdy, którymi zorana była wybladła twarz polskiego patriarchy. Choć rysy jego wyciągnęły się cierpieniem, w oczach paliły się blaski radosne, jakoby zwiastuny bliskiej już glorii niebieskiej. Staruszek złożył ręce. Ledwie słyszalnym głosem szeptał:

— Teraz puszczasz sługę swego w pokój, albowiem moje oczy oglądały polskie zbawienie...

W zagaju bananowym wiatr wygrywał smutne melodie. Nad domem krążyły czarne kruki „urubu“ zwiastuny śmierci...

W pobliskich koloniach Triunfo i Povoação Baulilha te same objawy szczęścia i radości. Czasami tylko serce krwawiło, gdy się patrzyło na rodaków naszych, zwłaszcza tych, co opuściwszy polską gromadę, zobojętnieli dla wiary lub polskości.

W P o v o a ç â o zgłasza się José Symão. Ma lat 38, a jeszcze nie był u pierwszej spowiedzi św. Jest Polakiem, ale po polsku prawie, że nic już nie rozumie. Ojciec jego nazywał się Szymański.

W C o r r e g o d e B o m J e s u s odwiedzam dom murzyna nazwiskiem Edelvino Santa Anna. Żonę ma Polkę — Jadwigę Wietrzykowską. Dzieci jedenaścioro. Wszystkie nieco jaśniejsze od ojca, ale jednak czarne, choć płynie w nich i krew polska.

Takie to były duszpasterskie eskapady w wspa-  
niałe, królewskie dni.

## *Czerwonym szlakiem*

Ku morzu. Polak, wieczny tułacz. Kabokle. Pod znakiem rewolucji. Przyszłość Kościoła. Polacy rewolucjoniści. Wzdłuż wybrzeży. Prezydent wygnaniec. W klasztorze na wzgórzu.

Skończyły się moje duszpasterskie objazdy w krainie Ducha św. Po długich tygodniach znowu dotarłem do szlaku cywilizacji. I jakoś dziwnie mi się wydawało, gdy w *Estacão Baunilha* wsiadałem do kolejki wąskotorowej, łączącej stan Minas Geraes ze stolicą stanu Espirito Santo.

Uwoziła mnie chybotliwa kolejka daleko od tych rodaków ukochanych, co wśród gór i kawy nad Słodką Rzeką żywot wiodą zapomniani.

W całej Brazylii nie ma miejsca ani miasteczka, w którym by się nie spotkało Polaka. Wszędzie oni są, wszędzie być muszą. Boć 200 tysięcy Polaków, to chyba nie kropelka w 36-milionowym morzu brazylijszczyzny!

W przedziale swym również spotykam Polaka. Andrzej Nagórski z Warszawy, młody inteligent, od kilku już lat bawi w Brazylii. Przyjechał do Brazylii, bo coś wołało go w świat daleki. Nie pomagały łzy i perswazje rodziców. Pojechał — i najadł się biedy. Pracował już w portach jako prosty robotnik, potem na

wielkich fazendach kawy, jako miernik w odwiecznej kniei, jako biurowy w różnych przedsiębiorstwach. Przejechał tę ziemię Św. Krzyża wszerz i wzdłuż, a nie ma zawodu, którego by się nie imał. Obecny kryzys odebrał mu pracę. Opowiadał, że chciał już dotrzeć do polskich kolonii nad Słodką Rzeką, ale wraca, bo brakło mu odwagi.

Na stacjach wagony zapełniają się kaboklami. Owi mieszkańców puszczy brazylijskich mają wygląd trochę zbójceki. Ubrani jaskrawo, noszą wielkie ostrogi u butów, kapelusze o szerokich rondach, za pasem pistolet zawsze nabity i rodzaj krótkiego bagnetu. Są to jednak dżentelmeni w całym tego słowa znaczeniu. Kabokło, albo jak nasi mawiają — kabukier, nigdy nie pociągnie za cyngiel lub chwyci za nóż w celach rabunkowych. Zabójstwa zdarzają się dość często, ale tylko w obronie honoru. Jakiś dziwny spokój filozoficzny oraz poczucie dumy i gościnność cechują tych synów głębokiego interioru.

Ucinam rozmowę z jednym z nich, rośłym mężczyzną o rysach jak gdyby z marmuru wykutych. Od razu klepie mnie po ramieniu i nazywa „amigo caro“ — drogim przyjacielem. Opowiada o zwycięstwie rewolucji. Wyraża z tego zadowolenie, bo nowy rząd będzie uczciwszy, a przede wszystkim podniesie ceny na kawę.

Po kilku godzinach jazdy w kurzu i upale czujemy ożywczy wietrzyk. Zbliżamy się do oceanu, i za chwilę nasz ekspresik wpada zziąjany do większej hali dwor-

cowej. Victoria, — czytamy napis. Tak, prawdziwa wiktoria dla strudzonych pasażerów.

Gdy w tłoku rozglądam się za bagażowym, towarzysząc mi kabokło prowadzi już jakiegoś człeczynę, który odbiera mi walizki. Przeprowadzamy się łodzią do miasta. Chcę płacić, — na próżno. Wszystko reguluje kabokło.

— „Padre“ jest gościem w Brazylii, to tylko mój obowiązek!

Tak odpowiada analfabeta z ciemnych borów brazylijskich, który zresztą pierwszy raz przybywa do stolicy stanu. Skąd się bierze ten takt i taka kultura? Widocznie płynie w nim krew wielkich konkwistadorów portugalskich.

Większe miasta żyją jeszcze pod znakiem rewolucji. Tak samo Victoria. Do dobrego tonu należy choćby jak najmniejszy strzępek czerwony. Więc kwiatek, krawat czerwony, mniejsza lub większa przepaska na lewym ramieniu. Tę odznakę noszą obowiązkowo wszyscy. Dzieci szkolne, starcy, robotnicy kupcy. Nawet ten chłopczyk ślepy, co tam opodal pod oknem ludową piosenkę śpiewa, chorągiewkę w ręce trzyma czerwoną. Nianka, murzynka pcha wózek z niemowlęciem. Murzynka, wózek, niemowlę poubierane w czerwone kokardki.

Widać wielu żołnierzy. Są oni przeważnie ze stanów, które rozpoczęły rewolucję, z Rio Grande do Sul i Minas. Udają tryumfatorów. Chodzą gromadami po ulicach i śpiewają piosenki żołnierskie. Na szyi mają wielką czerwoną chustkę i czerwoną przepaskę na

ramieniu. Chodzą nieogoleni na znak ciężkiej służby frontowej. Przechodząc obok księdza, salutują. Niektórzy nawet mają przypięty do munduru wielki medalik z Matką Boską.

Na drugi dzień widzę ich dużo w kościele. Przystępują do Komunii św. Niektórzy po raz pierwszy w życiu. W koszarach bowiem odbywają się lekcje katechizmu, udzielane przez księży z miasta lub kapelanów, których poszczególne oddziały rewolucyjne sobie zaangażowały. Dodaje, że i kapelani noszą czerwone kokardki.

Zdaje się, że dla Kościoła w Brazylii nastaną teraz lepsze czasy. Rząd obecny bardzo go popiera, za co ze strony ludności spotyka się z uznaniem. Warto tu przypomnieć, że tylko dzięki energicznej interwencji kardynała L e m e , arcybiskupa w Rio de Janeiro, były prezydent zawczasu ustąpił, przez co uniknięto dalszego rozlewu bratniej krwi.

Polacy również sympatyzowali z ruchem rewolucyjnym. Osobny oddział, złożony z ochotników polskich, w liczbie 400 ludzi, brał udział w rozstrzygającej bitwie pod I t a r a r é . Może im rząd obecny tego nie zapomni.

W przeddzień odjazdu zgłaszam się w urzędzie policyjnym po przepustkę, t. zw. „salvo conducto“. Bez tego nigdzie ruszyć się nie można. Rewolucjoniści wprowadzili ten surowy przepis dla większej kontroli. Przyznam, że brazylijscy urzędnicy policyjni są bardzo grzeczni. W poczekalni nawet częstują kawą. Potem wypisanie przepustki, odpowiedzi na różne pytania:



po co, dokąd, odcisk palca, podpis i wszystko w porządku.

Z Wiktorii można jechać do stolicy Brazylii pociągiem lub też okrętem. Cena ta sama: — 100 milrejsów. Trzeba mieć tylko szczęście. Bo jeśli morze spokojne, to podróż morska należy do prawdziwych przyjemności, zwłaszcza, że statki nadbrzeżne nie oddalają się zbyt daleko od brzegów, przez co zachwycać się można i morzem i panoramą fantastycznych gór nadmorskich.

Wybrałem okręt linii „C o s t e i r a“. Stateczki to nieduże, trochę większe od naszej „Gdyni“. Nazwy ich rozpoczynają się od „I t a“ — co znaczy po indiańsku — skała. Są tak zbudowane, że mogą swobodnie wjeżdżać na płytkie nieraz wody pomniejszych portów brazylijskich.

Gdy wsiadałem na pokład „I t a p u h y“ — był cudowny poranek. Morze o barwach szmaragdu czy szafiru. Miasto, wysepki, palmy, ogrody, pałacyki w słońcu skąpane. Trzykrotny świst syreny i „Itapuhy“ uwozi nas do stolicy. Stamtąd jeszcze 500 km na południe, a znowu będę wśród swoich, w milionowym São Paulo, kędy 8 tysięcy Polaków od dawna wyczekuje polskiego duszpasterza.

Płyniemy wzdłuż wybrzeży. Stojąc na górnym pokładzie, rozmawiam z pewnym Brazylianinem. Poznaje w nim szeroko wykształconego człowieka, o uderzającej wszechstronności umysłu.

Pytam go, z których stron pochodzi. Odpowiada, że ze stanu P a r a h y b a.

— To pan chyba znał jej wielkiego prezydenta João Pessoa, którego zastrzelili rządowcy?

— Oj, znałem go bardzo dobrze, a nawet zostałem... jego następcą!

— Jestem dr Alvaro Pereira de Carvalho, zdetronizowany przez rewolucję prezydent Parahyby — przedstawia się mój dostojny towarzysz.

— Ekszelencji rewolucjoniści nie aresztowali?

— Nie — ale kazali mi dobrowolnie pójść na wygnanie. Zresztą dobrze tak, gdyż trudno byłoby mi się pogodzić z tym, że jeden z moich podsekretarzy stanu został prezydentem.

„Sim, padre, a vida e um combatte“ — tak, księżę, bojowaniem jest życie człowieka!

Potem opowiadał mi o przyczynach rewolucji, pokazywał stopy wycinków z gazet, mówił rzeczowo i przekonująco. Zeszliśmy na inne tematy. A gdy rozlewać się zaczęło atramentowe morze nocy, w którym niby rybki złote pływały iskry, buchające z kominów, mówiliśmy o metafizyce. Na pożegnanie podarował mi swoje dzieło „Ensaio de Critica“. Ja zaś darowałem mu obrazek, przywieziony z Ziemi św.

Na drugi dzień w południe stanęliśmy w Rio de Janeiro. Chcąc się skupić duchowo, zamieszkałem przez kilka dni w klasztorze oo. Benedyktynów, tuż nad brzegiem oceanu.

Gwar wielkiej stolicy tu nie dochodził. Fale morskie monotonnie rzeźbiły się o brzegi. Budziły mię rano, a w wieczór do snu kołysały. I odżyła dusza moja.

Niby słaba latorośl wszczepiła się w winny szcep Chrystusowy. Pełnymi haustami piła z krynicy żywota.

I dobrze jej było. I myśl Boża, i skrzydła przelatujących aniołów grały na niej — w zacisznym ustroju, nad brzegami oceanu.

## *Metropolia kawy*

Z Rio de Janeiro do São Paulo. Wzdłuż Czarnych Turni. Idylla w ekspresie. W kaskadach światła. Okropna wyprzedaż. Ruch przedgwiazdkowy. Zbiorowisko narodów. Polscy nędzarze.

Jedziemy pociągiem pospiesznym z Rio de Janeiro do São Paulo. Owe 500 km mamy przebyć w 12 godzinach. Jak na pośpieszny pociąg, to sporo czasu. Jenó, znad morza musi się windować na wyżynę, wysokości 1050 m.

Pociągi brazylijskie mają tylko dwie klasy. Jest jeszcze osobny wagon salonowy na modłę amerykańską, w którym wynajmuje się foteliki. Można je przesuwac według własnego upodobania, zależnie z której strony słońce zbytńio dokuca.

Wagony nie mają osobnych przedziałów. Chodzi o to, aby było jak najwięcej powietrza. Fotele czy ławki są pokryte trzciniową plecionką. Jest to konieczne ze względu na gorący klimat. Bilet I klasy do São Paulo kosztuje 65 milrejsów, II kl. 45 milrejsów.

Prawie godzinę jedziemy przez przedmieścia Rio de Janeiro. Boć stolica Brazylii ciągnie się na przestrzeni 35 km. Prawda, że w końcu domki są już skromniejsze, ulice nieraz jeszcze niebrukowane, ale tramwaje

i autobusy łączą je ze śródmieściem.

Zbliżamy się do gór nadmorskich — Serra do Mar. Mijamy rozliczne tunele, w których duszno od zapachu siarki. Ekspres pędzi po mostach, zawieszonych nad przepaściami. Wspina się coraz wyżej. Wreszcie, pokonawszy najwyższe wzniesienie, spuszcza się do doliny Barra do Pirahy, tam, kędy się schodzą rzeki Parahyba i Pirahy.

Z obu stron otaczają nas wysokie góry. Z dala błękitnieją wzgórza Itatiaya (nazwa indyjska) ze szczytami — „Agulhas Negras“ — czarnych Turni, o 2780 m wysokości.

Wzdłuż toru widać plantacje kawy i ryżu. Ogromne, ciągnące się jak gdyby w nieskończoność. Wśród nich ubogie lepianki murzyńskie, rozsiane, otoczone polem mandioki. Raz po raz migają młode plantacje pomarańczowe. W ostatnim bowiem czasie rząd ogromnie popiera ich rozwój. Rozumie bowiem dobrze, że oparcie dobrobytu państwowego tylko na kulturze kawy doprowadziłoby do zachwiania równowagi ekonomicznej.

Pastwiska, pola pokryte są żółto-czerwonymi stożkami, wyglądającymi niby piece do pieczenia chleba. Są to kopce „cupims“ — termitów. Pomiędzy nimi chadzają krowy, muły i konie.

Pędzimy wzdłuż płynnej taśmy rzeki Parahyby. Miasteczka i drzemiące wioski wybiegają nam na przeciw. Gaje palmowe, krzewy, drzewa kwitnące, pachnące życiem i wiosną, tulą się do szyn błyszczących.

Żyzna dolina Parahyby była niegdyś głównym centrum kawowym. Tak było do r. 1888. Potem hege-

monię kawową objął zachód paulistański.

Pociąg staje na większych stacjach. Ludzie wybiegają i piją nieodzowną czarną kawę. Maszynista i palacz również. Inni zjadają kokosowe lub pomarańczowe lody. Potem gwizd maszyny i dalej w drogę.

Wagony zapchane. Walizki leżą na ziemi, jako że są tylko dwie półki do składania bagażu. Toteż trudno się ruszyć.

Gorzej naturalnie w drugiej klasie. Jada tu ludzie biedni, kabokle, emigranci, najrozmaitsze typy pod słońcem. Płacz dzieci miesza się z gwarem rozmawiających głośno i wiecznie gestykulujących tubylców.

Tam w kącie rozsiadła się rodzina emigrancka. Ojciec przygrzewa w kociołku czarną kawę. Większe dzieci ślizgają się na skórkach od pomarańczy. Najmłodsze ssie pierś matczyną — szczęśliwe i zadowolone, bez troski o jutro.

Obok siedzi stara murzynka i pali krótką fajkę — „cachimbo“. Gdy się kończy jej zawartość, wyrzuca resztki na podłogę, znowu napycha ją „fumą“ — tytoniem i pyka dalej. Tuż przy nim młody mulat wygrywa na harmonice skoczne melodie. Inni śpiewają w takt tej muzyki, bębniąc przy tym palcami na desce lub podłodze. Inni znowu przebierają nogami, a nawet puszczają się w tan. Tak, w Brazylii jest więcej wesela i więcej słońca, a w brazylijskich żyłach płynie stu-procentowa krew.

Wieczorem przyjeżdżamy do São Paulo. Wita nas orgia światła. Istne fontanny świetlne tryskają z wysokich drapaczy chmur, z których najwyższy ma 26

pięter wysokości. Przelewają się po ścianach domów, lśnąc różnobarwnym światłem. Niewidzialne ręce piszą na ciemnym niebie szumne reklamy. Prym wiodą Ford i Gessy, oraz inne pomniejsze.

Na dworcu ścisk i zamęt. Trzeba czekać na swą kolej. Rozglądam się po książkach i gazetach, wyłożonych w kiosku dworcowym. Z wielkim zdziwieniem widzę polskie książki i gazety. Oczom nie dowierzam. Lecz tak jest rzeczywiście: „Polska kuchnia“ — „Senni-ki egipskie“ — „Żywot św. Genowefy“ i słownik polsko-portugalski X. Górala leżą zgodnie obok siebie.

Po wyjściu z dworca obejmują mnie życzliwe ramiona naszych polskich wychodźców. Radości i powitaniom nie ma końca. Miesiąc cały będę z nimi. Więc tyle razy jeszcze uścisknę ich czarną dłoń i dużo im będę mówił o Bogu i o Polsce. I, da Bóg, pociecha wstąpi do ich duszy i ukojenie święte.

Jedziemy na Rua Epitacio Pessoa. Tam bowiem mam zamieszkać w domu studentów-sodalistów.

Przedzieramy się przez wielkomiejski gwar. Samochód co chwila staje, gdyż ulica zatłoczona tramwajami, autami i autobusami. Wszystko to gwizdże i trąbi w niebogłosy. Z lokali rozrywkowych i hal koncertowych dochodzą fanfary dźwięków.

Ogromne sklepy nęcą wielkimi napisami: „Liquidação formidavel“ — wyprzedaż okropna, czyli wszystko za darmo. Ceny są naprawdę niskie, niższe, aniżeli u nas. Lecz to tylko w ostatnim czasie. Często sprzedaje się niżej ceny zakupu, byle tylko wegetować. A jeśli dłużej nie można, to zgłasza się „fallencję“ —

upadłość. Fallencje mnożą się z dnia na dzień w zastraszający sposób. Tak, kryzys nie tylko w Polsce.

Czas przedgwiżdżkowy, więc sklepy z zabawkami są obłożone. Po części są to zabawki niemieckie i francuskie. Przed sklepami ustawiono cyprysy w wielkich donicach, które przypominają nasze choinki. Często nawet sztuczne choinki zastępują miejsce siostrzyc europejskich.

Ale trudno sobie wyobrazić, że gwiazdka za pasem. Jest grudzień, duszno tu i gorąco. W parkach kwitną róże i drzewo, a cykady dzwonią.

Co krok sprzedają lody w najrozmaitszej formie.

Z lubością marzą ludziska o śniegach i lodach Europy. Nawet piwo, bardzo tu znane, nosi nazwę „Antartica“ — a na plakatach reklamowych widać białego niedźwiedzia wśród lodów północy. Lecz to wszystko tylko marzenie wśród rozgrzanych ścian i rozpalonych asfaltów ulic.

São Paulo ma milion 200 tysięcy mieszkańców. Połowa z nich — to Włosi. Z nich też głównie rekrutują się milionerzy paulistańscy i w ogóle brazylijscy. Miliarder Matarazzo jest również Włochem. Potem idą Portugalczycy, Hiszpanie, Niemcy i Syryjczycy. Niektóre ulice, jak Rua Florencio de Abreu, są wypełnione napisami w języku arabskim. W języku tym ukazują się nawet kilka gazet.

São Paulo jest gospodarczo najważniejszym miastem Brazylii. Jedynym tu hasłem jest kawa. Kawa zbudowała to miasto. Kawa dała tu ludziom krezu-



sowe fortuny. Za to spadek jej powoduje dziś liczne ruiny.

W tej milionowej stolicy kawowej żyją też nasi rodacy. Jest ich około 8 tysięcy. Są to przeważnie robotnicy fabryczni, cenieni jako materiał potulny, który wyzyskiwać można według upodobania.

Wielka ich jest nędza materialna, stokroć jednak większa nędza moralna. — Ratowanie tej opuszczonej braci polskiej, to zadanie duszpasterstwa polskiego w wielkiej metropolii brazylijskiej kawy.

## *Polacy w paulistańskiej stolicy*

Wieża Babel narodowości. Bez pracy. Pułapka na komunistów.  
Nasze wady. Japończycy i ziemniaki. Towarzystwo Polskie.  
Niemiecka kampania prasowa. Misja św. Polskie kolendy.

Polacy żyją rozproszeni po wszystkich prawie stacjach Brazylii. Nie dziw więc, że spotykamy ich i w najbogatszym stanie federacji brazylijskiej i jego stolicy. W środku stanu żyje ich nie wielu z powodu złej koniunktury kawy. Za to w stolicy liczba ich dochodzi do ośmiu tysięcy.

Mimo to, w tej milionowej przeszło stolicy kawowej, Polacy stanowią minimalny tylko odsetek. Nie mogą iść w zawody z Włochami, których tu jest przeszło pół miliona, ani z Niemcami, którzy stanowią dziesiątą część ludności paulistańskiej, ani nawet z Litwinami, liczącymi około 25 tysięcy.

Pod względem materialnym schodzą prawie na ostatni plan. Polacy nie posiadają w São Paulo ani jednego większego sklepu, ani jednego większego przedsiębiorstwa. Dlatego też być tu Polakiem, znaczy być biednym tylko robotnikiem.

I żeby to jeszcze praca była! Wielka część znajduje się bez pracy.

W ostatnich dniach rząd polecił przeprowadzić rejestrację bezrobotnych. Zarejestrowanych wysyłają do robót rządowych. Kto się jednak w ciągu 90 dni nie zarejestruje, zostaje ukarany za włóczęgostwo.

Myślałby kto, że wśród różnych niezadowolenców bezrobotnych naszych czy obcych szerzy się socjalizm lub komunizm. Bynajmniej. Socjalizm tu w ogóle się nie przyjmuje. Komunistów zaś jest taka mała garstka, że przechodzi się zwykle nad nimi do porządku dziennego. Zresztą w ostatnim czasie sporo ich ubyło. A było to tak:

Na drugi dzień po zwycięstwie rewolucji, do nowego rządu zgłaszają się komuniści z prośbą o zezwolenie na urządzenie meetingu. Rząd zezwala. — Rajcujących towarzyszy spod znaku kielni i młota otacza jednak ze wszystkich stron policja i zamyka na klucz.

Tego samego dnia przyjeżdża z Buenos Aires do Rio de Janeiro pewien dostojnik bolszewicki. W porcie prosi o zezwolenie na wylądowanie. Nie pozwalają. Zaznacza mu się jednak, że może konferować z towarzyszami rioskimi na pokładzie. Odbywa się procesja miejscowych komunistów do portu. A potem ta sama procedura, co w São Paulo. Gwałt odciska się gwałtem!

Ale wracajmy do naszych Polaków. Czemu tutaj jest tak źle, czemu ich tak mało się usamodzielnia? Polski robotnik uchodzi nawet za materiał dobry, lecz, pozostawiony własnej inicjatywie, zawodzi.

Niemiec czy Włoch rozpoczynają jako skromni robotnicy czy czeladnicy. Po kilku latach zakładają

już własny warsztat, a często nawet niedużą fabryczkę i wkrótce dorabiają się majątku. Nasz wychodźca bardzo rzadko dochodzi do stanowiska majstra fabrycznego. Nigdy jednak nie staje się właścicielem własnego przedsiębiorstwa. Jego pracę dorabiają się obcy.

Jeśli chodzi o zmysł kupiecki, to i tego naszemu wychodźcy tu brak. Opowiadają o bogatych milionerach Syryjczykach, którzy przed wojną przyjechali do Brazylii bez grosza. Rozpoczynali oni swój zawód kupiecki w ten sposób, że w porcie Santos sprzedawali swe marynarki, gdyż było im widocznie za gorąco. Ten kapitał zakładowy wystarczył do rozpoczęcia zawodu kupca domokrażnego. Potem nabywali mały sklepik, następnie jakiś większy magazyn, a w końcu zakładali wielkie firmy.

Wychodźcy naszemu brak przedsiębiorczości. Niektórzy z naszych wychodzą z miasta w głąb stanu celem założenia gospodarstwa rolnego. Zamiast osiedlić się w pobliżu miasta, aby hodować jarzyny i znosić je na targ, idą jak najdalej, gdzie ziemia świeża i las dziewiczy. Tam bowiem „ziemia da“. Cóż z tego, że da, kiedy produkt tam prawie nic nie kosztuje, gdyż komunikacja jest fatalna.

W pobliżu São Paulo znajdują się ogromne tereny, wyjałowione przez intensywną gospodarkę kawową. Przed 8 laty wystawiono je na sprzedaż. Pojechali je oglądać i nasi. Nie kupili, bo „ziemia nie da“. Pojechali Japończycy i — kupili wszystko, płacąc po 100 milrejsów za hektar.

Japończycy wzięli się do pracy. Zaczęli ziemię racjonalnie uprawiać, dając jej dużo sztucznych nawozów. Dowiedziawszy się, że na całym świecie nie ma tak wysokich cen na ziemniaki jak właśnie w Brazylii (50 kg za 40 milrejsów), zaczęli sadzić ziemniaki. Zbiory mieli i mają nadzwyczajne i to dwa razy do roku. Osobne samochody ciężarowe zwożą ten cenny produkt do własnej kooperatywy w São Paulo. Tu zaś sprzedaje się go za miliony. Dziś hektar tej samej ziemi kosztuje już 1000 milrejsów. Oto dowód przedsiębiorczości i inicjatywy!

Dalej brak tu u naszych solidarności. Wszelkie porównania z innymi narodowościami wypadają dla nas bardzo smutno. Polacy żyją rozproszeni i nie dążą do tego, aby stworzyć jakieś środowisko, które by ich skupiało. Istnieje wprawdzie „Towarzystwo Polskie“ — które oficjalnie reprezentuje kolonię, ale niestety należy do niego zaledwie 40 członków, z których tylko połowa uczęszcza na zebrania. A przy tym zaznaczyć należy, że i wśród tej garstki zgody nie ma. Zwłaszcza w czasie wyborów zarządu lub przy innych okazjach bywa tu bardzo gorąco. Toteż nieraz zajeżdżała tu karetka pogotowia lub interweniowała policja.

Lokal reprezentacyjny Towarzystwa znajduje się przy ulicy, która i za parę lat jeszcze bruku mieć nie będzie. Tu również mieści się i szkoła polska, do której uczęszcza 28 dzieci. Obecnie dom ten jest do połowy zalany, ponieważ dzielnicę tę raz po raz nawiedzają powodzie.

W ostatnim czasie w prasie tutejszej pojawiają się telegramy, nadsyłane z Berlina, szkalujące imię polskie. Niedawno największy dziennik paulistański „Estado do São Paulo“ zamieścił artykuł znanego wroga Polski, p. Nittiego. Autor w haniebny sposób przejechał się po narodzie naszym, obrzucając go stekiem kłamstw i oszczerstw. Pan konsul Świrski interweniował natychmiast. Pismo zamieściło jego protest, jak również podobny, złożony przez członków kolonii, dając Polakom pełną satysfakcję.

Nawet krótki pobyt duszpasterza polskiego przyczynił się nieco do rozbudzenia i zjednoczenia naszych rodaków.

Piękne były owe dni misji św. w kościele XX. Salezjanów na Bom Retiro. Kościół wypełniono szczelnie. Takiego zgromadzenia Polaków jeszcze nikt nie widział. A gdy zaczęli śpiewać, to aż mury drżały. Po kazaniu rzucili się na kolana, modlili się i kajali przed Bogiem, że zbudowali się nimi Brazylianie duchowni i świeccy.

Toteż p. Pedroso, brazylijski wysoki urzędnik państwowy, wzruszony tą głęboką wiarą, wołał w kościele na głos:

— Polacy, módlcie się o pokój dla Brazylii. Wierzę, że tylko was może wysłuchać Bóg!

Albo owe święta Bożego Narodzenia! Zdolny nauczyciel szkoły polskiej, p. Nowak, zorganizował naprędce chór kościelny i zaczął ćwiczyć polskie kolędy.

Na pasterkę wszystko było gotowe. W gorącą noc grudniową — termometr wskazywał 30<sup>o</sup> ciepła — za-

brzmiała polska kolęda. Z potęgą zabrzmiała i majestatem. Brazylianie wydziwić się nie mogli, że mogą istnieć tak piękne śpiewy religijne. Od razu poproszono chór nasz na oficjalne nabożeństwo brazylijskie do kościoła św. Józefa na B e l e m.

O strop się odbiła polska pieśń i przez otwarte okna w rozświetlony błękit nieba buchnęła.

I Bogu i Polsce przyniosła chwałę.

Niesłuchanie ważne jest zagadnienie duszpasterstwa polskiego wśród naszego wychodźstwa. Tam, gdzie ono jest, krzewi się Królestwo Boże i polski duch. Tam, gdzie go nie ma, szerzy się często niewiara, apatia i śpiączka społeczna i narodowa. Dowodem tego nasi rodacy w stolicy kawowej.

## Na Nowy Rok

Pożegnanie w São Paulo. W grudniową gorącą noc. W Częstochowie brazylijskiej. Czarna pielgrzymka. Sylwester w poselstwie polskim. Ulica szaleje. Polskie nabożeństwo noworoczne.

Kończyły się dni pobytu mego w São Paulo. Miałem jechać do Rio de Janeiro, aby odprawić tam nabożeństwo noworoczne dla kolonii polskiej.

Na dworcu serdeczne pożegnanie z konsulem R. P. p. Świrskim i członkami społeczeństwa polskiego.

Ekspres S a o P a u l o — R i o d e J a n e i r o powoli wyjeżdża z hali dworcowej. Mija daleko ciągnące się przedmieścia, a potem, rozbujawszy się na dobre, z łoskotem pędzi w głąb dal.

Pasażerów mało. Kryzys ekonomiczny dał się we znaki nawet kolejom. Każdy nerwowo przegląda wieczorne wydania dzienników paulistańskich, opowiada przygodnemu sąsiadowi swą dołę, po czym zasypia snem sprawiedliwych, kolebiąc się na wszystkie boki.

Ekspres pędzi coraz dalej. Ostatni wagon ma niedużą galerię obserwacyjną. Niejeden szuka tu ochłody w upalną noc grudniową. Zapach lasów i kwiatów działa jak odurzający narkotyk. Księżyc wysrebrza doliny i skalną grań. Lśniącą, jak gdyby zaczarowaną przędzę srebrzystą zlewa na ciche wioski i miasteczka i do snu



je kołysze. Na kiściach traw, na liściach palm i bambusów perli się rosa. A ekspres pędzi coraz dalej, dalej...

Apparecida! Półczarny konduktor, idąc od wagonu do wagonu oznajmia nazwę przyszłej stacji. Za chwilę ekspres staje zziąjany. Wsiadamy z garstką pasażerów.

Apparecida — to Częstochowa brazylijska. Warto więc wstąpić choć na kilka godzin, aby bliżej przypatrzyć się najświętszemu miejscu w Brazylii.

Mimo północy na dworcu czuwa cała czereda „karegadorów“ — numerowych i właściciele dorożek. Potrzeba naprawdę wysiłku, aby się odczepić. Boć taksy tu są zbyt wysokie, a i krótka przechadzka uliczkami uśpiołego miasteczka może być prawdziwą przyjemnością.

W drodze do klasztoru nie spotykam żywej duszy. Wielkie puhacze nocne przelatują nade mną, kwiląc przeraźliwie. Ogromne żuki całymi chmarami uderzają o latarnie miejskie, dopóki rozbite nie padną na bruk ulicy. Po chodniku przechadzają się niesamowite żaby, wielkości małego gołębia. W ogrodach pachną róże i storczyki, kąpiące się w blaskach księżycowych.

Na straży świątyni i cudownej figury Matki Bożej z Apparecidy stoją niemieccy Redemptoryści. Brat furtian mimo spóźnionej pory otwiera gościnne podwoje klasztorne.

Świątynia jest skromna, tylko wielki ołtarz nieco ozdobiony. Panuje w niej cisza jakaś utajona, jako że Brazylianie rzadko kiedy śpiewają. Widzę ludzi z wszelkich zakątków krainy Świętego Krzyża. Znad Amazonki, znad brzegów Toncantins, spod Kordylie-

rów; idą lub jadą nieraz całymi tygodniami do Apparecidy ukorzyć się u stóp Maryi.

Właśnie wchodzi pielgrzymka murzynów z Bahia. Jest ich jakaś trzydziestka. Obchodzą i całują kolejno wszystkie ołtarze. Potem wchodzi po schodkach przed ołtarz Matki Bożej. Padają na kolana i długo się modlą. Po czym dotykają jedwabnej wstęgi, zwieszanej u stóp cudownej figury i całują ją ze czcią. Każdy z nich składa na ołtarzu jakąś figurkę woskową. To ich „promesy“ — obietnice i znowu padają na kolana, a szluchy przeciągłe wydobywają się z tej czarnej gromady.

X. Dyrektor opowiada, że corocznie przez Apparecidę przewija się około miliona osób. Świątyni jednak na razie nie budują nowej, gdyż wszelkie pieniądze idą na budowę katedry w São Paulo. Będzie to największa i najwspanialsza świątynia w Ameryce Południowej, której kosztą obliczają na 25 milionów milrejsów.

Miasteczko jest niewielkie. Pełno w nim hoteli i zajazdów oraz sklepów z dewocjonaliami. Ludzie są tu uprzejmi i gościnni od oo. Redemptorystów począwszy, a skończywszy na jakimś tam podrzędnym sklepikarzu.

W południe jadę dalej do Rio de Janeiro. Na jednej z mniejszych stacji do naszego wagonu wsiada p. dr Grabowski, poseł R. P. Wraca on do stolicy po krótkich wakacjach gwiazdkowych, spędzonych na wsi. Krótka pogawędka o Polsce i stajemy u celu.

Na głównym dworcu ścisk i zamęt. Ledwie można przebrnąć. Członkowie poselstwa zjawili się w pełnym składzie, aby powitać swego szefa. Wspaniała limuzyna

poselstwa, Białym Orłem znaczona, mknie szerokimi bulwarami do pałacyku na Botafogo 246.

Nazajutrz wschodzi słońce gorące, oślepiające. W południe termometr wskazuje 35 stopni ciepła w cieniu. Mimo to ruch nie zamiera. Ludzie chodzą spoceni. Zjadają niezliczoną ilość lodów i piją czarną kawę. Inni delektują się mrożonym sokiem z pomarańcz, ananasów, mang, każu i innych owoców egzotycznych.

Jest ostatni dzień r. P. 1930. Rio przygotowuje się do obchodów sylwestrowych. Osobne dodatki do gazet i szumne reklamy wskazują, gdzie najlepiej można się zabawić, alias — najwięcej pieniędzy wydać. Samochody, przybrane w kwiaty z symbolicznym Starym Rokiem, pędzą ulicami miasta. Na nich trębacze ogłaszają programy uroczystości.

Pod wieczór lekki wietrzyk od morza przynosi trochę ochłody. Porusza wachlarze smukłych palm, wpada do cienistych alei i na klombach kwiatnych, oraz na girlandach zielonych, jak na wioli, pożegnalne wygrywa melodie.

O godz. 8 i pół wieczorem przyjęcie w gmachu poselstwa. Dokoła szumią palmy. Opodał, o kamienną balustradę awenidy, uderzają wody Atlantyku.

Zajeżdżają samochody. Wysiadają panowie w białych ubraniach. Tylko czarny krawat zwiastuje dostojną uroczystość.

Balkony i werandy napełniają się gośćmi. Każdy wynosi się ze wspianiałych komnat poselskich, bo w nich ciepło i duszno. Na tym skrawku nietykalnym, choć na cudzej ziemi, panuje gwar wesoły, szczerze polski.

Ten sam nastrój podczas uroczystej wieczerzy. Znać, że to kawałek Polski, jej serdeczność i swoboda. Czasami tylko refleksja: Jakto? Grudzień, zima, gdzież ta mroźna, sylwestrowa noc? Gdzież kozuchy, kominiki czy kaloryfery?

Nadeszła północ. Z wszystkich wieżyc kościelnych dzwony zegarowe wybiły dwunastą. A ostatnie uderzenie młotów zegarowych, to ostatnie tchnienie tego roku, któremu było na imię 1930. Zamknęło się nad nim wieko trumny, a palec Boży wypisał: Przepadł na wieki.

Podniosły się kielichy z musującym szampanem. Zadzwoniło szkliwo na Polski cześć. Potem do księgi pamiątkowej wpisywano nazwiska i sentencje. A ktoś z obecnych takie napisał słowa:

„Zebrani pod skrzydłami Orła Białego na ziemi Św. Krzyża życzymy Kochanej Ojczyźnie, iżby rok nowy był jej rokiem sławy i wielkiego czynu, co ją powiedzie w słoneczne jutro“.

A na ulicy? Szał. Rakiety i ognie sztuczne, syząc, mkną w rozjaśnione niebo. Krzyki, wiwaty. Konfetti i serpentyny unoszą się w powietrzu. Nad brzegami Atlantyku sunie cały korowód samochodów. A na samochodach umajonych pisk, krzyk, piosenka urywana. Są i tacy, co prosto z morza wchodzą w nowy rok. O tak, Sylwester na plaży lub w morzu. Ludzie miewają pomysły.

Tu i tam bruk rioski splamiła ludzka krew. Niejednemu przybyło kilka guzów na głowie. Chirurdzy

mieli więcej zajęcia. To wszystko dla zabawy. Bo Rio bawić się lubi — aż do zapomnienia.

Wreszcie wszystko minęło. Brzask dzienny rozproszył ciemności nocy. Ptaszyna odświergotała poranną swą piosenkę. Dzwony się rozdzwoniły, zwołując ludzi do świątyń Pańskich.

Na polskie nabożeństwo zebrała się kolonia polska z posłem na czele. W kościele św. Józefa przy gwarnej awenidzie Rio Branco, korzyliśmy się przed Królem Wieków, przed którym tysiące lat są jako dni. W gorący poranek styczniowy płynęła polska modlitwa. Oby ją wysłuchać raczył Najmiłościwszy Bóg! Oby rok nowy był rokiem błogosławionym dla nas i dla Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

## Do stolicy parańskiej

Podniebnym szlakiem. W porcie kawy. Młodzi Misjonarze. Chudy. Nad przepaściami. Kawalek Polski. Nie jeno liczba my...

W Rio de Janeiro siadam do samolotu, który ma mię przewieść do Santos, słynnego portu kawowego w Brazylii.

Moi towarzysze podróży to przeważnie kupcy z Santos, lub innych portów południowych. Jest pomiędzy nimi dwóch mulatów i jeden murzyn w bielusińskim ubraniu. Przedstawiając się wzajemnie, klepiemy się tutejszym zwyczajem po ramieniu, po czym rozpoczynamy pogawędkę na temat naszego lotu.

Wtem nagle zaturkotały motory, nasz „P-Baaa“ poczuł się swobodny. Zadrzało masywne jego budowanie. Ptak stalowy zaczął ślizgać się po wodzie i podnosić lekko, niespostrzeżenie w powietrze.

Szybujemy nad miastem. Pod nami ruchliwy port, zbiorowisko domów i will. Lecimy nad zatoką Guanabary. Rozróżniamy wyraźnie u wybrzeża betonowe schrony, które bronią brazylijskiej stolicy. Mijamy wyspy i wysepki, pokryte górami. Góry Pão d'Assucar i Corcovado giną powoli we mgle.

Pod nami zmienia się wszystko jak w kalejdoskopie. Rozsiane na wybrzeżu wille ustępują ubogim cha-

teńkom rybackim. Zręby skalne, opadające stromo do morza, mającą obok lasów, pełnych palm i imbui, w których gnieźdzą się zdradliwe gady.

Pod nami daleki Atlantyk, lekko pomarszczony, a nad nami niepokalany błękit nieba.

Trasa, którą lecimy, jest tu dość ożywiona. Po raz drugi już spotykamy ogromny samolot, który przeleci tuż obok nas. Pędzi w przeciwną stronę. Do Santos, może do Buenos Aires leci podniebnym szlakiem.

Lecimy na wysokości 800 m. Często jednak spadamy z nagłą, że aż ciepło się robi na sercu, — to próżnie powietrzne. Mój sąsiad jest przeto mocno podenerwowany. Nie błędnie jednak, ponieważ murzyńska skóra nie uwydatnia jego tremy.

Docieramy do Santos. Coraz wyraźniej rozróżnić można wspaniałe urządzenia portowe i rzędy magazynów, w których Brazylia przechowuje 18 milj. worków kawy.

Opadamy nagle i za chwilę ślizgamy się już po szmaragdowej toni. Po wylądowaniu następuje zwiedzenie miasta, zbudowanego nowoczesnie. Wspinamy się na wzgórze *Monserrat*, by się pokłonić Najświętszej Paniency w starożytniej świątyni.

Małym statkiem nadbrzeżnym „Itapuhy“ wybieram się potem w dalszą drogę do *Paranaguá*, jedyne go portu Parany. Ku niezmiernej swej radości spotykam na okręcie dwóch polskich misjonarzy, którzy jadąc wprost z Polski również udają się do Kurytyby. X. Pałka, były sekretarz Misji Polskiej w Paryżu, ma

przejąć redakcję „Ludu“, a X. Pinocy obejmie postereunek duszpasterski w głębi kraju.

W P a r a n a g u à dostajemy się w gościnne ręce przełożonego Misjonarzy w Brazylii, X. Bronnego, który nas otacza troskliwością iście ojcowską.

Mam tu przygodę. W drodze zaopiekowałem się pewnym Polakiem, niejakimś Chudym, który jechał z Argentyny do Brazylii w odwiedziny do swej siostry. Noc była ciepła. Przyjaciel mój, niechcąc opłacać hotelu, zanocował pod rozłożystą palmą w ogrodzie miejskim. Około północy zaczęło go dwóch murzynów, a grożąc pistoletem, odebrali mu pieniądze i wszystko, co posiadał. Przerażonego mego towarzysza spotkałem na drugi dzień rano: trzeba mu było dopomóc w dalszej podróży.

Jedziemy do Kurytyby. Krótka podróż nadmorską niziną, a potem odrazu pociąg wspina się na granitowe góry nadbrzeżne S e r r a d o M a r.

Co za wspaniałe widoki! Mówi nam X. Bronny, że to najpiękniejszy szlak kolejowy na świecie. Wzbijamy się na 700 m. i wyżej. Pociąg pędzi po mostach dudniących nad przepaściami. Czasami zda się, że szyby przylepione tylko do zrębów skalnych, że lada chwilę razem z pociągiem runą w bezdenne wądoły.

Przebywszy szczęśliwie owo pasmo górskie, pociąg biegnie wyżyną falistą wśród pól uprawnych i schludnych domków na przydrożu.

Za parę godzin stajemy w Kurytybie, stolicy duchowej Polonii brazylijskiej. Zamieszkuję u gościnnych XX. Misjonarzy na Avenida Jaime Reis.



W mieście mieszka 9000 Polaków. Słysząc tu dość często mowę polską. Raz po raz słyszę też staropolskie pozdrowienie: Niech będzie pochwalony.

Zatrzymuję jakąś kobiecinę w stroju ludowym.

— A skąd wy to wiecie, że ja z Polski?

— Proszę Ojca, jak ja jeno spojrzałam, to zaraz poznałam, że to polski Książ.

Przed nami stoją konie w chomątach krakowskich. Gospoście nasze roznoszą w plecionych koszykach jajka i masło. Koloniści o wybitnie polskich twarzach uwiązują się za interesami po mieście. Czuć tu Polskę wszędzie!

W Kurytybie jest konsulat polski, są polskie szkoły i rozmaite stowarzyszenia, stojące na wysokim poziomie.

Tu wychodzą różne pisma polskie jak: „Lud“, „Gazeta Polska o Brazylii“, „Polska Prawda o Brazylii“, „Nasza Szkółka“, „Przyjaciół Rodziny“, „Sarmata“ i „Junak“.

W Kurytybie wreszcie mieści się siedziba Centralnego Związku Polaków w Brazylii. Związek ten powstał niedawno, bo dopiero w dniach 22 i 23 marca 1930 roku, na zjeździe delegatów towarzystw polskich.

Jest to olbrzymi krok naprzód, dający gwarancję współpracy całego społeczeństwa polskiego na brazylijskiej ziemi. Było co prawda 350 towarzystw polskich, ale rozbitych na kilka obozów, często o krańcowo sprzecznych zapatrywaniach. Zspolenie ich w centralny związek to wspaniały czyn, zapowiadający

lepszego jutro naszych braci w krainie Świętego Krzyża.

— To najlepszy dowód, że tutaj:

„Nie jeno liczba my — ale i siła.

Nie jeno proch my, co z wiatrem polata...”

*Na odpuscie*

Świątynia na wzgórzu. 27 lat na koniu. Pieśń tułaczy. Suma.  
Odpustowe kazanie. Procesja ludu. Refleksje.

Rozpoczynam teraz objazd kolonii polskich, które wieńcem otaczają Kurytybę. Na pierwszy ogień idzie *Thomas Coelho*, jako że tam się odprawia odpust doroczny.

Korzystam z zaproszenia i jadę na pierwszy odpust w Brazylii.

Im bliżej kolonii, tem więcej ludzi i ruchu. Jadą wasagami polskimi kobiety w kolorowych chustkach na głowie, odświętnie ubrane i strojne. Wasążki są umajone, a konie łyskają uprzężą paradną. Przy wymijaniu coraz padają wzajemne powitania, albo: „Niech będzie pochwalony“.

Gospodarze i chłopacy na koniach. Barwne skóry baranie — „pelegi“, narzucone na wysokołękie siodła, pstrzą się wszystkimi kolorami. Jeźdźcy wyglądają dość buńczucznie. Na głowach mają zwykłe czapki lub też amerykańskie kapelusze o szerokich rondach. Szyje obwiązane chustami jaskrawo brązowymi na sposób brazylijski.

Na wzgórzu, wśród cyprysów zielonych, bieleją wieże kościoła św. Michała. Przed kościołem ciżba. Budy z świętościami pod płótem. Opodał mrowisko wozów i wasągów.

Wchodzę na plebanie przez ogród, pełen palm i kwitnących pomarańczy. Tutejszym zwyczajem klaszczę w ręce. Na znak ten otwierają się drzwi. Zastaję tu kilku księży misjonarzy, przeważnie sąsiadów z pobliskich polskich kolonii, pomiędzy nimi także XX. Bieniasza i Szymbora, przybyłych niedawno z Polski.

— W imię Ojca, kogo widę? — woła X. Bieniasz, mój dobry znajomy z Poznania.

— Jaki ten świat jest mały! To nawet w Brazylii można się spotkać?

Wtem też nadjechał proboszcz parafii, X. Bolesław Bayer. Wracał z nabożeństwa, które był odprawił w drugim swym kościołku Matki Boskiej Bolesnej. Zabawnie trochę wyglądał ów siwowłosy duszpasterz z podwiniętą sutanną na pełnokrwistym kasztanie. Od 27 lat na koniu! Sprawili mu na jubileusz parafianie piękną „aranję“ — bryczkę dwukołową. Woli on jednak swego kasztana.

Witam X. proboszcza z pewnym rozczuleniem. Bardzo wiele słyszałem o tym zasłużonym kapłanie-patriocie. 27 lat na takim posterunku! Zawsze przy pracy, czy w kościele, czy w domu, czy też wśród kolonistów. Za jego inicjatywą powstaje kółko rolnicze. On tu sprowadza maszyny rolnicze, lokomobile i młoc-karnie do wynajmu. Godzi poważnionych, służy radą na zawołanie. Spieszmy z pomocą, nawet lekarską w ra-

zie potrzeby. Iluż to kolonistów uratował on od niechybnej śmierci w wypadkach ukąszenia przez żmije jadowite!

Toteż kochają go wszyscy, niby ojca. Na pobliskim cmentarzu gotowy ma nawet grobowiec wśród palm prastarych.

— Nie puścim go — mawiają parafianie — proboscu-  
lek to nas za życia i po śmierci!

Idziemy do kościoła. Przy konfesjonałach ścisk. Tłoczą się dębczaki młode, garną się chłopięta i starzy wąsale. Niektórzy boso, w trepkach tylko, tutejszym obyczajem. Cisną się Ślązaczki w granatowych, grubych sukniach i w białych koronkach. Wśród nich czerwienieją zapaski mazurskie, bieleją białe chusty podlaskie.

Zaczynają śpiewać:

„Serdeczna Matko, opiekunko ludzi,  
Niech Cię płacz sierot do litości wzbudzi“.

I runęła pieśń tułaczy polskich do stóp Polski Królowej. Runęła grzmiąca pod belkowe wiązania. I echem się odbiła potężnym. Wyleciała na dwór — a inni ją podchwycili i rzucili pod niebiosy... I odbiła się od ziemi, by mocnym akordem wznieść się coraz wyżej, aż pod sam tron Najświętszej Paniarki.

Donośnie ozwał się targnięty mocno, trzykrotnie dzwonek. Wszyscy spojrzeli w tę stronę. W złocistym ornacie wyszedł X. Bronny, przełożony księży Misjonarzy, w otoczeniu asysty. Na chórze zagrały organy, odezwały się śpiewaczki. Suma się zaczęła.

Chór z wprawą i znajomością dźwięcznymi głosy śpiewał „Kyrie“. Po kościele chodziły stłumione szepoty i westchnienia. Ten i ów szeptał pacierze z starokrajskiej jeszcze książeczki. Większość jednak przesuwiała pobożnie paciorki koronki. Woń kadzidła i potu ludzkiego mieszała się z silnym zapachem drzewa cedrowego i szafranu.

Po Ewangelii, na drewnianej ambonie stanął ksiądz. Cisza się rozlewała w koło. Głowy się pochylały. Słońce przedarło się przez wielkie okna i buchnęło wprost w ambonę. Złociste promienie jeły muskać twarz kaznodziei.

Kaznodzieja przeczytał Ewangelię. Po czym, przeżegnawszy się, spojrzął po ludziach.

— Najmilsi w Chrystusie, kochani Rodacy! — rozpoczął, jakby onieśmielony.

Gdy patrzę na ten łań żywych polskich kłosów, chylących się tutaj na brazylijskiej ziemi przed majestatem Bożym, mimo woli słowa św. Pawła cisną mi się na usta: „Wam tedy wierzącym cześć!“ Cześć wam młodzi, cześć wam starzy, cześć tobie, ludu polski, że chociaż oceany cię dzielą od twej Ojczyzny, ty jednak wiernie trwasz przy wierze naszych ojców.

Pierwsze kobiety zaszlochały, a potem i chłopom łzy zakręciły się w oczach. Powstał ogólny płacz w kościele. Szedł falą po ludziach, niby fale tego oceanu ogromne, przez które do Polski prowadzą drogi.

— Kochani Rodacy! — mówił dalej kaznodzieja — pięćdziesiąt przeszło lat temu przyszliście tu spod Górlie i Opola. Krwawe to były godziny, pełne tęsknoty

za Polską, pełne niepewności o jutro. Na tym miejscu, kędy teraz stoimy, szumiał bór dziewiczy, odzywały się ryki dzikich zwierząt, nastawał na wasze życie dziki Indianin.

I znowu dziwna żałość chwyciła wszystkich za serce, a łzy dalej lały się ciurkiem.

— W imię Boże zabraliście się do pracy — ciągnął dalej. Twarda wasza dłoń rąbała odwieczne cedry, imbuje, piniory. Nic nie oparło się jej ciosom. I Bóg błogosławił waszej pracy. Tam, gdzie przeszła noga wasza, wyrastały kłosa żyta, krzewiła się mandioka i kukurydza. Dziś każdy ma własną zagrodę na własnej ziemi — choć w obcym kraju.

Umilkł znowu, jakby go coś za piersi szarpało... Dłonią powiódł po czole. Po czym opuścił ją i mówił dalej.

Mówił o wierności Bogu i Polsce. Nawoływał do jedności i zgody, zachęcał do wytrwania pod błękitnym sztandarem Królowej Korony Polskiej.

— Serca wasze nie spoczną już nigdy na łonie tej dobrej matki — Polski, i tak kończył: Oczy wasze już nigdy nie ujrzą ojczystych pól, kości wasze nie ułożą się na sen wiekuisty w polskiej ziemi. Za to dusze wszystkich dobrych Polaków kiedyś w królestwie Bożym się łączą, gdzie już też więcej nie będzie ani tęsknoty ani rozłąki. Amen.

— Panie Boże zapłać! — wołali wszyscy ze łzami. Ksiądz zeszedł z ambony.

Po sumie zaczęto się przygotowywać do procesji. Wynoszono feretrony, umajone mirtem i storczykami.

Rozwijano chorągwie z polskimi patronami i Orłem Białym.

Celebrans zaintonował „Twoja cześć, chwała“. Podchwycili pieśń księży, potem gospodarze ze świecami przed baldachimem, dziewczęta z liliami i dziecięta maleńkie, co kwiateczki rzucały Jezusowi. Po czym już śpiewał wszystek lud.

Wyszliśmy z kościoła. Dzwony rozkołysane z wysokich wierzyc dzwoniły i niosły, hen, daleko, wieść o uroczystej chwili. Słońce zalewało nas blaskiem. Niebo było czyste. Jeno maleńkie, pierzyste obłoczki snuły się leniwie nad nami. Niebieskie wielkie motyle towarzyszyły nam z góry. Papugi zielone i różne egzotyczne ptaszyny ćwierkały po kryptomeriach, co w gratach się mieniły.

Wzruszenie ogarnęło wszystkich. Śpiewali potężnym akordem, jakoby uwagę niebios na siebie zwrócić chcieli. I zdawało nam się, że niebo się otwiera, że Bóg sam wsłuchuje się w pienia ludu polskiego na brazylijskiej ziemi...

Po procesji zaczęli ludzie tłumnie wychodzić i rozeszli się na obiad. Po wasągach jedli mięso, chleb z kukurydzy i czarną fasolę. Inni szli do szkoły zakonnic, gdzie na nich suto zastawione czekały stoły. Ci, co bliżej mieli, jechali do domu. Na nieszporach znów byli wszyscy. Po czym zaczęli się rozjeżdżać, zadowoleni z uroczystych nabożeństw i wspólnie przebytych chwil.

Mnie zaś dzień ten przyniósł tyle wrażeń, że nie mogłem usnąć. Wstałem przeto i chodziłem po plebańskim ogrodzie. Spłaz nieba roziskrzył się mili-



dami gwiazd. Nieznany mi dotąd gwiezdny krzyż błyszczał na południowej stronie. Ogromne puhacze przelatowały ponad drzwiami. Potem drzewa, krzewy, las, milkliwość brały w swoje ramiona.

Oszołomiony zapachem kwiecia z pomarańczowych drzew, poszedłem wreszcie na spoczynek.

Taki to był mój pierwszy odpust w Brazylii.

## *Wśród parańskich gospodarzy*

Pierwszy pług. Tutejsze produkty. Ucieczka w głąb. Gwiazda stepu. W największej parafii. Brak zimy. W Hervalsinho. Niech pozdrowią Polskę!

Pod Kurytybą, w miejscowości *Pilarzinho*, po polsku *Pielgrzymka*, osiedli w r. 1871 pierwsi polscy pielgrzymi na ziemi parańskiej. Dzielni synowie Górnego Śląska: Szymon Purkot, Filip Kokot, Michał Prudło, Balcer Gbur, Andrzej Pampuch, Baltazar Gebza, August Waldera i inni kładli podwaliny pod stan polskiego posiadania w kraju palm i piniarów.

Z radcią odwiedzam te i inne kolonie podkurytybskie. Wszędzie ziemia dobra, gliniasta, zabarwiona na ciemno-czerwony kolor. Każdy kolonista posiada przynajmniej 50 morgów ziemi. Są i tacy, którzy posiadają jej dużo więcej.

Piotr Zieliński pokazuje mi swoje grunta. Przytknął oczy i zaczął wskazywać ręką daleko!

— O, tak daleko, aż po te piniory na górze, — to wszystko moje!

To wszystko, co ksiądz widzi, to moja ciężka praca, — ciągnął dalej. — Te ręce rąbały i trzebiły lasy, co kiedyś tu stały.

Radość zwycięska skrzyła mu się w oczach, gdy wymawiał te słowa.

Zastali tu pierwsi polscy zdobywcy, 60 lat temu, tylko dziewiczy las. Ścinali i palili go bez miłosierdzia. Na tej ziemi, popiołem użyźnionej, sadzili i siali, omijając występujące pnie i korzenie. Później, gdy pnie wygniły, puszczone pługi.

Pierwszy pług! Radość ogromna rozpieierała ich piersi, boć ten pług przypominał im ukochaną Ojczyznę. Uroczyście więc wprowadzali go na pole, a byli i tacy, co go całowali z nadmiernego szczęścia.

Z czasem jednak ziemia się wyjałowiła. Zapuszczają więc k a p o e r ę — ugór. W ciągu 7 czy 8 lat k a p o e r a zarasta młodym lasem. Następuje r o s o w a n i e — wycinanie młodego lasu fojsą — żelaznym prętem, osadzonym na trzonku. Po wyschnięciu drzewek, r o s y się podpala. Powstały popiół to pożądany nawóz, który na parę lat znowu użyźnia ziemię. Po wyjałowieniu zapuszcza się na nowo k a p o e r ę. Oto po dziś dzień praktykowany system gospodarki rolnej.

Najważniejszym produktem rolnym jest tu kuku rydza, która zajmuje większość uprawnej ziemi na każdym gospodarstwie. Innym ważnym produktem jest fiżon, rodzaj fasoli, która stanowi podstawę żywności ludzi tutejszych.

Uprawia się również dużo m a n d i o k i. Jest to roślina kilkoletnia, której łodygi podziemne można zbierać dopiero w drugim roku. Dojrzałe, wydobyte z ziemi korzenie, oczyszcza się i uciera na masę, z której wyciska się niebezpieczną truciznę, kwas pruski.

Następnie wysusza się masę w piecach. Po czym używa się jej jako pokarmu.

Rozpowszechniony jest również użytek t. zw. *batatas doces*. Jest to rodzaj słodkich ziemniaków, smakiem przypominających nasze zmarzłe ziemniaki.

Sieje się również nieco żyta i pszenicy. Plony jednak bywają nikłe. Po części „rdza„ niszczy zasiewy, to znowu pędraki podgryzają korzonki.

Koloniści na ogół mają się dobrze. Szkoda tylko, że tak lekkomyślnie rzucają te ziemie, położone tak blisko stolicy i uciekają w głąb kraju. Zdobywają wprawdzie więcej ziemi, pod względem jednak duchowym tracą stokrotnie. Bo nie idzie za nimi nauczyciel polski, ni polski ksiądz. Los ich dzieci w takich warunkach bywa opłakany. Są okolice, gdzie liczba analfabetów dochodzi do 75<sup>0</sup>/. Dzieci w głębi tych lasów nie uczą się ani czytać, ani pisać i nie uczą się również katechizmu; wyrastają dziko.

---

Udaję się teraz do *interioru* — w głąb Parany.

Chybotliwa kolejka wiezie mnie przez bezdenne stepy do *Ponta Grossy*. „Gwiazda stepów“ — jak ją nazywają Brazylijanie — jest nie bardzo podłym miastem. Zwłaszcza przy pogodzie. Za to w deszcz, to pożał się Boże! Niebrukowane ulice zamieniają się w bajorka, z których nogi wyciągnąć trudno.

Stąd już same drogi polne, pełne wybojów i kałuż, którymi chadzają tylko muły i konie objuczone. Tak zwane *karosy*, nakryte brezentem, ciągnie sześć do dziesięciu koni lub mułów.

Jeśli jest pogoda, można przejechać też samochodem. Tylko że to jazda karkołomna. Przy tym pasażer raz po raz musi wychodzić, aby pchać wehikuł pod górę. Głina tu bowiem wiecznie wilgotna i śliska.

Zajeżdżam do Ipirangi. Jest tu kościół, ale nie ma księdza. Na mój widok zrobił się więc w mieście ruch. Ludzie zdala przychodzili na nabożeństwo. Przez te dwa dni w szkole nauki nie było. Jak święto, to święto!

Nocuje u krawca p. Alveśa. W toku rozmowy dowiaduję się, że p. Adalberto Alves nazywał się dawniej Wojtek Brzózka. Wraz z bratem swoim, Kubą, zmienili niedawno nazwisko. Po polsku już ani w ząb. Tak to zwykle bywa. Tam, gdzie Polacy mieszkają w gromadzie, polskość się utrzymuje, nawet trzecie pokolenie mówi dobrze po polsku. Jeśli zaś w rozproszeniu żyją lub pomieszani z innymi narodowościami, to wynaradawiają się powoli.

Zwiedzili się koloniści polscy z dalekiego Tajo o moim pobycie i przysłali po mnie. Na drugi więc dzień siadłem na wózek Michała Sapały — i w drogę! Ochrzciłem im dzieci, pouczałem o prawdach Bożych, odprawiłem Mszę św., wszystko to w izbie Sapały. Jeszcze nigdy pewno nie widziałem takiego skupienia, takiej modlitwy. To był naprawdę głód prawdy religijnej. I nie dziw. Ostatni raz widzieli księdza przed paroma miesiącami.

Podczas pożegnania występuje nagle z tłumu Jan Jaworski. Jestem zadowolony.

— W imieniu kolonistów na Tajo proszę ja Ojca, żeby zostali z nami na zawsze! My owce bez pasterza a dzieci nasze na dziki wyrosną!

Rozrzewniła mnie ta propozycja. Cóż, kiedy obowiązek woła dalej.

Z Ipirangi udaję się przez Bom Jardim do Calmon-Ivahy. Spotykam tu XX. Kanię i Porzyckiego, misjonarzy z Krakowa. Zarządzają największą może parafią polską w Brazylii. Ciągnie się ona na przestrzeni 100 przeszło kilometrów. Jest ich dwóch, wskutek czego tylko co parę miesięcy zajeżdżają do poszczególnych kolonii, rozrzuconych po lasach.

Uradowali się moim przybyciem. Wspólnie objeżdżaliśmy konno najbliższe kolonie. Po pewnym czasie pożegnałem ich, aby dotrzeć do najodleglejszych zakątków ich parafii.

Do siodła przyczepiłem torby z przyborami do Mszy św. oraz bagażem — i na koń!

Mijam Szapadę, Imbuję. Docieram do Terezyńcy, pierwszego etapu swej eskapady. Od razu wieść się rozchodzi, że ksiądz przyjechał. Gońce konni niosą ją do odległych chat i pajorów.

Na drugi dzień nabożeństwo. Choć to zwykły dzień, to jednak wszystko odbywa się uroczyście. Pokropienie, suma, kazanie. Po nabożeństwie chrzty i katechizacja dzieci w szkole. Potem objazd kolonii. Towarzyszą mi na koniach zacni obywatele terezyńscy. Koloniści mają się dobrze. Robota tu jednak ciężka.

— Tam w kraju — mówi jeden z nich — to człek choć w zimie odpoczął. Tu zaś harówka bez przestanku.

Brak zimy powoduje zresztą pewne zmiany w charakterze szczególnie tych Polaków, którzy urodzili się już na ziemi brazylijskiej. Rodzina nie jest już tak skupiona jak w Polsce. U nas w porze zimowej przez ściślejsze obcowanie pogłębia się życie rodzinne; powstaje kult ogniska domowego. Tutaj zaś już tylko luźne węzły łączą rodzinę. Rodzice po prostu nie mają czasu przelewać bogactw swego ducha w serca dzieci. Nie opowiadają im — jak to u nas w długie wieczory zimowe bywa — staropolskich podań, klechd i bajek.

Klimat łagodny sprawia również, że domy noszą najczęściej charakter tymczasowości. Są one często z desek tylko sklecone. Nie zawsze są w nich ozdoby i cenniejsze sprzęty. Cały dzień bowiem spędza się poza domem przy pracy i tylko na noc idzie się do domu na spoczynek.

Wracamy wieczorem z objazdów. Konie nasze parszczą strwożone, jakby coś węszyły w gąszczu przydrożnym. Jeźdźcy jednak nie myślą o niebezpieczeństwie. Dusza ich ulata w ojczyste strony. Wiatr zaś niesie daleko słowa pieśni ojczystej: Góralu, czy ci nie żal? — Góralu, wróć się do hal...

Dwa dni później przyjeżdża deputacja z H e r v a l s i n h o: Józef Kropernicki i Kuba Wieprz. Mam jechać z nimi. — Taka jest wola parafian hervalsińskich.

Przeprowadzamy się przez rzekę Ivahy. Mostu tu nie ma.

Potem kłusem jedziemy przez bory dziewicze nieznaną ścieżyną. Wieczorem zajeżdżamy do H e r

v a l s i n h o. Blisko 30 kilometrów w czterech godzinach to dla koni i jeźdźców wysiłek niemały.

Rano dzwonią dzwony. Zewsząd śpieszą ludzie do ubożuchnego kościołka — hen daleko z za gór S e r r a d' E s p e r a n ç a, z za rzeki S â o F r a n c i s c o. I tak co dzień przez trzy dni.

Po południu odwiedzam kolonistów w towarzystwie różnych kumów i serdecznych towarzyszy.

Wszędzie dobrobyt. Każda ma co najmniej do 200 morgów ziemi. Większość jednak posiada znacznie więcej. Są i tacy, jak np. wdowa Krasowska, której obszar ziemski wynosi 15 tys. morgów. Niektórzy sadzą trzcinę cukrową i ryż. Główny jednak dochód płynie z nierogacizny.

Trzoda chadza sobie swobodnie po lesie. Często wpędza się je w ogromny łąn kukurydzy i tam się tuczy bez dozoru. Tak wypasione stado pędzi się potem do wielkich rzeźni w Ponta Grossa.

Hoduje się tu również dużo drobiu, lecz gęsi i kaczki na ogół nie udają się zbyt. Natomiast kury hodują się bardzo dobrze.

Nasi, w przeciwieństwie do ludności tubylczej, odżywiają się dobrze. Przyrządzają potrawy nieraz nawet zbyt tłusto i dlatego często chorują. Czarna fasola, do której się miesza mąkę z mandioki, ryż, chleb i mięso oto codzienne pożywienie wszystkich.

Prawdziwą namiętnością naszych jest polowanie. Zwierz dziki nie jest tak częsty, jakby się wydawało. W miarę naporu kolonistów zaszywa się on w niedostępne knieje. Nierzadko jednak myśliwy wraca z polowania z bogatym łupem.



Czasami nawet sam król puszczy — jaguar płowy, pada pod celnymi strzałami z polskich dwururek. Często puma się nawinie, ocelot, „guara“, wilk czerwony, „graxai“ — rodzaj lisa, „irara“ — rodzaj kuny, ostronose „cauti“, tapir lub „capivara“ — największy gryzoń Ameryki. Łatwiej już o „pake“, świnkę rzeczna, „tatu“ — pancernika lub „porco do matto“ — dzikie świnię.

Wszystko tu bajecznie tanie. Kilo mięsa kosztuje pół milrejsa, masło niewiele droższe, jajka mendel 300 rejsów. Drzewo w lesie nie kosztuje nic. Jest go za dużo. Rąbie się je i pali na stertach. Pomarańcze tak się odrodziły, że również nie ma na nie ceny. Za milrejsa dostanie się trzy setki i więcej.

Jeno świat tu deskami zabity. Poczta dochodzi raz na dwa tygodnie. Do kolei 200 km i to drogi, o której Europejczyk pojęcia mieć nie może.

Po czterech dniach żegnam Józefa Kropernickiego, mego gospodarza i wszystkich poczciwych mieszkańców Hervalzinho. Towarzyszą mi długo jeszcze. Żegnamy się czule. Jeden z nich, Kanarek spod Inowrocławia, zsiada z konia i klęka.

— Niech Ojciec mi pobłogosławią i... niech pozdrowią Polskę!

Rozpłakał się biedaczysko i uspokoić się nie mógł. Może rodzinne mu przypomniałem strony, jako, że i sam z tych stron pochodzę.

Potem puściłem się dalej z rozrzewnieniem w duży i hymnem Bożym na ustach:

*Spiewajcie Panu pieśń nową!*

*Spiewajcie Panu wszystkie ziemie...*

*Pozdrowta Polskę!...*

Przez dziewiczy las. Makakuś. Wpław przez IvaHy. Litwin umierał. Nabożeństwo w chałupie. U grobu.

Była to niedziela. Po nabożeństwie pożegnałem się z kolonistami i dalej w drogę do A p u k a r a n y. Jechałem w towarzystwie Ignacego Bukały, kolonisty z Hervalsinho.

Był rozsloneczniony dzień. Konie szły stępa u tartą ścieżyną przez knieje i pola. Spotykaliśmy po drodze ludzi wracających z kościoła. Czerwieniły się z daleka chusty dziewcząt niby kwiatki na polanie.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, — wołają, uśmiechając się życzliwie.

— Niech ino Ociec nie zabocą o nas i znowu tu przyjadą — rzucają jakby na pożegnanie.

Zapraszają jeszcze do siebie, ale już za późno. Podjeżdżamy tylko pod drzewa pomarańczowe. Zrywamy ogromne, soczyste pomarańcze i zapychamy nimi małe torby, umocowane przy siodłach. To najlepszy środek na pragnienie w upalne dni.

Wjeżdżamy w dziewiczy las. Nad nami przeleciało stado „szupim“ czarnych szpaków. Smutnie pogwizdując, zniknęło wśród gęstego listowia.

Giniemy w fioletowym półmroku i zieleni. Otacza nas zewsząd gruba ściana roślinności. Jest tak gęsta, że trudno ją okiem przeniknąć. A przejść? Trzeba by mieć ostry fakon, by przeciąć „pikadę“ — ścieżynę w zbitej gęstwinie lian i podszycia.

Odwieczny las śpiewał swój hymn. Niezliczona rzesza ptasia świergotała, kwiliła w koronach drzew. Srokosze zawodziły żałośnie. Wtórowały im ponure krakania tukanów. Skacząc po gałęziach, dzwięcznie dzwoniły „ferréiros“. Gwizdały ogłuszająco piewiki, buczały bąki w niższym podszyciu. Ponad wszystkim krzyczały wrzaskliwie wielkie stada zielonych papug „perekitów“.

Spościłem się niezmiernie. Powietrze w lesie dziewiczym jest duszne i parne. Przy tym jakieś dziwne w nim zapachy. Zda się człowiekowi, że w aptece się znajduje. Zapachy olejków eterycznych, kamfory czy terpentyny. Ocieram spoconą twarz. Teraz dopiero widzę, że ręce mam mocno podrapane i pokrwawione. I garderobie się trochę dostało. Bukłała tłumaczy mi, że to dzieło „nijapindy“. Jest to bardzo cierniste ziele, pnące się wzdłuż pni.

Zabieramy się do pomarańczy. Tutejszym zwyczajem nacinamy pomarańcze scyzorykiem. Potem wysysamy sok, miąższ odrzucamy. Można używać. W torbach jest ich jakieś pięćdziesiąt.

Tej uczcie przyglądała się małpia para. Na widok ludzi przykucnęła, jakby skłopotana, a zarazem ubawiona nami. Większy samiec o rudej brodzie poskrobał się w plecy i próbował spuścić się niżej.

— Makakuś!.. zawołałem do niego pieszczotliwie — tak jak słyszałem u kolonistów. Często wałem go przy tym pomarańczą. Nie dowierzał jednak małpi małżonek. Kiwał głową i pomrukiwał. Samiczka też chrząknęła ostrzegawczo. Nagle jakiś wielki owad ukąsił mego gniadego. Koń zaczął uderzać kopytami. W tej chwili małpi towarzysze dali nura w gęstwinę.

Ciężka była też przeprawa przez rzekę Ivahey. Mostów tu i za 50 lat jeszcze nie będzie. Trzeba więc rzekę przepłynąć.

Strach mnie trochę wziął na widok tej wielkiej rzeki, płynącej szerokim korytem pośród zrębów skalnych i wysokich kolumn dzikiego lasu.

Pogłaskałem gniadego, przeżegnałem się i naprzód w rwący nurt. Gniady parsknął przez wydęte chrapy. Płynął miarowo, spokojnie.

Nagle czuję, że koń raz po raz drga kurczowo. Jak gdyby stracił równowagę... Rozumiem, że prąd unosi nas w niebezpieczne głębiny.

Zimny pot występuje mi na czoło. Krew mi się ścina w żyłach. Nie tracę jednak przytomności umysłu.

Koniowi wbiłem ostrogi w boki. Gwałtownym ruchem szarpnąłem za uzdę. Koń dobył ostatnich sił. Zerwał się w bok — i minął niebezpieczny prąd.

Minęła groza. Jakżeż mogło być inaczej? Na pierśsiach zawieszony medalik św. Tereski był mi puklerzem. Ale iluż to naszych zginęło już w tajemniczych nurtach wielkiej rzeki Ivahey!

Wieczorem dojeżdżamy do Apukarany. Jestem strasznie zmordowany. 35 kilometrów na siodle — i to

w takich warunkach. Toteż odrazu udałem się na spoczynek.

Nazajutrz już wszyscy wiedzieli, że ksiądz przyjechał. Poproszono mnie też zaraz do chorego. Kłopot sta Jan Litwin bowiem dogorywał.

Zapakowałem przybory do Mszy św., święte oleje i w drogę. Trzeba było jechać jakieś pół godziny. Zwiedzili się ludziska, więc szli w stronę Litwinowego obejścia. Wczoraj jeszcze wieczorem roznieśli wieść o tym gońcy:

— Księżyk z Polski przyjechali. Msza święta będzie u Litwina.

Jechaliśmy spory kawałek. Po czym trzeba się było puścić piechotą, gdyż ogromna tam była góra i wąziutka tylko ścieżynka.

Dochodzimy do małej rzeczki, która przerzynała Litwinowe już pola. Zdejmujemy obuwie. W jednej ręce trzymając trzewiki, w drugiej zaś podkasaną sułannę, brodzę ostrożnie we wodzie, omijając większe kamienie.

Kobiety poczynają śpiewać. „Kto się w opiekę“ wyrywa się z piersi wszystkich. W poważnym nastroju postępuje rażno naprzód ta dziwna procesja.

Zbliżamy się wreszcie do celu. Obejście Litwinowe stało na małym wzgórzu, ogołoconym z lasu. Z pomiędzy popiołów niedawno spalonej „rosy“ sterczały odymlione ogniem, pokręcone pnie imbui i cedrów.

Przy domku zielenił się niewielki ogródek z grządkami warzyw. Tam też stał piec do pieczenia chleba.

Prócz tego ogródka rozciągał się na uboczu spory sad pełen pomarańczy, „ameiszy“, brzoskwiń i bananów.

Dom był z drzewa, kryty gontami. Starannie wybielony świecił zdaleka na tle lasu i poczerniałej „rosy“. Okna — jak prawie wszędzie — bez szyb, były naociecz otwarte. Tak samo i drzwi, przez które wchodziło się wprost do izby. Do domu przytykała „kuzina“ — kuchnia. Obok stała obórka i „ranszo“ — stodółka nieduża.

Wchodzę do izby. Pochwalam Pana Boga.

— Na wieki wieków Amen — odpowiadają chórem.

— Gdzie jest chory? — pytam.

— Tamuj w alkirzu — odpowiada mi kobiecinka w pstrokatej chustce.

— Ino niech Ociec troseckę pocekają, zaroz sprzątna.

Wreszcie wołają mnie.

Na łóżku z desek piniorowych leżał chory. Twarz miał zapadłą, poźółkłą. Niebieskie oczy, rozwarte szeroko, patrzyły prawie nieprzytomnie. Usta spieczone i popękane świadczyły, że chorego trawi gorączka. Gdy mnie zobaczył, uśmiechnął się. Suchym gardłowym głosem mówił po cichu:

— Dziękąci, Boże, za tę łaskę. Myślałem, że przyjdzie mi umierać przez świntych sakramentów.

Naprawdę była to wielka łaska Boża. Zazwyczaj umierają tu ludzie bez księdza. Bo jakżeż tu przywołać księdza, kiedy do kościoła i plebanii 80 kilometrów i to drogi, o której my tu pojęcia nie mamy.

Siadłem na zydlu obok łóżka. Rozpoczęła się spowiedź św.

Po spowiedzi św. chory ożywił się i opowiadał mi nieco. Mówił o swej podróży do Brazylii, o ciężkiej pracy przy trzebieniu lasu. Wybudował się, dorobił się trochę. Jedno, że brakło mu sił.

— Harowałem prawie dzień i noc. Ciężka praca, wielga praca. I oberwałem się. Dyc wszystko mi teraz boli.

Nie spełniły się jego marzenia. Chciał sprzedać swój „lot“ i pójść dalej. Ogromne bory dziewicze za „Serra da Esperança“ — Górami Nadziei nie dawały mu spokoju. Dziesięć alkierów (100 morgów) było mu za mało. Tam zaś wabiły go „wielgachne“ grunta.

Tak zwykle tu bywa. Niepohamowany głód ziemi pcha naszych ciągle naprzód, skazując ich na wieczną poniewierkę.

— A ja Polski nie obacę, nie obacę — zawodził jęklawie.

Ubrałem się do Mszy św. Stół pod ścianą był mi ołtarzem. Paliły się dwie świece z wosku szarego, zatknięte w dzbanki do kawy. W małych też kubkach od kawy były wino i woda. Na ścianie wisiał mały krzyżyk. Powyżej zaś portret Kościuszki i obrazki polskie, wycięte z gazet ilustrowanych.

Rzewne to było nabożeństwo. Ludziska śpiewali pieśni pobożne, popłakując przy tym. Byli zresztą tak skupieni, że w chwilach przerwy panowała cisza prawie grobowa, przerywana tylko głuchawym rżeniem

umierającego Litwina. I palmy jeno szeleściły przy oknie...

Komunię św. zaniósłem choremu do alkierza. Na widok Hostii św. zerwał się z ostatnim wysiłkiem. Oczy jego płonęły jakby żarem nadziemskim.

— Przyjmij, bracie, ten wijatyk ciała Pana naszego Jezusa Chrystusa! Niechaj cię strzeże od ducha złego i zaprowadzi na żywot wieczny. Amen.

Dokończyłem Mszy św. Odmówiliśmy ostatnie modlitwy.

Udzieliłem mu w końcu Sakramentu Ostatniego Namaszczenia.

Oddech stawał się coraz cięższy i świszczący. Chory otworzył szeroko usta, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć. Nachyliłem się nad nim. Z głębokich oczodołów wytoczyły się dwie krople łez i jęły spływać szeroką brózdą po twarzy.

— Pozdrówta Polskę — wymamrotał szeptem bezbarwnym.

Uklękli wszyscy wokoło. Łzy lały się obficie, niby te wielkie krople deszczu parańskiego. Odmówiliśmy litanię za konających.

Na podwórku Litwinowe psy wyły żałośnie. Czarne sępy „urubu“ krążyły nad domem, zwiastuny śmierci...

. . . . .  
Zwykłą trumnę, z desek zbitą, zanieśli na cmentarz, a w niej ciało Litwinowe. Spadły na nią grudki czerwonej gliny parańskiej i zakryły ją na sen, na wieki.



Pochowali go twarzą zwróconą ku Polsce. Przy grobie zasadzili dwie palmy młode. Walek od Sawińca wystrugał Pański Krzyż. Ktoś inny na Krzyżu wypisał słowa:

*Śpij Polaku w obcem grobie  
niech se Polska przyśni tobie.*

*Konno przez tereny Indian*

Na podwórku Sawińcowym. W daleką drogę. Nieznani jeźdźcy. Indianie. W przydrożnej wendzie. W osiedlu. Wierzenia. Hymn dziękczynienia.

Na podwórku Sawińca w Apukaranie ruch nie lada. Czynią się przygotowania do podróży. Wynosimy „pelegi“ — skóry baranie, poprawiamy wysokość siodła. Konie zaś chrupią lśniące ziarna kukurydzy. Sieką ogonami na wszystkie strony, oganiając się przed natręctwem much. Sawiniec ciągle miesza im w korycie, jakby zachęcając je do spożycia jak największej ilości obroku. Najwięcej jednak chodzi około dwuletniej kasztanki, która po raz pierwszy w daleką udaje się drogę.

— Dyc pojedziema, kastaneczko, pojedziema!

Jął przy tym głaskać konia, który potrząsnął łbem, zadowolony z takiego przymilania.

Słońce podnosiło się coraz wyżej. Wszystko kąpało się w istnym morzu promieni słonecznych. Wrzaskliwie sejmikowały zielone papugi w ogrodzie Sawińcowym. Przymilnie śpiewały brazylijskie gołąbki. To też czas było ruszyć. Czekala nas daleka przecież droga. Do Candido de Abreu, to całych 50 kilometrów!

Sawińcówny przyniosły pełen kosz pomarańczy. Sawińcowa przygotowała dużo chleba kukurydzianego i „szarki“ — mięsa suszonego. Wszystko to wpychamy do „mali“ — torb, przymocowanych u siodła. Sprawdzamy jeszcze broń. Długie pistolety są gotowe do wystrzału. Ostre noże, w rodzaju krótkich bagnatów, wiszą bezpiecznie u pasa moich kamratów.

Siadamy na koń. Sawiniec na młodziutką kasztankę, ja na rośłego gniadosza, zgrabnego „marszadora“. Drugi nasz towarzysz, Łusiak, dosiadł kobyły o ciemnej maści.

Sawińcowa, jakby na pożegnanie, pogłaskała kasztankę po szyi.

— Moja śkapko, ino by cię nie zamęczyli!

Sawińca zaś zmierzyła od góry do dołu. Uczyniła srogą przy tym minę.

— Ty, stary — rzekła, ślipska ci się świcom. Zebyś za duzo casem se nie pozwolił. Niech juz Ojciec bocom!

Sawiniec był człowiekiem naogół trzeźwym. Czasem jednak lubił się pocieszać „kaszasem“ — wódką, pędzoną z trzciny cukrowej. A i Łusiak nie był od tego.

Takeśmy ruszyli w drogę. Konie szły szerokiego stępa, prychając i dzwoniąc brazylijskimi munsztukami. Nastrój był wesoły. Jadąc obok siebie, gwarzyliśmy o kraju. Mijaliśmy domki naszych kolonistów. Wszystkie z drzewa. Niektóre pobielane.

Nigdzie jednak nie ujrzelśmy kominów, gdyż w domach pieców nie ma. Kuchnia zbudowana również z drzewa i także bez komina. Dym ulatnia się otwora-

mi pod okapem lub przez gęste szpary w ścianach.

Mijamy Bożą Mękę na przydrożu. Postawił ją pobożny osadnik polski, aby mu przypominała ukochaną Lubelszczyznę. Tylko, że palmy obok niej rosną piezaste, zamiast polskich siwych brzoź. Nie śpiewają też przy niej polskie skowronki. Za to „sabija“ misternym gardziołkiem w obce uderza akordy.

Droga zaczęła się pięć coraz wyżej. To znowu opadała w wąskie rozpadliny ziemne.

Nagle z dala dał się słyszeć tętent kopyt końskich. Na skraju lasu galopowało dwóch jeźdźców w naszą stronę. Zbliżając się ku nam, pozdrawiali już z daleka, na sposób brazylijski.

— Boa tarde, senhores, como vae? — dobre po-  
łudnie, panowie, jak się macie?

Byli to dwaj koloniści, Włosi, z dalekiej osady, za-  
szytej głęboko w lasach. Dowiedzieli się o przybyciu  
księdza — więc dalej go sprowadzić do siebie. Opo-  
wiadali mi, że wybudowali nową kaplicę, którą by trze-  
ba teraz poświęcić. Prócz tego dwie pary nie mogą się  
doczekać ślubu, 8 zaś noworodków oczekuje chrztu św.  
Nalegali, żeby zaraz jechać z nimi. Przynależem jed-  
nak, że odwiedzę ich w drodze powrotnej.

Wjechaliśmy w las. Przez wysokie korony drzew  
słońce przedzierało się nieśmiało, rzucając jasne plamy  
na drózkę i gęste ściany podszycia. Mimo to każde do-  
tknięcie jego promieni parzyło, jak żywy ogień. Czarne  
szpaki z piskiem przelatowały z drzewa na drzewo. Nie-  
bieskie sroki skrzeczały w gęstym ulistwieniu cedrów  
i kanelii.

Dojeżdżamy do „wendy“ — karczmy samotnej. Przed „wendą“ stoją jacyś dziwni ludzie. Niektórzy półnagzy, inni przyodziani w łachmany. Kobiety niosą dzieci na plecach. Siedzą sobie te wrzaskliwe stworzonka na szerokich pasach z kory drzewnej, które przechodzą przez czoła matek. Mężczyźni mają w ręku wielkie łuki oraz bardzo długie strzały. Przypatrują nam się małymi, skośnymi oczami.

— To Indianie — szepce mi Sawiniec.

Wyciągam z torby czym prędzej aparat fotograficzny. Gdy jednak zobaczyli tę dziwną maszynkę, pierchnęli od razu wszyscy do „wendy“. Raz po raz tylko jakiś półnagus wyzierał, żeby się przypatrzeć. Gdy jednak nastawiłem aparat, dawał nura do wendy. Wreszcie „wendziarz“, p. Pogorzelski, zacny obywatel, rozpoczął z nimi pertraktację. Stary Indianin, o śmiesznie małych oczach kazał mi oświadczyć, że mogę ich fotografować. Za tę fatygę mam jednak zapłacić po dwa milrejsy od głowy.

— Bo widzisz, biały człowieku — mówił Indianin — w maszynie twojej może być siła nieczysta. Przeto ja i moi ludzie narażamy swe życie.

To też zrezygnowałem ze wspańałowmyślnej oferty. Dowiedziałem się od swoich towarzyszy, że rozpoczynają się tereny Indian. Liczyłem się przeto z tym, że częściej zetkniemy się z tymi pierwotnymi mieszkańcami ziemi brazylijskiej.

Zsiadamy z koni. Wchodzimy do wendy. Jest to rodzaj domu towarowego. Na półkach, wśród ścian, sterczą sterty przeróżnego towaru. Leżą chusty, ma-

teriały, świece, zapafki. Stoją nieforemne skrzynie z karmelkami, mydłem, mąką mandioki i kukurydzy. Wi-szą buty, noże, haki i powrozy. Mienia się niepodłe bu-telczyny z cuchnącym „kaszasem“. W tę też stronę łapczywie spozierają moi towarzysze.

Opierając się łokciami o drewnianą ladę, wnet też poczęli raczyć się prostuchą z trzciny cukrowej.

— Kaszasiusiu gul, gul, gul...

Ja zaś przypatrywałem się bliżej owym dziwnym gościom. Byli to ludzie o rysach twardych i nieregularnych. Głowy mieli duże. Kości policzkowe wystawały uderzająco. Usta duże, wargi grube. Nogi, ręce małe. Kolor skóry ciemnobrunatny. W rozmowie ich powtarzały się stale niektóre dźwięki i słowa, jak: „ta-ra“, „kuru“, „arna“. Nie wiem jednak, co by to miało znaczyć.

Opowiadał mi p. Pogorzelski, że oni tu często przy-chodzą, przynosząc skóry upolowanych dzikich zwier-ząt oraz kapelusze, wyplatane ze słomy ryżowej. Po-częstowałem ich cukierkami. Ośmielili się trochę i roz-mawiali ze mną łamaną brazylijszczyzną.

Ruszamy w dalszą drogę. Jest duszno i parno. Miedziana jasność rozlewa się po horyzoncie. Unosi się nad ogromnymi lasami i puszczą dziewiczą. Za-rośla, drzewa — to bajka dziwów pełna.

Dziwnie robi się nam w duszy. Zaczynamy przeto śpiewać: jak to na wojence ładnie, kiedy ułan z konia spadnie, i o kalinie z liściem szerokim i o tym jaworze, co na górze stoi. Śpiewam najprzód sam. Potem śpie-wamy razem, aż do zmęczenia. I płynie polska pieśń,

a echo ją niesie przez gęsty bór, aż hen do apukarańskich gór.

Jedziemy ciągle przez tereny Indian. Pozostawił je rząd brazylijski tybylcom, iżby tu w bestrosce pędzili swój żywot. Tereny Indian to nietknięty, dziewiczy las, pełen dzikiego zwierza. Na tych terenach też osiedlać się nikomu nie wolno.

Zbaczamy z drogi, żeby dotrzeć do indiańskich osiedli. Jadąc udeptaną ścieżyną, docieramy do jakiegoś szałasu, pokrytego liśćmi palmy. Głośne szczekanie i ujadanie psów oznajmia nasze przybycie, które powoduje wśród Indian duże zamieszanie. Niektórzy ukrywają się w zaroślach. Pozostałych częstujemy papierosami i cukierkami. Otyły jakiś jegomość zaprasza nas do szałasu.

Wchodzimy. W środku pali się ognisko. Po obu zaś stronach ścian leżą wielkie kawały kory z drzew. To ich łóżka, stołki i stoły. Na tej korze też sypiają, kładąc się obok siebie, nogami zwróconymi w stronę ognia.

Gospodarz nasz przyglądał mi się uważnie. Nareszcie rzekł po brazylijsku:

— Ty jesteś „padre“. Ja wiem dobrze, że ciebie krzywdzić nie wolno, bo służysz dobrym duchom. Poznałem cię zaraz po ubraniu.

Na znak przyjaźni poczęstował mię chlebem. Chleb ten posiadał odpychający zapach. Skosztowałem jednak, by go nie urazić. Indianie przyrządzają chleb w ten sposób, że zmielone ziarna kukurydzy wysypują do wody. Gdy masa kukurydziana zgnije, ugniatają ją

rękami i rozrabiają śliną. Z ciasta tego robią duże koła, po czym je pieką w popiele.

W kącie jeszcze leżały niektóre sprzęty gospodarcze, które mi gospodarz kolejno pokazywał, nazywając je po indiańsku. Był tam sobie kocioł z gliny — „cocrou“. Mały tłuczek o kamiennej główce nazwał „cra — cre“, siekierę z kamienia „beng“, krzemienie, zapewne jako narzędzia do krajania „toi“, różne zaś tykwy zastępujące butelki nazwał „umbia“.

Przed szłaśsem chodziły niektóre zwierzęta leśne, zupełnie oswojone. Kręciło się dużo psów. Pies to największy skarb Indianina. Toteż nieraz zakrada się Indianin do osiedli białych w jednym tylko celu — zdobycia psa. Chodzi mu głównie o pomoc w polowaniu. Toteż gdy pies zdechnie, lamentują i płaczą więcej, aniżeli po stracie najdroższej osoby.

Pytałem się swego gospodarza, czy wierzy w Boga. Nie umiał mi na to odpowiedzieć.

— „Ce guignetedi“ — nic nie wiem, odpowiedział.

Dowiedziałem się jednak później, że Indianie uznają jakąś najwyższą istotę, którą nazywają „tupen“. Ogromnie się też boją burzy, o której mówią, że to „zły bóg“. Dziwiłem się bardzo, że wśród tych biedaków nie pracuje żaden misjonarz. W ostatnim czasie przynoszą swoje dzieci do naszych Polaków, żeby je ochrzcili. Taki p. Borecki z Candido de Abreu ochrzcił ich kilkanaścioro.

Zegnamy się z Indianami i ruszamy dalej. Nie zatrzymujemy się już nigdzie, prócz krótkiego postoju nad nieznaną rzeką, by napić konie. Pospieszaliśmy,



bo słońce już zachodziło. Prawie, że już usiedzieć nie mogłem w siodle. Taki byłem zbity i obolały, ale moi towarzysze nawoływali do pospiechu. Ciemność też wnet nastąpiła nieprzebita. Czarna ściana mroku uderzała w oczy, że nic nie było widać. Przy tym owa cisza przerażająca, przerywana jedynie kląskami dzikich indyków w oddali!

Nagle błysnął z dala ogień. Jakaś dzika melodia uderzała o nasze uszy. Byli to Indianie. Leżeli przy ognisku i śpiewali.

O godzinie 10 stanęliśmy w Candido de Abreu, przebywając 50 km drogi poprzez puszcze i lasy dziewicze. Był to dzień umęczenia i dzień pełen wrażeń.

Gdy się w dziurawej szopie kładłem na spoczynek, usta, choć zmęczone, hymn śpiewały dziękczynienia:

*Wyznawajcie Panu,  
Ze dobry jest,  
Ze na wieki miłosierdzie Jego...*

*Na nocnej straży*

W odwiedzinie do hrabiowskiego samotnika. Zastrzeliłem papugę. Płacząca małpka. Noc mię zaskoczyła. Pamiętna noc. Świetlik. Znalazłem drogę.

Candido de Abreu to ostatnia placówka w zachodniej Paranie. Mieszka w niej około 200 rodzin polskich, każda na własnym gospodarstwie, mniej więcej stumorgowym. Za tą kolonią kończy się Boży świat. Lasy dziewicze i tylko lasy — poza tym nic wszerej i wzdłuż. Poryki pum i jaguarów-tygrysów przerywają tu ciszę leśną. Żałosne skomlenia małp, wyjców, wtórują tym królom lasów i puszczy.

A jednak i w tę odwieczną puszczyę zapuścił się człowiek.

Było to przed sześciu laty. Do Candido de Abreu przyjechał francuski wicehrabia de Laguiche. Sprzykrzyła mu się Europa, więc pojechał do Ameryki Południowej. Szukał tu i tam, wreszcie zawitał w te strony. Olśniły go malownicze wzgórza i lasy, oczarowała go cudna wstęga wielkiej rzeki Ivahy. I pozostał. Kupił za 50 tys. milrejsów 25 tys. morgów dziewiczych lasów i wśród nich zamieszkał.

Kiedym wyjeżdżał z Calmon-Ivahy, prosili mnie tamtejsi Misjonarze, bym odwiedził hrabiego i odprawił Mszę św. Spełniłem przeto chętnie ich polecenie.

Do siodła przymocowałem torby z przyborami do Mszy św. i dalej w drogę. Towarzyszyli mi z początku naczelnik i lekarz kolonii na koniach. Według ich wskazówek miałem jechać ścieżyną leśną, ciągle prosto, potem na lewo, następnie na prawo i znowu na lewo, a po kilku godzinach miałem już stanąć na miejscu.

Słońce jeszcze wysoko było na niebie, kiedym wyjeżdżał z kolonii. Przeprawiwszy się szczęśliwie przez rzekę Ubasinho, cwałowałem sobie swobodnie, pogwizdując wesoło. Ścieżka prosta, jak wystrzelił, biegła wciąż pod górę poprzez falisty teren. Gdy zaś wjechałem na wzgórze, roztoczył się przede mną wspaniały widok. Ogromne morze drzew, ciemnofiołkowe, otaczało mnie zewsząd. Przeważały w nim olbrzymie piniorów i szerokolistne palmy. A w koronach tych drzew skrzeczały nade mną jakieś ptaki, tak, jak u nas skrzeczą sroki, jeno nieco chrapliwiej. Przypatrywałem im się bliżej. Były duże, barwy ultramarynowej i zielonej. Wyglądem przypominały mi papugi. Później widywałem je częściej. Są to tak zwane „maitaku“. Zabijają je koloniści i gotują z nich rosół. Ma on być lepszy od rosółu z kury.

Właściwych zaś papug widywałem bez liku. Podrywały się gromadnie, wrzeszcząc przeraźliwie. Gdy usiadły na drzewach, trudno je było dostrzec wśród jaskrawej zieleni listowia. Zszedłem przeto z konia i ob-

serwowałem. Papugi pełzały po gałęziach. Wystrze-  
liłem z pistoletu. Trafiony kulą ptak spadł między lia-  
ny i trzcinę — taksarę. Była to papuga zielona — „p e-  
r e q u i t o“. Przywiązałem ją do siodła. Chciałem ją  
podać hrabiemu na wieszak. Mięso papugi jest  
smaczne. Przypomina smakiem mięso przepiórki.

Jechałem już dobre dwie godziny. Zbaczałem we-  
dług wskazówek kolonistów na lewo i raz na prawo.  
Niecierpliwie przeto oczekiwałem ostatniego skrętu.  
Ale skrętu jak nie było, tak nie było. Zacząłem się  
trochę denerwować. A nuż zbłądziłem? Na myśl tę  
serce jeło mi walić, jak młotem. Boć słońce miało się  
już ku zachodowi. Niemiłosiernie poganiałem kasztan-  
kę „szikotą“ — szpicrutą. Jechałem jeszcze jakieś pół  
godziny. Zakrętu nie było.

Nagle słyszę gdzieś w oddali głośne zawodzenie  
dziecka. Czy to złuda? Przystaję. Wyraźny płacz nie-  
mowlęcia. Może to jakieś dziecko porzucone? Porzu-  
cili je może Indianie? Nie bardzo wyraźnie się czuję  
ale schodzę z konia. Idę w kierunku, skąd dochodzi  
płacz. „Fakonem“ tnę gąszcz i wystające gałęzie.

Nasłuchuję. Rozglądam się. Płacz dochodzi z gó-  
ry. Wreszcie na wierzchołku potężnego pinióra spo-  
strzegam małą ciemną postać. Postać ta, trzymając się  
oburącz za głowę, kiwa się jednostajnym, miarowym ru-  
chem. Patrzę bliżej, a to małpka mała, zwana „m a c a-  
c a c i n h o“. Ciągłe płacze, jakby się skarżyła na swą  
dole. Uderzam fakonem w pień. Małpeczka od razu  
opuszcza ręce, chwytą się za gałąź i spuszcza się ku  
mnie:

— Małpuś, przyjdź, zabiorę cię z sobą!

Jakoś nie rozumiała moich czułych zaproszeń. Poszła na dawniejsze miejsce. I znowu twarz ujęła rękoma i dalej się żaliła leśnym duchom.

Tymczasem słońce już zachodziło. Długie cienie drzew kładły się na zarośniętą ścieżynę. Złote pasma obłoków jarzyły się krwawo. Ale tylko na chwilę. Zaraz potem wychynęła z gąszczy puszczy czarna ciemność i zakryła wszystko. Nastąpiła noc.

W takich warunkach o dalszej jeździe mowy nie ma. Trzeba było czekać świtu. Lęk mnie ogarnął na myśl, jak spędzę tę noc. Sam w odwiecznych kniejach i lasach! Na domiar złego nie zabrałem z sobą zapalek. Ognisko dodałoby otuchy, a w każdym razie odstraszyłoby zwierza. Zdałem się jednak na wolę Bożą i dalej do roboty.

Zdjąłem siodło z kasztanki, torby, oraz „pelegę“, zapopręgowaną do siodła. Kasztankę przywiązałem po omacku do pnia. Robiło się chłodno. Narzuciłem pelegę na siebie, a chodząc w kółko odmawiałem koronkę.

Las budził się do życia. Tajemnicze jego głębie zabrzmiały gwarem. Były to krzyki pełne dzikiego lęku lub przedśmiertnej skargi. Zagłuszały je krzyki bojowe zwycięzców, co nielitościwie mordowali swe ofiary. Dziki zwierz urządzał łowy.

Ze strachem przysłuchiwałem się nocnym głosem, tak tajemniczym i groźnym. Słyszałem gniewne pomruki lwa — pumy. Nad moją głową przelatywały ogromne puhacze, a wrzask ich podobny był do jęków

potępieńczych. Opodal szeleściły zmije i wielkie jaszczury.

Odmówiwszy dziesiątą już może koronkę, byłem tak zmęczony, że postanowiłem się położyć. Siodło podłożyłem pod głowę, przykryłem się peleką i ległem obok kasztanki.

Jestem zmęczony, a zasnąć nijak. Nerwy pewnie zbyt były rozstrojone. Więc leżę, a przez głowę obrazy płyną: to matka, to Poznań, jakem go żegnał w ostatnią noc. To znowu wsłuchuję się w las, w jego dziwne szepty i dźwięki. Gdyby nie obawa niebezpieczeństwa, zachwycałby się można nocą w puszczy. Bo las ten dziwnie gra i na odwieczną śpiewa melodię.

Nagle dobiegł uszu moich z bliska jakiś szelest, krótki, urywany. Cały zamieniłem się w słuch. Powtórzy się, czy nie powtórzy?

Znowu chrzęst suchych liści i gałęzi dochodzi moich uszu. Coś idzie ku mnie. Sięgam po pistolet u pasa. Czekam, nie ruszając się.

Wtem błysnęły dwa ogniki. Czyjeś oczy!

Włosy stanęły mi na głowie.

Nie było na co czekać dłużej. Podniosłem rękę w górę i strzeliłem...

Rozdzierający trzask przeszył powietrze. Równocześnie zadudniło tam, gdzie były ogniki. Coś łamało liany, gałęzie i pędziło w gąszcz.

Co to było? Może to był jaguar — tygrys chytry, łaknący żeru? Może tylko zwykła sarna brazylijska, co z ciekawością patrzyła na kasztankę i wystraszonego przybysza.

W każdym razie dobrze zrobił, nie strzelając wprost do zwierza. Wiedziałem tyle, że raniony i najniepozorniejszy zwierzak leśny przechodzi do ataku. Zresztą, łatwo było chybić w zdenerwowaniu. Boć tu zazwyczaj strzela się z broni krótkiej.

Uważałem za wskazane podnieść się z legowiska. Zrozumiałem też, że o śnie marzyć mi nie wolno. Robiło się coraz chłodniej. Narzuciłem więc na krótki surdut sutannę, którą miałem w torbie. Przykryłem się nadto pelegą. Tak opatulony z koronką i pistoletem w ręku stałem znowu na nocnej straży.

Wycie, gwar, poryki jakby się oddalały. Echo strzału uprzedziło może zbyt natarczywych rabusiów kniei, że czuwa człowiek. I tak mija minuta za minutą. Odzyskałem też równowagę i śmielej wyczekiwałem chwili, kiedy brzask rozproszy ciemności nocy.

Pojawiły się teraz ogromne szeregi świetlików.

Kiedy zrazu była ich zaledwie mała garstka, nadlatywały teraz w tysięcznych szeregach. Niejeden, co po raz pierwszy widział wielkie świetliki brazylijskie, przeraził się niesamowitym ich widokiem. To niby gwiazdy ruchliwe, latające tuż nad ziemią, niby ślepią wiedźm i upiorów, straszących po uroczyskach.

Świetliki brazylijskie są ogromne. Szczególnie jeden gatunek, większy od naszego chrabąszcza, świecący dwiema plamami na głowie, wygląda niby tajemniczy samolot o zielonawych latarniach. Kiedy przelatuje, robi się jaśniej, potem ciemności jeszcze więcej się potęgują. Były ich inne jeszcze rodzaje. Jedne z nich

świeciły żółtoróżowo. Gasły i znowu świeciły na przemian, co chwilę.

Schwyciłem jednego z tej świetlistej gromady. Był nieco mniejszy od naszego chrabąszcza majowego. Wydawał tak silny blask, że bez wahania wyciągnąłem zegarek, żeby przekonać się, która godzina. Było już po drugiej.

Mijały ostatnie chwile pamiętnej nocy. Zaczęło świtać. Ukląknęłam, by podziękować Bogu za minione niebezpieczeństwo, okulbaczyłem kasztankę i dalej w powrotną drogę. Wreszcie dojechałem do miejsca, w którym droga ta krzyżowała się z ziemią, więcej udeptaną. Na tę ścieżkę skierowałem teraz kasztankę. Po godzinnej jeździe stanąłem nareszcie przed białym domkiem na wzgórzu. Wyszedł z niego rosły, biało ubrany mężczyzna. Był to wicehrabia de Laguiche, samotnik na parańskiej rubieży.



*Ktoś ty jest biały człowieku...*

Pierwsza Msza św. Hrabia ministrantem. Bogactwa Francuza. Ferreiro i Aristides. Zbuduję im pałace. Dziś grosze, kiedyś miliony.

Była może godzina siódma rano, kiedym stanął przed białym domkiem hrabiego. Prawie że oniemiał ze zdziwienia.

— Skąd się ksiądz wziął i to w takiej porze? — począł pytać, uśmiechając się przyjaźnie.

Opowiedziałem mu krótko, jak zbłądziłem i jak noc tę spędziłem w jego lasach dziewiczych.

— Ano, śmiał się, widzi ksiądz, że Brazylia, to nie maleńka Europa, kędy nawet ślepcom nie podobna zbłądzić.

Po czym gwizdnął i klasnął w dłonie. Wnet nadbiegł kabokło — człowiek leśny, w mocno wyszarzałej „pali“, z wielkim nożem u pasa. Rozsiodłaliśmy kasztankę, którą kabokło zaprowadził na pastwisko.

— Panie hrabio, naprzód odprawię Mszę św. Takie mam polecenie od misjonarzy z Ivahy.

Gospodarz mój nie posiadał się z radości. Miała to być pierwsza Msza św., odprawiona na tym odludziu.

Wzruszony do głębi począł wydawać polecenia. Zabra-  
liśmy się wszyscy do pracy.

Z białego domku wyniesiono łóżko i niektóre sprzę-  
ty. Kilku kabokli wdzierało się na wysokie palmy,  
obcinając gałęzie. Przystroili nimi wnętrze domku.  
Ja zaś przygotowywałem ołtarz. Stół ustawiłem pod  
ścianą. Znalazły się i dwie świeczki, które zatknąłem  
w długich szybkach butelek. Hrabia zaś ciągle znosił  
pęki kwiecica. Rozrzucał je po ziemi. Były to nieznane  
mi dotychczas fioletowe i żółte kwiaty z drzewa ipé  
i inne, o bardzo silnym zapachu.

Kiedy już wszystko było przygotowane, usunąłem  
się na chwilę, by odmówić pacierze. Słońce już pra-  
zyło całą mocą. Rozsiewało po ziemi złote promienie  
pełnymi garściami. Biały domek-kaplica rzucał dłu-  
gie, granatowe cienie. Tak samo dwie palmy, gładkie  
jak maszty okrętu, co z dwóch stron straż pełniły przy  
domku. Las szumiał uroczyście, jakby odczuwał, że  
w jego łonie spełnić się miała święta tajemnica. Z dala  
zaś w oprawie mgieł błękitniały niebotyczne stoki „Ser-  
ra da Esperança“.

Rozpoczęła się Msza św. Usługiwał sam wicehra-  
bia de Laguiche. Kabokle zaś klęczeli przy wejściu  
skupieni. Rozwichrzone czarne czupryny dodawały spo-  
ro dzikości ich ciemnoczekoladowym twarzom. Po-  
łatane spodnie i podarte koszule wisiały w strzępach.  
Niektórzy mieli ostrogi przypięte wprost do bosych nóg.  
Zza pasa wyglądały wszystkim sześciopalcowe pisto-  
lety i ostre fakony.

Hrabia modlił się, wzdychając raz po raz. Czarne jego marzycielskie oczy zapatrzone były w krzyżyk, wiszący na ścianie. Ręce miał nieruchomo skrzyżowane na piersiach.

Po Mszy św. pokazywał mi swoje obojętne. Prócz białego domku były szopy i szałas, zbite z desek. Sprawiało to wrażenie pewnej dzikości. Żadnego ogródka, żadnej pomarańczy czy brzoskwini. W koło był tylko las.

Opowiadał mi mój gospodarz, że długo się naszukiwał, zanim znalazł to miejsce. Całymi dniami błądził po lesie w towarzystwie wiernego kabokla. Wycinał ścieżyny, chodził śladami dzikich zwierząt. Dwakroć budował sobie mieszkanie i dwakroć je niszczył, to dla wilgoci, to dla braku zdrowej wody.

W międzyczasie przygotowano śniadanie. Jedliśmy chleb z kukurydzy, ser i suszone mięso, posypane mąką z mandioki. Popijaliśmy przy tym czarną kawę brazylijską, słodzoną miazgą cukru z trzciny cukrowej.

Po śniadaniu na koń. Mam zobaczyć to wszystko, co tu zrobiono przez sześć lat.

Hrabia, w białym ubraniu, wyglądał mimo czterdziestki na młodzika. Dosiadł białego, jak mleko araba, który się nosił z gracją, jakby dumny był z tego zaszczytu. Dla mnie osiodłano spokojnego gniadosza o długiej, miękkiej grzywie.

Hrabia opowiadał. W ciągu tych sześciu lat wycał 30 ścieżyn i dróg, według ustalonego planu. To

był największy wysiłek. Nie chcieli mu bowiem kabokle pomagać, nawet za pieniądze.

— Ktoś ty jest, biały człowieku — mawiali — że nam wydzierasz ziemię? Toć to wszystko nasze — od założenia świata!

Urządzali nań zasadzki, śledzili na każdym kroku. Nie uląkł się biały człowiek i gróźb. Jął im przemawiać do serca. Obdarowywał ich dzieci. Chciał sobie zdobyć ich szacunek, więc strzelał do podrzucanych orzechów leśnych i rozstrzaskiwał je celnym wystrzałem. I zaczęli go szanować. Pomagali mu też odtąd w jego zamierzeniach.

Zapuszczamy się coraz dalej w głąb. Palmy, paprocie, powoje, bluszcze o niebywałej długości, ogarniają nas zewsząd. Melodyjnie śpiewają tangary, nawołują podsrokosze, kraczą barwne tukany i inne tysiączne rzesze ptasie uczestniczą w porannym koncercie.

Srebrzyste, metaliczne dźwięki, wydawały ptaki z rodziny bławatników, zwane „ferreiros“ — kowalami. Hrabia podniósł pistolet i strzelił. Z wierchołka spadł ptak. Zabarwiony był w ciemne paski na tle bladożółtym.

— Oto ma ksiądz kowala, każę go wypchać i będzie pamiętka, rzekł hrabia podnosząc ptaka.

Dojeżdżamy do rzeczki, która przerzynała las krętym rozlewiskiem. Lśniąca tafla rzeki traciła nagle grunt pod nogami.

— To jest rzeka diamentów — rzekł z dumą mój towarzysz. — Tak ją nazwałem i tak ją nazywać będą po wszystkie czasy...

Opowiadał mi, jak tu niegdyś w wodzie, znalazł kilka diamentów. Odtąd rzeczkę i kabokle tak nazywają, bo „conde“ — hrabia kazał.

Stajemy przed okólnikiem.

— To moje konie, moja дума — dodał „conde“ z naciskiem. Były tam krwiste araby, zgrabne „marszadory“ i brazylijskie „andadory“, o spadzistym zadzie. Kręciło się to wszystko, dreptało, parsało.

Hrabia głaskał każdego przymilnie, nazywając go po imieniu: Makako, Togo, Lebuno, Pangare, Pampo, Bajo.

Konie zaś rżały i kiwały łbami, jakby się odwdzięczyć chciały za taką poufałość.

Po godzinnej jeździe docieramy do hodowli świń. Strażuje tu stary kabokło, Ferreira da Silva, wraz z synkiem, któremu na imię Aristides.

Świnie chodzą swobodnie po lesie. Tylko na noc zgwiszduje je Aristides z ojcem do wielkiej zagrody, z obawy przed drapieżcami.

Świnie to jedyny dochód hrabiego. Kilka razy do roku pędzą kabokle niezliczone gromady „świńskie“ przeszło 200 km do rzeźni w P o n t a G r o s s a.

Mały Aristides spoglądał na mnie wielkimi, czarnymi oczami. Powiedział mu ojciec, że to jest padre — ksiądz. A on przecież ksiądz w życiu jeszcze nie widział.

Dałem mu medalik. Przyjął go ukontentowany.

— Aristides — mówię doń — umiesz ty pacierz?

— Sim padre — tak Ojczy — i klęka i żegna się.

Ale to było wszystko. Innego pacierza nie umiał. Nigdy on w życiu nie był w kościele, nikt mu też o Bogu nie mówił. Biedny dziczek leśny.

— Niech teraz ksiądz powie, czy dobrze zrobiłem uciekając z Europy prosto w te brazylijskie bory — pyta mnie żartobliwie p. de Laguiche.

— Sprzykrzyła mi się Europa — ciągnie dalej. Przez całą wojnę na froncie jako oficer artylerii, a potem różne błazeństwa w cywilu — o, miałem ja dosyć wszystkiego. Tu jestem szczęśliwy. Da Bóg, dokonam tu wielkich dzieł. Ucywilizuję kabokli, sprowadzę im nauczycieli i księdza, pobuduję im pałace...

— A jak ksiądz za 20 lat zawita w te strony — mówił w zamyśleniu — to zastanie tu zmiany. Powstaną nowe osiedla ludzkie. Warczeć będą motory. Dam pracę tysiącom. Wszystko na większą chwałę Boga i Francji!

Las zahuczał. Grzmiący ryk, chichot złowrogi, przeciągłe wycie, straszliwy wrzask konających. Wszystko to zlało się w jedną, dreszczem zgrozy przejmującą melodię.

— To mały, wyjce, zapowiadają burzę — wtrącił hrabia — pospieszajmy, bo chcę księdzu pokazać ładną panoramę.

W skalistym wąwozie zostawiliśmy konie. Potem pięliśmy się jakieś pół godziny pod wysoką górę. Narzeczcie stanęliśmy na wierzchołku.

Co za cudowny widok! Na południe i wschód żyzna dolina rzeki U basin ho, pełna gąszczy i zielonych krzewin, połyskujących różnobarwnym kwieciami. Na zachód zaś, jak okiem sięgnąć, dziewicze tylko lasy.

— Tu przyszłość Polski — rzekł hrabia, wskazując ręką na zachód. — Niechaj Polacy tu idą ławą. Dziś za tę ziemię płacić będą grosze, a za kilkadziesiąt lat wezmą za nią miliony.

Zszedłszy z góry dosiedliśmy czym prędzej koni, bo burza szła. Gnaliśmy co tchu. Konie parskwały, podzwaniając brazylijskimi munsztukami. Nie mówiliśmy ani słowa. Ja zaś ze złości spoglądałem na swego towarzysza. Rozwazałem sobie, co mi mówił ten twarzą pionier, samotnik.

Teraz zrozumiałem, że w Paranie przyszłość nasza. Dobrze będzie skierowywać w te strony owe tysiące, co rok rocznie Polskę opuszczają w poszukiwaniu nowych warsztatów pracy.

Hasłem polskiej polityki emigracyjno - osadniczej niechaj będzie: Parana!

*Przez Paranaę*

Stolica parańskiej Ukrainy. Wodospady. Parańska Częstochowa. Szlachta herwowa. Żniwa. X. Kominek. Najpiękniejszy dzień w jego życiu.

Wróciłem do Candido de Abreu, stąd znowu dalej. Jechała nas cała drużyna. Oprócz Polaków, jechali również p. Antenor Pereira dos Santos — rządowy administrator kolonii i miłusieńki lekarz, dr Viera de Miranda.

Przystanęliśmy u granic kolonii. Fotografuję z konia — a potem pożegnanie. Posypały się wiwaty a nie miały końca radosne okrzyki:

Viva a Polonia! — Niech żyje Polska!

Viva o Brasil! — Niech żyje Brazylia!

Szczęśliwie docieram znowu do Calmon — Ivahy. Zdam sprawę ze swych objazdów proboszczowi, a potem w dalszą podróż, na południe Parany!

Drogę do Prudentopolis odbywam w towarzystwie X. Porzyckiego i kolonisty Stanisława Rybińskiego. Jest precudny dzień słoneczny, pełen przedwiosennych woni. Wszystko pachnie — powietrze, „rossy“, step i góry...



Obozujemy nad rzeką L a g e a d â o. Poimy konie, a potem przy rozpalonym ognisku posiłek i krótki odpoczynek.

Nad wieczorem przepławiamy się przez rzekę Rio dos Patos, a za jakąś godzinę wjeżdżamy w mury miasta Prudentopolis. Owe 50 km drogi przebyliśmy w 8 godzinach.

Prudentopolis to stolica parańskiej Ukrainy. Kolonia już starsza, gdyż założona w 1896 r. Koloniści tu-tejsi, to głównie chłopcy ruscy, z powiatów położonych na północ i na wschód od Lwowa. Jest ich tutaj około 2000 rodzin. Stosunek ich do Polaków jest obecnie znośny. Minęły, daj Boże, bezpowrotnie owe czasy, kiedy publicznie rzucano hasło: „rizaty lachiw“.

Zapewniał mnie o tym o. Szkirpan, obecny przełożony tamtejszych oo. Bazylianów, a na odchodnym rzucił słowa:

— Po co się zreć, kiedy w Brazylii mamy wspólne z Polakami interesy?

Polaków w samym miasteczku jest zaledwie 40 rodzin. Poza tym po kolonii rozrzuconych jest około 600 rodzin. Liczba ich jednak z dnia na dzień maleje. „Głód ziemi“ pcha ich dalej. Kto odłożył trochę grosza, sprzedaje swe grunta i idzie w głąb.

Idą w stronę „Gór Nadziei“. Ba, nawet za Pitangę zapuszczają swe zagony.

— Kupię tamuj dwasta alkrów i bede sobie pan — mówi mi jeden z nich.

Z sympatycznym proboszczem parafii, X. Gertnerem\*), odwiedzamy szkołę, kierowaną przez ss. Szarytki.

— Louvado seja o nosso Senhor Jesus Christo — a równocześnie — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — pozdrawiają nas chóralnie dzieci. Są tam nie tylko dzieci polskie, lecz również niemieckie i brazylijskie. Nawet dzieci kierownika miejscowej szkoły brazylijskiej uczęszczają do Szarytek. Bo też szkoła Sióstr ma opinię jak najlepszą. Dzieci obce mają jeszcze tę korzyść, że nauczają się nieco po polsku.

Również i w internacie mają Siostry dzieci różnych narodowości.

Okolica ta naprawdę piękna. Bezmiar licznych borów, kopulaste wzgórza i z łoskotem grzmiące wodospady.

Wybieramy się do „św. Jana“, największego z nich. Prowadzi nas Jan Sobczak. Najprzód lasem, potem przez zarośla i gąszcz. Sobczak toruje nam drogę. Słychać bezustanny świst ostrej fojsy. Pękają liany, walą się wysokie łodygi takuary. Tak przygotowaną ścieżką idziemy ciągle naprzód.

Oszałamia nas zapach dżungli brazylijskiej. Wszystkie wonie apteczne bezustannie łechcą nasze nozdrza. Odurza wprost odór zgniecionych liści i zrąbanych pni żółtych „sasafrasu“.

Pot leje się obficie, zalewa oczy, tamuje oddech. Raz po raz padamy na ziemię. Potykamy się o głązy oślizgłe i ostre.

---

\*) Umarł w r. 1933.

Wreszcie w oddali słycać jakieś grzmoty, które co chwila się wzmagają. Gąszcz rzędzie, widzimy słońce i wodospad!

Wody Rio dos Patos płyną szerokim korytem wśród wysmukłych palm, co wyszły z dusznych lasów na brzegi, aby, niby podlotki, przeglądać się w lazurowej toni.

Płyną spokojnie, rozbryzgując się tu i tam o skaliste zręby kęp.

Nagle wpadają w przepaść — 80 metrów w dół! Jakby z przerażenia wołają na alarm. Odpowiada im głuchy pomruk, urywany grzmot i echo, co brzmi w tym skalnym wądole.

Innym razem wybraliśmy się do wodospadu Rio dos Patos.

Niemniej trudna i niebezpieczna przeprawa. Nie zapomnę nigdy, jak nasz przewodnik, Tadeusz Stysz, figlował sobie na krawędzi wodospadu. Stawał na jednej nodze, wychylał się i drugą strącał kamienie w przepaść.

Robiło mi się nieswojo, lecz Brazylijanie klaskali z uznaniem.

Z Prudentopolis jadę do I r a t y.

Miasteczko to leży nad koleją, łączącą stany São Paulo i Rio Grande do Sul. Tutaj i w okolicy skupia się około 800 rodzin polskich. Niedawno temu Polaków tu prawie nie było. Z czasem zaczęli wykupywać od miejscowych kabokli grunta. Dziś przybywa ich coraz więcej, wzmacniając polski stan posiadania.

Handel polski rozwija się nieźle. Jest kilka sklepów polskich, którym powodzi się dziś dobrze. Kupiec

p. Cichewicz z Torunia należy nawet do miejscowych potentatów finansowych.

Chybotliwą kolejką ruszam dalej do *Marechal Mallet*.

Koleje brazylijskie są dość czyste i wygodne. Nie widzę tu żadnych napisów z zakazami. Możesz czynić, co ci się podoba, boć Brazylia, to typowy kraj owej „liberdade“ — złotej wolności.

W *Marechal Mallet* istnieje od lat 15 szkoła średnia im. Mikołaja Kopernika. Program nauk równa się mniej więcej programowi czterech klas naszej szkoły średniej. Na stosunki tutejsze jest to wystarczające.

Nieco dalej leży *Rio Claro*. Jest to ośrodek najliczniejszego skupienia polskiego w Paranie. Do parafii należy 2000 rodzin polskich.

Z daleka już wita nas wysoka wieża kościoła, położonego na wzgórzu. Koloniści dumni są ze swego kościoła. Częstochową parańską nawet go nazywają. Dumni są też ze swego proboszcza. Jest nim obecnie X. Piasecki, Poznańczyk. Pracy tam niemało. Wraz ze swym wikarym prawie z konia nie schodzą. Ciągłe w drodze do kaplic, do odległych kolonii.

Stąd jadę do *Mateusza*. Przez wertepy, lasy, przeprawiając się przez rzeki, dążę do celu.

*São Mateus* — Św. Mateusz położony jest nad rzeką *Iguaçu*. Kolonia ta powstała w r. 1891, w czasie wielkiej „gorączki brazylijskiej“, kiedy to chłop polski, zwartą masą płynął hen, za ocean — do tej ziemi mlekiem i miodem płynącej.

Mateuszacy, to naród dobry, jeno wielce gadatliwy i pewny siebie. Sami prawie Królewiaczy. I to często robotnicy, lub rzemieślnicy z miasteczka.

Specjalnością Mateuszków to „herwa“. Oni to pierwsi z Polaków nauczyli się ją wyrabiać. Na herwie też nieźle się dorobili, mając piękne i bogate „herwale“ — laski drzewa herwowego.

Drzewa herwowe dostarczają liści i młodych pędów, z których wyrabia się zieloną herbatę. Drzewa te rosną tutaj dziko. W koło tych drzew wycina się krze i pnącze, pozostawiając jedynie drzewa wysokie dla ochrony. Drzewko średniej wielkości daje kilkanaście kilogramów liści.

Zastaję szlachtę herwową przy pracy. Czas to bowiem „safry“ — żniwa herwowego. Wszystko, co żyje, wyruszyło do lasów, na robotę. Obcinają gałązki owej zielonej herbaty. Inni je „sapekują“, czyli opiekają na ogniu. Dalsi wreszcie zajęci są suszeniem, lub mieleciem. Po drogach olbrzymie „karosy“, pełne worków herbaty parańskiej. Całe karawany mułów, objuczonych workami z herwą, ciągną leniwie do miasta. Stateczki rzeczne, na Iguassu, również zabierają „złoto parańskie“.

O niczym się nie mówi, jak o herbacie. Mateuszaki są trochę przygnębieni, bo ceny niskie. Aroba (15 kilo) 9 milrejsów. Mówią mi, że w roku zeszłym było to inaczej, gdyż aroba kosztowała 12 milrejsów.

Pocieszałem ich, że będzie lepiej. Podłyszałem bowiem w pociągu rozmowę dwóch kupców-herwiarzy.

Przez Tres Barras, gdzie również odwiedziłem naszych, przez Mafre, jadę do Itayopolis.

Itayopolis, kwitnąca kolonia polska, leży w północnej części sąsiedniego stanu Santa Catharina. Pierwsi koloniści osiedli tu w r. 1891. Byli to robotnicy angielscy z Londynu i Polacy z Królestwa. Jak było do przewidzenia, londyńscy robotnicy rychło uciekli z kolonii. Polacy zaś wytrwali. Później przyszli jeszcze Rusini i Niemcy.

Dziś kolonie te należą do najlepszych kolonii polskich w całej Brazylii. Dzięki kościołowi i licznym szkołkom, a przede wszystkim dzięki ruchliwej działalności X. Kominka, okolica cała ma charakter polski. Często nawet Niemcy, Rusini i Brazylianie mówią tu po polsku.

Mieszkam na plebanii, u gościnnego X. Kominka. Razem też jeździmy od kolonii do kolonii. Sympatyczny proboszcz zna każdą cząstką tej ziemi, każdą zagrodę, każde dziecko nawet. Wszak 26 lat już dobiega, jak on tu trwa na tym posteruku. A twardo trwa — po misjonarsku!

— Dziś, to tu już spokojnie — mówi zacny misjonarz. — Za to w pierwszych początkach, kiedym tu przyszedł, bywało nieraz gorąco...

I zaczyna mi opowiadać, jak to dziki szczep Indian Botokudów napadał na polskie zagrody. Dzicy wymordowali rodziny: Przybylskich, Neplów, Martinsów i innych, razem około 60 osób. I chaty ich puścili z dymem, a w dymiące zgliszcza powrzucali trupy pomordowanych i ciężko rannych. Napady te powtarzały się później jeszcze raz po raz. Koloniści odpłacali pięknym za nadobne. Urządzali polowania na dzikich, mordując wielu z nich.

Nasz misjonarz chce kres położyć temu barbarzyństwu. Powoli zbliża się do ich siedzib. Nareszcie dociera do samego „posto dos indios“ — terytorium indiańskiego. Zdobywa powoli ich serca dla Chrystusa.

I oto nadchodzi dzień 20 października 1923 roku. Gromadka złożona z 98 Botokudów przyjęła sakrament chrztu św.

— W odwiecznym borze — opowiada czcigodny towarzysz — w blasku zapalonych pochodni, odbywała się święta ceremonia. Synowie puszczy Popo, Waicuri, Cowaca, Crendo, Ndiri, Van-hecu, Jaefa, Coricran, Coingang-co, Cuveinh, Cacsu, Culung, Tungdu, Lai-ongda, Segatagn i t. d. schylali pokornie swoje głowy, a woda chrztu św. zmywała je na żywot wieczny. Pół-trzeciej godziny trwał chrzest. Jednakże nie czułem zmęczenia. Byłem szczęśliwy, że wolno mi było tę gromadkę uświęconą ofiarować Panu Jezusowi, jako pierwociny plemienia Botokudów. Był to najpiękniejszy mój dzień w życiu kapłańskim...

Dzień ten był zarazem dniem pojednania się kolonii polskich z dzikim plemieniem. Na odjezdnym też prosili Indianie misjonarza, aby im pozwolił przyjść do siebie.

— Ma się rozumieć, że się zgodziłem. A obiecałem im, że ich przyjmę bardzo chętnie, byleby się tylko niczego nie bali. Tam już teraz nie ma nieprzyjaciół — „kabokle“, ale sami dobrzy „kakeń“ — przyjaciele.

A jakie to było spotkanie, niechaj sam opowie czcigodny mój gospodarz.

*Ksiądz Kominek opowiada*

Pierwszy raz w kościele. Bugry jadą. Niezgarsze apetyty. Strzelanie z łuków. Bez botoki. Wódka. Przed prezydentem. Kacyk księży. Pożegnanie.

„Przyszła delegacja Botokudów do kolonii Moëma, gdzie właśnie odprawiałem nabożeństwo. Biedacy szli całą sobotę i całą noc przez bory, spiesząc się, aby mię zastać na Moëmie. Wczesnym rankiem w niedzielę byli już na kolonii. Jakże się cieszyli, gdy wyszedłem do nich, jak witaliśmy się z sobą serdecznie. Widziałem, że są bardzo zmęczeni i zgłodniali.

Rozłożyliśmy na podwórku ognisko, które kołem obsiedli i kazałem naprędce przygotować dla nich śniadanie. Przyniesiono parę bochenków chleba, kilka litrów miodu, trzy potężne dzbanki kawy i to im podano dla zaspokojenia pierwszego głodu.

Pod koniec nabożeństwa wprowadzono ich do kaplicy, gdzie przed balaskami zrobiono dla nich miejsce. Zbici w gromadę, pousiadali na podłodze i z największym zaciekawieniem trwali do końca nabożeństwa. Pierwszy raz w życiu byli w kościele na nabożeństwie.

Samo wewnątrz malowanego kościoła, obrazy, ołtarz, figury, wszystko było dla nich dotąd niewidzianą



nowością. Po nabożeństwie i po obiedzie wybrałem się z nimi w stronę parafialnego kościoła do Itayopolis. Ponieważ mieli do zrobienia 26 km. a byli strudzeni całodziennym marszem, jeden z kolonistów, poczciwy Jan Rozwód, ofiarował się furmanką odstawić ich do kościoła.

Wybraliśmy się razem, oni wozem, a ja obok konno. Droga, choć sucha, ale nierówna i wyboista, biedny Rozwód z trudem mógł utrzymać swoje rosłe, dobrze utrzymane konie, wóz skakał, wpadając z jednej dziury w drugą, myślałem, że moi leśni goście żywi nie dojadą do miejsca. Oni jednak byli z tej jazdy bardzo zadowoleni, objawiając swą radość wybuchami śmiechu.

Lotem błyskawicy rozeszła się wieść, że „bugrzy“ jadą do kościoła. Liczne gromady ciekawych wystawały po drogach, aby się przypatrzeć „dzikim“, bo choć to dawni nasi sąsiedzi, jednak mało który z kolonistów w swym życiu ich widział. Ci Botokudzi, tak okrutni, tak straszni, którzy tyle rodzin polskich w okrutny sposób wymordowali, ci Botokudzi dziś jadą do nas w odwiedziny.

Już pod wieczór przybyliśmy na miejsce. Mieszkanie przygotowano dla nich w pobliskim niezamieszkałym domku, gdzie z całą swobodą mogli się rozlokować. Przygotowano obfitą kolację, bo słusznie spodziewano się, że nasi goście będą mieli apetyt niezgorszy. I w rzeczy samej, trudno ich było nakarmić. Zabawili na kolonii aż do środy i obdarowani ubraniami i różnymi drobiazgami, powrócili do swych leśnych siedzib, wciąż ponawiając swą prośbę, by przyjechać do

nich na „posto“. Obiecałem, że wnet przyjadę, choć nie bardzo wierzyłem, czy obietnicy naprawdę kiedyś mógł dopełnić.

Zaledwie upłynęły cztery tygodnie, a oto znowu w niedzielę, pod wieczór, zjawiała się druga gromada Indian, złożona z 10 osób. Przyszli sami aż do kościoła. Całą drogę z „posto“ aż do kościoła szli pieszo, to też byli bardzo strudzeni. Wybrali się w tak daleką drogę, bo zazdrościli, że tamci otrzymali tak piękne prezenta, chcieli i oni coś dostać. Zaprowadziłem ich do naszego ogrodu, gdzie pousiadali na trawniku w sadzie pomarańczowym, i co można było przygotować naprędce, tym ich uraczono, aby zaspokoili pierwszy głód. A więc jeden i drugi bochenek żytniego chleba, kosz bułek, dwie miski miodu, dwa kilo kiełbasy i parę dzbanków kawy, oto, czym przyjęliśmy tak rzadkich gości. Wnet podano kolację i ku ogólnemu zdziwieniu, nie tylko sprzątnęli kolację, lecz oświadczyli, że tego było za mało.

Pan Karol Rewaj, dobry ich znajomy, bo już bywał na „posto“, w mig postarał się, aby goście nie poszli spać głodni. Przyniósł duży sagan mąki mandiokowej, dosypał kilka kilogramów żółtego cukru, zalał to zimną wodą, wymieszał i podał im na deser ich ulubioną potrawę. To nareszcie ich nasyciło i zaspokojeni, udali się na spoczynek. Mieliśmy sposobność podziwiać wyborny ich apetyt i zadowolenie, jakie malowało się na ich twarzach w czasie jedzenia.

Widocznie spodobało im się u nas, bo chociaż na wstępie oświadczyli, że nazajutrz muszą wracać, to jakoś nie bardzo im było spieszno i z dnia na dzień zwle-

kali z powrotem do borów, tak, że ostatecznie wybrali się dopiero w czwartek. Mieszkali w tym samym domu, co poprzednia gromadka, a jedzenie donoszono im z plebanii. W kościele zachowywali się skromnie i spokojnie, słowem budująco.

Chociaż ci Indianie dopiero pierwszy raz byli na kolonii pomiędzy „białymi“, to zachowaniem się swoim nas wszystkich zadziwili, tak się potrafili zastosować do nas. Patrząc na nich, trudno było pogodzić się z myślą, że to Botokudzi, że to dzicy — dzieci natury. A cała sztuka była w tym, że wszystkiemu pilnie się przyglądali, naśladowując to, co u innych widzieli.

Przynieśli z sobą łuki i wielkie pęki strzał różnego gatunku. Popisywali się strzelaniem z łuków. Co za siła i co za wprawa! Strzała, wypuszczona z łuku, wzbija się w górę na wysokość kilkudziesięciu metrów, a potem spadała w miejscu upatrzonym. Strzała, z okuciem żelaznym, na odległości 20—25 metrów przebijając deskę calową na wylot.

Wszyscy, którzy byli na kolonii, tak z pierwszej, jak i drugiej wycieczki, należeli do grupy Indian, których ochrzciłem. Zastanowiło mnie to, że żaden z nich nie nosił w wardze „botoki“, oznaki szczepu, choć dziurka w dolnej wardze jest widoczną, niezarośniętą. Gdy ich pytałem dlaczego nie noszą botoki, odpowiedzieli, że są ochrzczeni i nie tylko na kolonii, ale i w „posto“ i w borach botoki nie noszą.

Przez tych kilka dni, jakie spędzili pośród nas, oprowadzaliśmy ich i pokazaliśmy wszystko, co ich mogło zainteresować. Byli także w szkole i wydziwić się nie

mogli, że tyle dzieci razem zebranych. Zrozumieć nie mogli, po co tu przychodzą i na co mają takie dziwne przedmioty, jak tabliczki i książki. Byli i na wieży kościelnej, i choć to wysoko, jeszcze na palcach się wspinali, aby móc zobaczyć swoje „posto“.

— Tak, tak, nasza to była ziemia, tutaj polowaliśmy na zwierza, a dziś nasza ziemia tam daleko, — mówił jeden z nich, pokazując ręką na całą okolicę i łzy spłynęły mu po policzkach.

Bardzo smutny objaw daje się zauważyć u wszystkich tutejszych plemion indiańskich, a mianowicie: wielka skłonność do pijaństwa. W borach, na „posto“ mają surowy zakaz używania jakichkolwiek napojów. Wyjątek stanowi „święto botoki“, obchodzone co rok, przy końcu grudnia, bardzo uroczyste.

W tym wyjątkowym dniu mogą pić dowoli napój bardzo odurzający, przez nich samych wyrabiany. Fabrykują ten swój trunek narodowy „gojsu“ w ten sposób, że do kadzi z wodą wrzucają kaczany miękkiej, niedojrzałej kukurydzy, miód pszczół leśnych i kawałki pewnego gatunku paproci. To poddają przez parę tygodni fermentacji. Gdy proces fermentacji skończony, zlewają napój w przygotowane beczki. Jest to napój tak silny, że w dniu tym, w „święto botoki“, wszyscy „bugrzy“, starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety, leżą jak martwi. Skoro tylko przyjdą na kolonię, pierwsze, po co wyciągają rękę, to wódka; piją wszyscy, a piją bez miary. Bardzo smutny to objaw. Ośmieleni będą przychodzili na kolonię coraz częściej, będą się rozpijać, a pijaństwo stanie się ich zgubą.

Tak się złożyło, że w tym czasie, kiedy druga grupa była na kolonii, wypadł przyjazd na naszą kolonię prezydenta stanowego Santa Cathariny, p. Adolfa Kondera. Przedstawiono panu prezydentowi i tę część jego poddanych; ucieszył się bardzo i kazał się fotografować w otoczeniu bugarów. Gdy prezydent odjechał, przyszedli do mnie bugrzy, pytając, co o nich mówił gubernator. Byłem zaskoczony takim pytaniem. Po chwili namysłu odpowiedziałem, że gubernator ich chwalił, że są dobrymi ludźmi, bo już nikogo nie napadają i nie mordują, a jeszcze będą lepszymi, gdy się przyzwyczają do pracy na roli.

Z przyjęcia, zgotowanego dla prezydenta i reszty gości, w sali polskiego towarzystwa „Bratnia Pomoc“, pozostało wiele ciast, tortów i kawy. Zastawiono na nowo stół i zaproszono Botokudów, aby i oni skosztowali słodczy, na które są tak łakomi. Wszyscy byliśmy ciekawi ich zachowania się przy stole, byliśmy pewni, że nie dadzą sobie rady z filiżankami, podstawkami, talerzykami i t. d. Tymczasem zrobili nam wielką niespodziankę. Zachowali się bardzo poważnie i godnie; nie popychali się, nie wyprzedzali jeden drugiego, jedli powoli, spokojnie, ale bardzo wiele.

Na odchodnym byli na plebanii, aby się pożegnać. Prosimi, aby im na drogę dać wódki. Oświadczyłem, że wódki im nie dam, bo nie mam, i tłumaczyłem, że nie-dobrze pić wódkę, bo to obrzydliwe i szkodliwe. Zafundowałem im parę butelek wody sodowej i tym ich uraczyłem. Bardzo im to smakowało, a gdy ich pytam

co lepsze, wódka czy woda sodowa, wszyscy razem odpowiedzieli, że i to dobre i wódka dobra.

W pokoju pousiadali sobie na podłodze, na skórze tygrysięj i z ciekawością oglądali fotografię z obchodu 25-lecia pobytu księży misjonarzy w Thomas Coelho. Nie mogli się nadziwić, że może być tyłu „papaiów“ — księży na świecie. Zaraz poznali, że w środku siedzący arcybiskup wyróżnia się od reszty księży i pytali, dlaczego ma inny strój? Mówiłem, że to arcybiskup „arcebispo“. Żadną miarą nie mogli tego pojąć, dopiero, gdy powiedziałem im, że to jest „cacique doc papaias“ — kacyk księży, w tej chwili mnie zrozumieli.

Poszli pożegnać się i do szkoły, a nasze Siostry Miłosierdzia wypuściły dzieci na pauzę, aby pożegnać się z bugrami. Żegnali się ze wszystkimi jak dobrzy, starzy znajomi. Już byli daleko, a jeszcze rękoma, kapelusząmi dawali znaki pożegnania w stronę plebanii i szkoły. Prosimi, by ich kazać kawał drogi odwieźć furmanką, bo tamci pierwsi jechali wozem, a oni jeszcze nie. Choć pilną miałem robotę, jednak zgodziłem się na ich prośbę i kazałem ich kawał drogi podwieźć.

Cieszyli się jak dzieciaki, gdy się znaleźli na wozie, bo to pierwsza jazda w ich życiu. Tymczasem nieszczęście chciało, że furman ujechał jakie cztery kilometry, przewrócił i wysypał moich gości w dziurę. Wyobrażam sobie ich miny w chwili, gdy się wóz przewracał! Podobno cichutko leżeli w dziurze, a gdy się pozbierali, pousiadali na środku drogi i ani rusz nie można było ich namówić, by wsiedli na wóz. Dopiero gdy

ich furman upewnił, że już więcej razy nie przewróci, zgodzili się wsiąść na wóz.

Na odjeździe trzeba było ich obdarować prezentami: dostali noże, nożyczki, igły, nici, pierścionki, grzebienie, lusterka i inne świecidełka. Jeden prosił mnie o kapelusz. Zdjąłem kapelusz z głowy i dałem mu, sam pozostałem bez kapelusza. Jeżeli jeszcze trzecia i czwarta grupa takich gości mnie nawiedzi, a tego można wkrótce się spodziewać, to obiorą mnie tak, że nie tylko bez kapelusza, ale i bez butów pozostanę.

Takie to były odwiedziny botokudzkie na polskiej kolonii.

## Z Kapłańską posługą

Prezydencka gościnność. W tropikalną noc. W walce z wyjca-  
mi. W Orle Białym. Marzenie o śniegu. Wśród dzieci. Polska  
kolęda. Ranny w boju.

Po powrocie do Rio de Janeiro wyjeżdżam znowu na północ, do stanu Espirito Santo. Mam kontynuować pracę tu rozpoczętą, umocnić rzucone już podwaliny i zakładać nowe. A więc w drogę, po raz wtóry, do braci zapomnianej, z kapłańską posługą!

Jedziemy wspólnie z p. Michałem Pankiewiczem, świeżo mianowanym radcą emigracyjnym na Amerykę Południową.

Udaje się on obecnie do nowych kolonii warszawskiego Towarzystwa Kolonizacyjnego. Chce osobiście zlustrować życie i poczynania tych najmłodszych osiedli polskich w Brazylii.

Dobrze to z radcami podróżować, pomyślałem sobie, gdy „Gonçalves Alves“ zarzucał kotwicę w porcie wiktoryjskim.

Na okręcie od razu zjawia się adjutant osobisty prezydenta stanu. Prosi do łodzi motorowej i bez formalności przewozi nas na brzeg. Na brzegu jeszcze wykwinniejsza limuzyna zabiera nas do hotelu „Ma-



jestic“. Jedyne to na miejscu hotel, który posiada windę. Jak na stosunki tutejsze, rzecz niebywała.

Po południu audiencja u prezydenta. Potem dostajemy się w opiekuńcze ręce ministra rolnictwa p. Lindenerga. Przejazdka motorówką po zatoce, otoczonej fantastycznymi górami. Zwiedzenie rzeźni, baraków emigranckich i urzędzeń sanitarnych. W końcu samochodem wszerek i wzdłuż stolicy i znowu powrót do hotelu. Zdawało się nam, że to koniec, bo nazajutrz rychłym rankiem był naznaczony wyjazd koleją w głąb stanu.

Niemale więc było moje zdziwienie, gdy o godz. 4-tej rano, spiesząc do kościoła ze Mszą św., ujrzałem przed hotelem limuzynę z flagą rządową i zaspanego adiutanta, czatującego przy wejściu. Tak więc daleko posunięta była gościnność prezydenta.

Godzinę później chybotliwa kolejka uwozi nas ze stolicy. Mknie przez pola ryżowe, przecina zagaje bananowe i plantacje kawy.

Co chwilę z gardzieli parowozu wydiera się przeraźliwy gwizd, obwieszczający z tryumfem, że znowu zbliża się jakaś stacyjka. Z okazji tej skwapliwie korzystają pasażerowie, aby ugasić pragnienie choć łykiem czarnej kawy. I znowu dalej w stronę gór Minasu, tam, kędy Słodka Rzeka płynną taśmą toczy swe fale.

W Collatina wysiadamy. Nie tracąc czasu, przekształcamy się na samorodnych kawalerzystów i wyruszamy do Aldeamento dos Indios.

Poganiamy nasze muły, aby wieczorem jeszcze dotrzeć do J a s n e j g ó r y. W połowie drogi krótki odpoczynek w domku kabokla, który częstuje nas sokiem z trzciny cukrowej.

Słońce zaszło już dawno, a my wciąż jeszcze cwałujemy w gorącą noc. Księżyc bowiem wytoczył się na niebie i zalewa ścieżkę jasną smugą, jak gdyby migocącego srebra. Inaczej jechać nie można dalej, nie chcąc zbłądzić w tym ogromnym labiryncie dziewiczego lasu.

Krótko przed północą docieramy do celu. Jest cudowna noc tropikalna, więc trudno marzyć o śnie. Chodzimy dokoła zabudowań administracji. Oglądamy śliczną kapliczkę w stylu zakopiańskim, którą zbudował Bolesław Ruszczycki, trybun ludu, jego doradca i nauczyciel. Materiał zużyty do budowy, to najcenniejsze mahonie, które u nas idą na wagę złota.

Orzeźwiająca kąpiel w nurtach P a n k a s u, polecenie się opiece św. Panienki Jasnogórskiej — i zasypiamy snem sprawiedliwych.

Rychłym rankiem gromadzą się koloniści. Dowiadujemy się, że krótko przed naszym przyjazdem zmarł Wincenty Bałoban, pochodzący ze wsi Juńdziułowej, powiatu braclawskiego, ziemi nowogródzkiej.

Opowiadają o szczegółach tego tragicznego wypadku. Zmarły lubił namiętnie polowanie, jak zresztą wszyscy, jako, że to ich jedyna rozrywka na tym pustkowiu. Poszedł w las, nie przeczuwając nic złego. Szedł w poplątany zagaj. Fakonem rozcinał liany, a potem krzaki ipekakuany, magnolii i caramboli. I coraz

dalej wznosił się w dziewiczy las, co jakby cichością zamknął w modlitewnej ciszy. Jeno roje kolorowych motyli krążyły nad nim i nad kielichami dzikich orchidei.

Wtem na gałęzi grubej żikityby ujrzał brunatną małpę-wyjca. Jest to jeden z gatunków małpich, które najczęściej przypominają człowieka. Przeto na ogół na nie się nie poluje.

Bałoban przyłożył dubeltówkę. Małpa zaś nie ruszała się z miejsca. Przeczuwając jednak niebezpieczeństwo, złożyła ręce, jak gdyby prosząc o życie. Przy tym zaczęła skrzeczeć — jak opowiadał zmarły, — gestykulować rękami, jakby coś przekładała i tłumaczyła.

...Padł strzał. Wyjec zawisł na gałęzi, drżąc cały w śmiertelnej trwodze. Przy czym dwie wielkie łzy ukazały się w jego oczach i jęły spływać po włochatych policzkach. Bałoban struchlał. Nagle w gałęziach zjawiło się kilka małpich kamratów. Jeden z nich głośnym pomrukiem dawał sygnał do ataku. Rozpoczęło się bombardowanie gałęziami.

Widząc niebezpieczeństwo, Bałoban strzelał. Padły jeszcze trzy trupy małpie. Pozostałe nie dawały jednak za wygraną. Zsuwając się po gałęziach, coraz bardziej zbliżały się do niefortunnego myśliwego. Prerażony Bałoban zaczął krzyczeć o pomoc.

Na szczęście w pobliżu znajdowali się koloniści Samek i Duda, którzy za chwilę byli na miejscu. Strzelając na postrach, rozpoczęli odwrót i wynieśli na pół przytomnego towarzysza.

Niefortunny myśliwy zachorował jednak ciężko. Zaczął gorączkować i majaczyć. W malignie ciągle oganiał się przed atakującymi wyjcami. Widma zabitych małp stały przy jego łożu. Nie pomogły lekarstwa, zabiegi. Bałoban oddał duszę swą Bogu.

Po nabożeństwie święcę Bałobanową mogiłę. Pochowali go tuż przy kaplicy Jasnogórskiej Pani. W czasie tych obrzędów wdowa ze sierotkami zawodziła głośno, rzucając się na grób, umajony dzikimi storczykami.

— Śpij, Polaku, w obcym grobie, niech się Polska przyśni tobie! Niech ci się przyśnią wileńskie równiny, a poszumy borów rodzinnych niechaj cię do snu kołyszą. Marzyły ci się ogromne plantacje kawowe i bananowe gaje i ogrody — pomarańczy pełne i osobliwości. Dla nich to rzuciłeś ziemię ojczystą i przyjacioły i wygody. Inna jednak była święta Jezusowa wola...

W kilka godzin później wierzchowce nasze człapią się pod wysoką górę, na której zbudowano dom administracyjny kolonii Orła Białego.

W dni następne odwiedzamy rodaków, rozproszonych po koloniach. Na ogół są zadowoleni. Tylko tegoroczna susza zasmuciła ich bardzo. Ryż opiera się jeszcze osłepiającym promieniom podzwrotnikowego słońca, za to kukurydza ucierpiała niemało.

Ludziska tęsknią za mrozem i śniegami. Z lubością opowiadają sobie o tych zwałach śnieżnych, o za-

sypanych pociągach, o kozuchach i tych gawędach przy kominku w styczniową mroźną noc!

A w tej Brezylji śniżku ani na likarstwo. Wej, co tys to za kraj!

Po wyjeździe p. radcy porządek normalny. Rychłym rankiem nabożeństwo. Potem nauka w szkole. Dzieciaki pomęczone. W klasie 34 st. ciepła i to rankiem. Ale trudno, muszą korzystać z okazji. Przed 10-tą nauka się kończy. Później bowiem ścieżki tak są rozpalone, że boso stąpać trudno.

Uczymy się w baraku, bo osobnej szkoły jeszcze nie ma. Pierwsza lekcja to religia. Druga, język polski. Dzieci nauczyły się już ładnego wierszyka:

*Choć na cudzym my wyraju będące piskłeta,  
O ojczystym miłym kraju, każde z nas pamięta.  
Polska krew w nas płynie,  
Polskie serce bije.  
Polska mowa, nasza mowa,  
Choć w obcej krainie.*

Potem mamy rachunki, w końcu uczymy się języką portugalskiego. Niektóre już w krótkim czasie nauczyły się wierszyka brazylijskiego. Zaczyna on się od słów:

„Tu, cujo amor en canticos celebram“, co znaczy po polsku: Ty (Boże), którego miłość w pieśniach wyśławiają...

Wszystkie dzieci są pilne. Najpilniejsze są dziewczynki: Jadzia Kaniówna ze wsi Przechody, pow. szczu-

czyńskiego i Antosia Samselówna z Dużego Łęcka, pow. działdowskiego. Z chłopców uczą się najpilniej Maryś Kania, braciszek Jadzi i Józik Zabarewicz ze wsi Rusaki, pow. nowogrodzkiego.

Po lekcjach dzieci śpiewają różne pieśni. Potem przychodzą kolejno, a ja im święty krzyżyk kreślę na czole, żeby ich Pan Jezus miał w swej opiece i by ich nie spotkało żadne nieszczęście. I tak co dzień.

Zaczynają nas odwiedzać dzieci kabokli. Przychodzą nawet na lekcje i nadziwić się nie mogą, że w szkółce tak ładnie. Niektóre z nich nawet zaprzyjaźniły się z naszymi dziećmi.

Ot np. Maryś i Chico — to dwaj dobrzy przyjaciele. Znają się od niedawna, a już się polubili na dobre.

Kiedy się pierwszy raz zobaczyli, zaczął Maryś wypytywać chłopczyka leśnego o różne rzeczy. Ten jednak kiwał głową i wciąż powtarzał:

— „Nâo comprehendo nada“ — Nic nie rozumiem.

Więc porozumiewali się na migi. Jął go więc Maryś pytać, czymu on taki czarny i czy nigdy się nie myje.

Chłopczyk dał Marysiowi do zrozumienia, że owszem myje się często i kapie w rzece, ale to nic nie pomaga, bo takim go stworzył Pan Bóg.

Teraz już Chico zna kilkadziesiąt słówek polskich, a Maryś taką samą ilość portugalskich.

Razu pewnego siedzieli obaj w lesie dziewiczym i gwarzyli sobie.

— Marysz, pytał się Chico, Polonia daleko?

— Gdybyś ty wiedział, Chico, jak daleko jest Polska! Trzeba przejechać słone morze żelaznym okrętem, a potem iść miesiąc cały, to dopiero jest Polska.

— To morze jest słone? A kto soli do niego nasytał? — pytał zdziwiony Chico.

— Tak je Pan Bóg stworzył i takie już jest, tłumaczył Maryś.

— Okręt „do ferro“ (z żelaza) to musi topić, bo „ferro“ topi „em“ woda.

Więc znowu mu wyjaśniał Maryś.

A jest gwiazda, słońce na Polonia?

— Wszystko jest, bo i w Polsce stworzył Pan Bóg wszystko, jak tutaj — gwiazdy, słońce, księżyc, odpowiedział Maryś.

— Na Polonia „goruco“ jak Brasil?

— Tak, ale tylko latem. Teraz tam już zimno, może i mróz. Ludzie nie mogą chodzić boso i muszą się ubierać ciepło. Na rzekach i stawach jest lód i można biegać po wodzie. Tego już nie zrozumiał mały kabokło. Kiwał długo głową, a potem zaczął nucić znaną piosenkę:

*Minha terra tem palmeiras*

*W moim kraju rosną palmy...*

---

Żar się wdycha i wydycha. Pot się leje strumieniami przy najmniejszym wysiłku mięśni. W przyrodzeniu jest spokój jakiś dziwny. Ustał powiew wietrzyka. Lasy, pola stały nieruchome jakby w senności czy omdleniu.

Mimo tych upałów odprawiam kolędę. Ludziska się z tego cieszą, jako że im kraj się przypomina drogi i jego święte obyczaje.

Rozpaczynam kolędę od kolonii z nad Jasnej Rzeki. Tam bowiem pierwsze powstały poręby. Tam też osiedlili się co najprzedniejsi gospodarze.

Towarzyszy mi Stanisław Sokołowski z Myszyńca, powiatu ostrołęckiego, gospodarz zaradny, a i na świętych obrzędach się znający.

Jedziemy na mułach, bo mniej się człowiek zmęczy, a i pośpieszyć może do woli. W torbach, u siodła, są rzeczy najpotrzebniejsze: święconej wody butelka, kropidło, komża, stuła, no i tych obrazków i świętych medalików jakie dwie setki.

Wjeżdżamy w dziewiczy las. „Anioł pasterzom mówić“ intonuje Sokołowski. Śpiewamy mimo zmęczenia, bo pieśń ta nas elektryzuje i nowe budzi siły.

Jest tylko wąska ścieżyna, u góry zarośnięta trzciną takuara, która fantastyczne tworzy girlandy. Więc trzeba się nachylać, to znowu gałąź odrzucić lub odganiać natrętne komary.

Raz po raz wywrócony pień drzewa tamuje przejazd. Trzeba więc zejść i puścić uzdę. Muł się odsadzi i weźmie przeszkodę.

Leży sobie znowu taki pień. Po co schodzić — myślę. Wbijam długouchemu wierzchowcowi ostrogi w boki i hejże górą poprzez drzewny wał.

Niestety! Ktoś zawinił, czy jeździec, czy poczciwe mulisko! W każdym razie podczas skoku jeździec stra-



cił równowagę i na łeb i szyję wpadł między dziewicze krzaki!

Nieszczęścia nie było! Rozdarty płaszcz, kilka urwanych guzików, no, i takie sobie krwawe draśnięcia na nosie i czole, oto właściwie cała pamiątka nieszczęsnego skoku.

Skończył się las. Przed nami, jak okiem sięgnąć, leżą świeże poręby i pola pod same stoki górskie podchodzące. Jak okiem sięgnąć, wszędzie kukurydza. Tu i tam ciemnozielone pólka ryżowe. Zda się, że to pszeniczne polskie zagony, bo z daleka ryż i kolorem i bujnością do pszenicy podobny.

A przez te pola Jasna Rzeka toczy swe wody. Migoce się w skrętach jak srebrne przedziwo rozbłyśte w słońcu. Ucieka wyrwą wśród pagórków jakby wystraszona, że człowiek tu siadł nad brzegami jej dziewiczych wód.

Wreszcie i ścieżyna się kończy. Zostawiamy więc muły nad brzegiem dzikiego jaru. Skrabiąc się, to schylając, ruszamy dalej. Wreszcie docieramy do szałas Leopolda Batki spod Zborowa.

Zbliżając się do ludzkiej siedziby, śpiewamy „W żłobie leży“. Batko wychodzi nam na przeciw i wita uradowany. A potem kolęda jak w kraju. Jeno, że to wszystko rzewniej i tak inaczej.

Padają krople święconej wody na te świeże deski mahoniowe i na skrzynki pod ścianą, i na te świece jarzące, i na te kwiaty dzikich storczyków, i na ten obraz Matuchny Najświętszej zawieszony na ścianie. A Batko klęczał podczas tej świętej ceremonii z całą rodziną.

A słońca promienie gorące padały na ich twarze rozmodlone, całkiem jakby się w złocie kąpały lśniącym. A oni wciąż klęczeli wpatrzeni w czarniawą, słodką, matczyną twarz Częstochowskiej.

Potem słowa napomnienia i zachęty, i żeby trwali przy świętej Paniencie i przykazania chowali Jej Synaczka Bożego. Wówczas Ona pociechą im będzie i pomocą w doli tułaczey i opuszczeniu.

Potem egzamin dzieci z świętych prawd Bożych. Wreszcie obrazki i medaliki na pamiątkę tej pierwszej kołedy w dziewiczym borze, nad brzegami Jasnej Rzeki.

Krótką jeszcze pogawędka. Od trzech tygodni nie ma deszczu, więc obawa, bo ryż i kukurydza zasychają.

I potem dalej z kołędą od szałasów do szałasów, od domu do domu. Wpierw do Ptaków młodych — Jana i Pawła z parafii żałoskiej, a powiatu zborowskiego. Chłopaki to młode, kiej te sosny polskie śmigłe, w pasie cienkie, w barach rozrosłe. Z kolei do Ptaka starego i Łabarewicza, i Samsela i do Kani, Wróblewskiego i Szulca, co to puszcę kurpiowską zamienili na ten bór dziewiczy. I tak dalej po kolei z kołędą polską i słowem pocieszenia.

Po powrocie z kołedy zastaję w naszym domku mnóstwo kabokli. Przynieśli z sobą ciężko rannego towarzysza. A przyszli aż spod Villa Verde — 45 km leśną ścieżyną. Jest ich aż 18. Po drodze zmieniali się, dźwigając nosze, splecione z bambusów, a na nich chorego.

Biedny kabokło! Ma nogę przestrzeloną i złamaną kość; przy tym gorączkuje. Koledzy jego opowiadają

o zajściu. Ranny poróżnił się ze swym przyjacielem. I jak to tutaj bywa — od razu pistolet zza pasa i za-targ zlikwidowany! Na placu boju pozostał przyjaciel z przestrzelonym sercem. Ale i ten ledwie zipie.

Towarzysze proszą o dokonanie operacji. Cóż, kiedy lekarz wyjechał. Skończyło się więc na oczyszczeniu rany, założeniu deszczułek i bandażach. Św. Sakrament, pociecha religijna — i dalej w drogę, do szpitala!

Poszli. Mają jeszcze 110 km drogi do kolei. Potem na pociąg i do stolicy. Ale kto wie, czy doniosą go żywego! Wątpię jednak, aby to było nauczka dla nich. Kabokło za każdą obrazę płaci kulą. A że te obrazy dość często się zdarzają, to dowodem czterech nieboszczyków w ostatnich dwóch tygodniach.

Potem znowu na koń. Pojadę 200 km na zachód — do kolonii *Patrimonio dos Polaccos* i *Corrego d'Anta*.

Oby tylko ten upał się skończył! Bo ciężka to, kawaleryjska służba — kiedy słońce praży niemiłosier- nie! Lecz i w czasie upalenia słodko służyć Bogu i Pol- sce!

## *W cieniu tropikalnych ogrodów*

Żar się wdycha. Kwiaty tropikalne. Drzewa. Palmy. Mang Pitangi. Pomarańcze. Banany. Mamony.

Termotr wskazuje 38 stopni w cieniu. W słońcu 67 stopni! Niebo żar i płomień śle. Nad zieloną kopułą dziewiczych lasów rozciąga się błękitna kopuła nieba. Taka ogromna i bezbrzeżna, a taka jasna, prawie siwa-wa od gorącości. A na niej słońce zawieszona, wielkie, oślepiające.

Liście zawieszają się na drzewach niby do snu ukolysane. Zamilkły ptaki, tylko hałaśliwie papugi raj-cują w konarach drzew. Całą krainę ogarnia jakaś senność i omdlenie.

Dobrze wówczas uciec przed słońcem. Dobrze odechnąć w cieniu tropikalnego ogrodu.

W ogrodzie takim rosną kwiaty o fantastycznych liściach i kielichach. Idzie z nich zapach odurzający, co niby dymy kadzidlane płynie pod korony palm.

Kwiaty, liście błyszczą, jak gdyby je ktoś polakierował. Wśród kolorów przeważają jaskrawoczerwony i żółtożłoty.

Kwitną nie tylko kwiaty. Kwitną drzewa, zamieniają się w gigantyczne bukiety.

Niestety, nie znam się na botanice roślin podzwrotnikowych. To też nie umiem wytłumaczyć, czemu w tych ogrodach zawsze jakieś drzewo rozkwita. Już od sierpnia obserwuję ten fenomen. Owe kwietne wystroje nie znikają nigdy. Jaśniejają i błyszczą, a otacza je jak gdyby jakaś aureola, tak że od tych dziwów Bożych nie można się oderwać.

Z drzew spuszcza się płatańce-liany. I one kwitną. Nawet w rozwidleniach drzew — tam, kędy gromadzi się choć odrobina wilgoci, kwitną orchideje i storczyki.

Trawa nasza oczywiście się nie udaje. Przeto zamiast trawy sadzą tu rodzaj konwalii — „gramna convallaria“. Listki tej roślinki szczerlnie pokrywają ziemię, a wśród nich kształtne wykwitają dzwoneczki.

A jednak największy czar mają palmy. Palmy najrozmaitszych odcieni, w kilkuset gatunkach.

Aleje palmowe! Zdaje się, że to jakieś prastare goetyckie świątynie. Z tych prostych, wysmukłych linii, zakończonych zielonym baldachimem, bije majestat i wykwiint.

Nie tylko majestat! Są palmy niskopienne, co liście swe na kształt wodotrysków rozchylają w przestworza i lekkim wietrzykiem poruszane, kołyszą się z gracją.

Owe palmy bambusowe wyrastają w ogrodzie zazwyczaj przy głównym wejściu i towarzyszą wchodzącemu aż do cienistej werandy. Jasna zieleń ich liści harmonizuje z czerwienią żwiru, którym wysypana jest dróżka.

Na białej balustradzie werandy ustawione są doniczki z kwiatami, co się mienia wszystkimi kolorami tęczy.

Ponad tym wszystkim latają motyle, czasami ogromne, co skrzydła mają jak gdyby haftowane. Z furtotem skrzydeł od kwiatka do kwiatka przelatują kolibry — jak je tu nazywają — „bejaflor“ — co znaczy kwiatki całujące.

Wielkie żuki przesywają powietrze. Cieszą się w nią i światłem.

Wśród zieleni drzew melodyjnie śpiewają tangary i podsrokozse.

Tak to w cieniu tropikalnych ogrodów przyroda nuci cichą, Bożą symfonię. A nad nią wielka kopuła niebieska zdaje się uśmiechać. A nad tą kopułą Bóg Dobrotliwy raduje się radością swego stworzenia.

W tropikalnych ogrodach dojrzewają owoce. Ładne są drzewa mangowe. Z potężnego pnia wyrastają długie gałęzie, a na nich, niby gwiazdki, sadowią się listki. Z gałęzi na długich sznurach zwieszają się różowiotkie owoce. Mimowoli przypomina się nasza choinka, obwieszona kulkami czy cukrami w grudniową, jasną noc!

Owoce „manga“ są bardzo smaczne. W smaku przypominają brzoskwinie z ogórkiem, jajkiem i domieszką kropelki koniaku.

Nieco mniejsze od mang są owoce „caju“, wielkości naszych jabłek i mają smak kwaskowy.

„Ameixas“ mają znów smak słodkawy i są podobne do naszych mirabelek. Jest to znakomite lekarstwo na rozmaite dolegliwości żołądkowe.

Wielkie drzewa mirtowe „jaboticaba“ rodzą owoce podobne do wielkich czarnych pereł. Miąższ tych pereł jest bardzo soczysty, a w smaku podobny do słodkich świętojanek.

„Pitanga“, to owoc czerwony, jaśniejący jak rubin. Wygląda on kokieteryjnie z gąszczu krzewów, którymi obsadza się tropikalne ogrody.

Oryginalny wygląd mają drzewa „jaca“. Liście wielkie świecące, jak gdyby lakierowane. Gałęzie potężne, powykręcane. Zielonkawe owoce, wielkości naszej dyni, wyrastają z pnia.

Przekroiwszy olbrzymi ten owoc, znajdujemy w nim wielkie ziarna otoczone słodką masą, jak gdyby perfumowanym, zgęszczonym kremem.

Zapoznając się bliżej z owocami tropikalnymi, wydaje się, że są to jak gdyby arcydzieła jakiegoś genialnego cukiernika. Tyle w nich kunsztu, smaku i wykwintu!

„Abacate“ ma wygląd gruszki. Dlatego też nazywa się ją „gruszką adwokacką“. Brazylianie zjadają ją w ten sposób, że wydobywszy wielkie ziarno, nalewają do niej czerwonego wina. Potem łyżeczką wybierają aromatyczną, kremową zawartość.

„Anona“ tak samo ma miąższ kremowaty. Smaczne są też „pincos“, „sapoty“, „genipapy“ i całe to mnóstwo owoców brazylijskich, których samo wyliczenie wymagało by osobnej książki.

Nie mówię już o pomarańczach, których tu zatrzęsienie. W interiorze na pomarańcze nie ma nawet ceny.

Pewnego razu spotkałem kolonistę, co wioził do miasta dwa wozy, naładowane pomarańczami. A było to 80 km drogi. Cały ten ładunek zamierzał sprzedać za 30 milrejsów!

Pomarańcze jada się tu w ten sposób, że ostrym nożem ścina się skórkę, tak, iż zostaje tylko połowa owocu. Często też wysysa się jedynie sok, a resztę się wyrzuca.

Pomarańcze brazylijskie są o wiele większe od europejskich i bardzo słodkie. Najlepszy gatunek to bahijskie, słodkie, aromatyczne i bez pestek.

Bananów również się nie liczy, gdyż hoduje je nawet najbardziej zacofany człowiek leśny. Na niektórych koloniach daje się banany krowom zamiast paszy. Bananowe mleko jest zdrowe i smaczne.

Ananasy rosną tu w obfitości. Wielkie, soczyste o zapachu nęcącym. Spotyka się nieraz całe plantacje. Rosną wszędzie — na skałach, zrębach, w cieniu i słońcu. To też nawet w stolicy wielki, jak łeb koński, ananas kosztuje zaledwie 300 rejsów.

W końcu nie należy zapomnieć o „mamonach“. Owoce ich, podobne do melonów, wyrastają wprost z łodygi. Mamony zawierają dużo pepsyny. Przeto należą do najzdrowszych owoców brazylijskich. Jada się je zwykle na śniadanie. Sezonu dla nich nie ma. Rosną i dojrzewają we wszystkich miesiącach roku.

Dobrze jest spocząć w cieniu ogrodów tropikalnych po męczącej pracy, uciekając przed żarem słońca stycz-



niowego. Z ogrodów tych wraca się wypoczętym do wzniosłego obowiązku, a w duszy z nową wdzięcznością dla Boga i Stwórcy, że pozwala się poświęcać dla wielkiej sprawy, a zarazem czytać księgę, pisaną Jego świętą Dłonią.

## *Południowym szlakiem*

Miesiąc na koniu. U Bożych ołtarzy. Malaria. Małpuś. Filizanka kawy za 7 gr. W stronę Argentyny. Pobożne towarzystwo. Santos. Montevideo.

Ponowny objazd starych kolonii polskich w Espirito Santo zajął mi cały miesiąc czasu. Cały miesiąc codziennie na koniu czy mule, od domu do domu od kolonii do kolonii.

Tym razem zabrałem ze sobą siedmiu towarzyszy z nowych kolonii — z Jasnej Góry i Orła Białego. Mieli się oni zapoznać ze starymi swymi rodakami. Odwiedziny te miały właśnie stworzyć ów pomost pomiędzy starym i najmłodszym wychodźstwem. Miały one również podnieść na duchu tych, którzy w ciężkich warunkach na ziemi brazylijskiej pierwsze stawiają kroki.

Wszędzie przyjmują nas serdecznie, a nawet owacyjnie. Rozpoczyna się walka o gości. Każdy chce ich mieć przy sobie. Każdy pragnie się nagwarzyć i dowiedzieć wszystkich nowości z porzuconej dawno ojczyzny.

Starzy słuchają z rozwartymi ustami, z całym zaciekawieniem poczciwego serca. Zwłaszcza opowiadania z wojny światowej budzą podziw i grozę.

A potem te piosenki, śpiewane z tupetem i zapalem, przyprowadzają ich o dziwne rozrzewnienie.

W Patrimonio dos Polaccos, w Corrego d'Anta i Alto Baunilha odprawiamy czterodniową misję świętą. Nabożeństwa, nauki rano i wieczorem.

W kościele pełno ludu polskiego, co z wiarą serdeczną korzy się u stóp ołtarzy Bożych. Jakby z jednej, niepojętej jakiejś gardzieli wyrywa się krzyk modlitewny i takim bucha jękiem, taką żałosliwą mocą, że aż mury kościelne się trzęsą. A lud polski śpiewa wszystką duszą i wszystkim płaczem pokutnym. I potem długo jeszcze tłuką się jęklive echa, szmer westchnień i modłów gorących.

I tak przez miesiąc cały głosimy chwałę Boga i ukochanej Ojczyzny.

Pod koniec „złapałem“ trochę malarii. Siedzę sobie raz na koniu w drodze do Patrimonio do S. Antonio. Upał dochodzący 38 stop. Cels. w cieniu. Słońce szalejące, niebo prawie siwawe od wielkiej gorącości. A mnie się robi zimno! Jakaś niewidzialna moc mnie tak trzęsie, że aż raz po raz szczękam zębami.

Ale podróży nie można przerywać, boć nabożeństwo zapowiedziane i ludziska go wyczekują spragnieni. Na szczęście w torbie zawsze trochę chininy. Łyżkam więc, co się zmieści. A potem w uszach mi dudni i dzwoni. Niby te wszystkie ukochane dzwony poznańskie się rozdzwoniły. Biją, jakby na trwogę, czy radosne zmartwychwstanie.

Zdrzemnąłem się trochę, a potem już było lepiej, lecz choroba ustąpiła dopiero po kilku dniach.

Minęły w końcu moje odwiedziny duszpasterskie w stanie Espirito Santo. Opuszczałem rodaków z żalem i lękiem. Wiedziałem bowiem, że nikt ich nie wspomoże w okrutnej niedoli.

Na pożegnanie dali mi kilka papug pstropiórych i srodze gadatliwych. Nie zapomnieli nawet o małpie. Małpka oswojona, dowcipna i pocieszna! Nazwałem ją „Małpusiem“. Gdy będę wracał, zabiorę ją ze sobą do Poznania. Na razie Małpuś ma korzystać z gościny w ogrodzie poselskim w stolicy. Bawić się będzie z „Wojtusiem“, nieco większym od siebie plemieńcem.

Gorzej z papugami. Surowe zakazy nie pozwalają na ich wywiezienie do Europy. Więc rozdawałem je w Rio de Janeiro na lewo i prawo, jako prezenty dla znajomych.

W stolicy Brazylii niewiele zmieniło się od ostatniego mego wyjazdu. Jeno kryzys ekonomiczny coraz więcej daje się we znaki.

Milrejs spada i spada. Widoków na poprawę nie ma. Dziwna rzecz, że spadają też ceny na niektóre artykuły. Tak w Brazylii żyje się coraz taniej!

Ot, filiżanka kawy w najlepszej kawiarni kosztowała przedtem 200 rejsów. Dziś pijają ludzie aromatyczną kawę w luksusowej kawiarni, płacąc 100 rejsów za filiżankę. I słuchają przy tym doborowego koncertu. Zniżki te spowodował rząd porewolucyjny. Inna rzecz, że właściciele kawiarni gorąco protestują. I zdaje się całkiem słusznie.

W Rio bawię zaledwie parę dni. Obowiązki wołają mnie tym razem daleko na południe.

W dniu 17 marca wsiadam na okręt „Lutetia“. Wielki transatlantyk francuski, który właśnie zawinął do portu, ma mnie zawieść do dalekiej Argentyny.

Opuszczamy port i zatokę Guanabareę. Słońce rzuca na ziemię i morze powódź światła i ciepła. Rozgrzane powietrze drga przezroczystą błoną. Nieskończone horyzonty fantastycznych „Gór Organowych“ giną we mgle pełnej fioletów.

Na statku pustki. W klasie pierwszej 35 pasażerów, w drugiej 30, a w trzeciej 69. A przecież „Lutetia“ ma 200 kabin w pierwszej klasie i tyleż prawie w drugiej. Trzecia zaś pomieścić może 600 osób.

Jak na dzisiejsze jednak czasy, przejazdy statkiem nie są tak bardzo tanie. Z Rio de Janeiro do Buenos Aires bilet I kl. kosztuje 1700 fr., a II kl. 1300 fr. Kto zaś lubi komfort, płaci za kabinę z Bordeaux do Buenos Aires 32 tys. franków, nie licząc sutyh napawków.

Towarzysze podróży, to głównie bogaci przemysłowcy francuscy, kupcy i — księża.

Jedzie 14 księży francuskich ze Zgromadzenia Najśw. Serca Jezusowego. Wracają z wielkich wakacyj, które spędzili we Francji na łonie rodziny lub w domu macierzystym w Betharam, w pobliżu Lourdes. Według reguły Zgromadzenia, każdy kapłan ma prawo co siedem lat odwiedzić ojczyste strony. Ponieważ księża ci pracują jako profesorowie we własnych gimnazjach prywatnych, przeto wybierają jako czas owego „lotu na wyraj“ wielkie wakacje argentyńskie, które przypadają na grudzień, styczeń i luty.

Takiego pobożnego towarzystwa „Lutetia“ zdaje się jeszcze nie oglądała. Przy trzech ołtarzykach połowych odprawiają się Msze św. na zmianę od 5-tej do 8-mej rano.

Ocean huczy, szaleje. Białe bryzgi miota o ściany i okna. A przy ołtarzykach Pańskich cichość panuje, cichość rozmodlenia i serdecznej rozmowy z Panem. Dusze zamierają z lubości i szczęścia niewypowiedzianego...

Stajemy w największym porcie kawowym świata. „Santos się zwało miasto, które stało przed nami daleki het kawał“ — jak opowiada pan Balcer.

*Tylko nas w oczy z tych blasków ubodły  
Wieże iglaste i śmigłe jak jodły  
Miasto się zdało na mile obwodu,  
Albo i więcej, bo słońce ślepiło  
Odbite w morzu, co szybko się lodu  
Zaiskrzonego dla oka czyniło,  
Z pagórków miasto zbiegało do spodu  
Mury i domy ściągając pochyło.*

„Lutetia“ wypłuka na ląd kilku pasażerów i dalej w drogę!

Pędzimy z szybkością 22 mil na godzinę. Stuk maszyny zagłusza koncert orkiestry.

Ludzie się nudzą lub czytają książki. Wieczorem zabawia ich teatr marjonetek lub kinematograf okrętowy.

Opowiada mi kapitan, że wśród pasażerów znajduje się jeden Polak. Zapoznają się też zaraz ze swym

ziomkiem. Okazuje się, że tym Polakiem jest Żyd polski Abraham Braun z M o n t e v i d e o.

Braun nieźle mówi po polsku, choć przed 30 laty wyjechał z Warszawy. Na brylantach dorobił się ogromnego majątku. Brylanty też mienią się mu na zegarku platynowym i na platynowych pierścieniach.

Bawił trzy miesiące w Paryżu. Wiadomość o nagłej śmierci żony przerwała dalszą podróż do stolic europejskich.

Uczymy się na gwałt po hiszpańsku. Nie sprawia to dużo trudności, skoro się zna język portugalski. Oba języki jeszcze bardziej zbliżone do siebie, aniżeli polski do czeskiego.

Montevideo, stolica lilipuciej republiki urugwajskiej. Wszędzie widać dobrobyt i zamożność. Po ulicach suną korowody najwspanialszych limuzyn.

Wjeżdżamy teraz do rzeki-olbrzymia — La Plata. Rzeka ma przy ujściu 50 km szerokości tak, iż brzegów nie widać.

Późnym wieczorem 20 marca na horyzoncie ukazują się miliony świateł i światełek. Jak gdyby na nasze powitanie! Orgią świateł, niby rozelśnioną dłonią wita nas dwumilionowe Buenos Aires, chluba i duma bogatej Argentyny.

## Miasto nad Srebrną Rzeką

Metryka narodzin. Miasto bogaczy. Kupiec X. Prasa. Wystawa angielska. Minister R. P. Polskie towarzystwa. Życie polskie. Rządy polskich dusz.

Stolica Argentyny położona jest nad Srebrną Rzeką — Rio de La Plata. Jeno, że ta Srebrna Rzeką mało ma podobieństwa do srebra. Woda w niej jest dość brudna i żółtawa.

Przeszło dwa miliony mieszkańców dzisiaj! A czterysta lat temu nie było tu ani jednej chatki! Tak, rozmach prawdziwie amerykański.

Rzadko które miasto na świecie może się poszczycić prawdziwą metryką swego urodzenia — spisana według najskromniejszych wymogów biurokratycznych.

Ale oto w muzeum miejskim czytam za szkłem następujący pozółkły dokument:

*Anno 1580, 11 de Junio, Dia Sabado — San Barnaba.*

*En nombre de la Santisima Trinidad, Padre, Hijo y Espiritu Santo y de la gloriosissima Virgen Santa Maria, yo Juan de Garay, teniente gobernador y capitan general etc. hago y fundo el pueblo Buenos Aires.*

Tak to Juan de Garay dostojny urzędnik Jego Królewskiej Mości Filipa II fundował sławną stolicę dzisiejszej Argentyny.



Buenos Aires, to miasto zbudowane planowo. Składa się ono z niezliczonych kwadratów. Gdy się na nie patrzy z wysokiej wieży, robi wrażenie jakiejś niesamowitej szachownicy.

Ulice szerokie i bardzo długie. — Liczby domów 12.345, 12.346 nie należą do rzadkości. Uliczki, zaułki nie są tu znane.

A cóż dopiero te wspaniałe awenidy. Niektóre szerokości 40 m. Ruch oszałamiający. Dziesiątki tysięcy samochodów pędzi tu przez całą noc i dzień.

Tu skupia się całe życie Argentyny. Tędy prowadzi droga do Chile, Paragwaju i Boliwii.

Wielkie drapacze chmur wyrastają jak gdyby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. To też place budowlane mają tu taką wartość, jak może nigdzie na świecie. Tysiąc pezów<sup>1)</sup> za metr kwadratowy, to cena wcale niewygórowana.

Ale też pieniądz płynie tu szerokim korytem. Ostatnie dziesiątki lat, a zwłaszcza ostatnia wojna światowa nagromadziły fantastyczne fortuny.

Armie państw sprzymierzonych zaopatrywały się tu w mięso i inne środki spożywcze. A ponieważ za wszystko dobrze płaciły, pieniędzy było aż za dużo!

W tym to czasie powstały owe bajkowe pałace na Palermo i w innych częściach miasta, gdzie mieszkają wielmoże i wielcy tego świata. Góry kararyjskiego marmuru, bronzu i cennych kamieni. Sztuczne stawy,

---

<sup>1)</sup> Jeden pez argentyński dzieli się na 100 centów, a równa się obecnie po dewaluacji 1,50 zł.

na których senne kołyszą się gondole, wysadzone złotem i kością słoniową.

A jeśli wielu umierają, to i pogrzeb mają po temu. Widziałem na własne oczy pogrzeb „pierwszej klasy“. Przedsiębiorstwu pogrzebowemu zapłacono 12 tysięcy pezów.

Karawan, jak gdyby jakiś powóz królewski, cały rzeźbiony ręką mistrza. Rzeźbione anioły Pańskie na czterech rogach. W koło ciężkie zasłony jedwabne. Sześć czarnych koni na przedzie i sześciu heroldów w ciężkiej żałobie.

Trumna cała cedrowa, a antaby połączane. W trumnie bogaty kupiec X., który w przeddzień śmierci zażądał tego splendoru, przepychu.

Biedny kupiec X.

Księżda nie było. Bo nie ma zwyczaju. Za to na drugi dzień nabożeństwo żałobne w kościele Guadalupe.

Katafalk zawalony kwiatami pod sam sześciometrowy szczyt. Dokoła ogromne czarne transparenty. Na wszystkich filarach czarne zasłony. Z chóru, z kilkadziesiątu męskich piersi popłynęło ponure „Dies irae“.

I tegoż dnia jeszcze rozpoczęto na cmentarzu budowę panteonu, który miał być cały z marmuru, jak kupcowi X. przystało...

Ciągle tu jeszcze gorąco. Myślałem, że gdy umknę z Brazylii, to tu znajdę choć trochę ochłody. Ale cóż? Termometr ciągle wskazuje 36° w cieniu, choć lato już minęło.

Gorąco i w nocy. Zwłaszcza pod moskiterą nieby-  
lejąka tam kąpiel parowa. A trzeba się chronić, bo  
moskity tutejsze jakby się uwzięły na sarmacką krew!

Ceny z wyjątkiem biletów tramwajowych dwu-  
krotnie wyższe niż w Brazylii. (Za 10 centów można  
przejechać całą stolicę argentyńską).

Sprzedaje się tu niezliczoną ilość gazet. Bo każdy  
czyta chciwie. Największy dziennik to „Prensa“ —  
zdaje się, w rękach żydowskich. Ma 300 tys. nakładu  
i wspinały pałac, własną elektryczność, własny szpi-  
tal dla chorych abonentów!

Z tygodników ilustrowanych największy „Caras  
y Caretas“ (Twarze i maski) z 400 tys. nakładu.

W Buenos Aires odbywa się wystawa angielska.  
Jest dobrze zorganizowana. Ekspонатów dużo. Nie  
dorówna jednak pod żadnym względem naszej Po-  
wszechnej Wystawie Krajowej.

W związku z wystawą bawi tu książę Walii. Hono-  
rują go, obwożą, pokazują.

Odbywają się bankiety, muzyczka gra i obficie pły-  
nie szampan na pomyślność argentyńsko - angielskiej  
przyjaźni.

W porcie zarzucają kotwice najnowsze statki wo-  
jenne Anglii. Jeden z nich wygląda bardzo dziwnie.  
Jest to krążownik z prawdziwym lotniskiem na pokła-  
dzie.

. . . . .

A życie polskie w tym mieście nad Srebrną Rzeką?  
Jest, a nawet tętno jego można wyczuć od razu.

Protektorem Polonii tutejszej jest z urzędu minister pełnomocny R. P. p. poseł dr Mazurkiewicz. Ruchliwy i sprężysty, służy radą, a często i zapomogą. Wszędzie go widać i wszędzie jest mile widziany.

Apartamenty poselskie przy ulicy Juncal należą do najwykwintniejszych siedzib tutejszego korpusu dyplomatycznego. Stare rzeźby, ciężkie kotary, dwóch wygalowanych służących u mahoniowych drzwi, to robi wrażenie!

Pan minister ożeniony jest z córką ministra urugwajskiego w Rio de Janeiro. Pani ministrowa była już dwa razy w Polsce. Z zachwytem opowiada o Częstochowie, Warszawie, Krakowie i Poznaniu.

Ożywioną działalność wykazuje „Związek Towarzystw i Organizacyj Polskich w Argentynie“. Główny cel jego, to obrona interesów narodowych i materialnych Polaków, zamieszkałych na terenie Argentyny. Ma on stanowić centralę, z której do wszystkich Towarzystw będą wychodziły plany jednolitej akcji.

Towarzystwo „Dom Polski“ ma na celu rozbudzenie elementu polskiego rozsianego po całej Argentynie do zgodnej i intensywnej pracy. Ono też największą roztacza opiekę nad emigrantem polskim. We własnym schronisku przy ul. Quirno 128 udziela bezpłatnego noclegu uboższym Polakom.

„Wolna Polska“ powstała z trzech towarzystw polskich, skupia w sobie jednostki postępowe oraz spore Pepesowców.

Nie należy też zapomnieć o polskiej prasie w Buenos Aires. Wychodzą tu cztery gazety: „Przyjaciel Ludu“, „Goniec Polski“, „Głos Polski“ i „Niezależny Kurier“. Jak na 4 tys. Polaków w stolicy i przeszło 100 tys. na prowincji, to sporo. Prasa spełnia tu bezwątpienia rzetelną robotę narodową. Inna rzecz że na łamach tej samej prasy pierze się nieraz publiczne brudy lub załatwia się porachunki osobiste.

Duszpasterstwo sprawuje tu gorliwy X. Władysław Zakrzewski\*), pochodzący z Poznańskiego. Szanują go wszyscy jako zacnego kapłana i krzewiciela kultury polskiej. W uznaniu wielkich jego zasług rząd polski odznaczył go krzyżem oficerskim „Polonia Restituta“.

W kościółku polskim pod wezwaniem M. B. z Guadalupe przy Calle Mansilla płynie myśl Boża i polska od serca do serca. Tam też najwięcej czułem się jak w Polsce, gdym w niedzielę pasyjną uroczyste odprawił nabożeństwo. Polski robotnik i inteligent wspólnie korzyli się przed Bogiem. To się kajali, to w modlitewnej trwali ekstazie.

W końcu pochwycili i rzucili pod niebiosa polską pieśń „Wisi na krzyżu“. A melodia taka swojska, taka cudowna, wirowała najpierw, jak gdyby skrzydła szykowała do lotu. Po czym huknęła przez otwarte drzwi i okna i leciała wysoko, coraz wyżej, wyżej, ponad miastem i Srebrną Rzeką.

---

\*) Umarł w r. 1936.

## *Pod modrym niebem Argentyny*

Argentyna. Koleje tutejsze. Matka argentyńskich wód. Mój towarzysz. Nieskończone równiny. Śpichlerz świata. Misjones. Pioniery polskie.

Z Buenos Aires dalej w drogę do polskich kolonii w Misjones.

Dnia 24 marca opuszczałem stolicę nad Srebrną Rzeką. Mimo jesieni dzień był parny i duszny. Miedziana i fioletowa jasność rozlewa się po widnokręgu. Spadała na lasy, rzeki i pola i świat zamieniała w śliczności pełną bajkę.

Wspomniałem już, że w Argentynie wszystko jest droższe niż w Brazylii. Nie dziw przeto, że i koleje nie pozostają w tyle. I tak za bilet ze stolicy do Apostoles trzeba zapłacić 80 pezów. Choć przyznać należy, że to przestrzeń 1100 km. W każdym razie wzdrygnąłem się trochę, gdy podtatusiały kasjer zażądał kwoty, jak na urzędniczą kieszeń trochę wygórowanej.

Koleje tutejsze o 38 tys. km linii żelaznej, znajdują się prawie wyłącznie w eksploatacji potężnych kapitałów angielskich i francuskich. Kolej zaś państwowa — Ferrocarril del Estado — posiada zaledwie kilka tysięcy km.

Po Brazylii drugi największy kraj Ameryki Południowej to Argentyna. Kraj ten graniczy na północy z Paragwajem i Boliwią. Na wschodzie z Brazylią, Urugwajem i Oceanem Atlantyckim. Na południe z Oceanem Lodowatym i Chile. Na zachodzie zaś tylko z Chile.

Zajmuje on przestrzeń 2.986.000 kilometrów kwadratowych. Jest więc przeszło 7 razy większy od Polski. Są to przy tym w pewnej części emigranci, którzy za szczęściem i chlebem z dalekich przybywali krajów. A dużo było tych odważnych! Toć w ciągu ostatnich 70 lat przybyło ich z górą 5 milionów.

Przybyli i nasi. W Misjones, na ziemi dawnych misyj jezuickich, osiadły polskie rodziny. W ślad za nimi przybyły inne. I dziś liczy się już na 50 tysięcy Polaków rdzennych, nie włączając do tej liczby stu tysięcy innych obywateli polskich.

W Zarate wprowadzają nasz pociąg na wielki prom — „ferryboat“. W ten sposób mamy przedostać się na drugi brzeg rzeki Parany. Parana, owa „matka argentyńskich wód“, dosięga bowiem w tym miejscu fantastycznej wprost szerokości i rozgałęzia się na szereg ramion ze zbiorowiskiem wysp i wysepek.

Przez 5 godzin zażywamy miłej przejażdżki statkiem, siedząc przy tym w wagonie kolejowym. Aby przedostać się na drugi brzeg, przebywamy w tym czasie 90 km. Przejazd odbywa się wprawdzie w kierunku ukośnym, ale daje jednak wyobrażenie o tych ogromnych rozlewiskach argentyńskiej Parany.

Słońce już zachodziło. Na widnokręgu ukazały się krwawe smugi. Z kampów i jarów wypełzał szaro-

czarniawy zmierzch i tulił się do nasypu i lśniących szyn kolejowych. I wkrótce zapanował mrok. W wagonach rozbłysły światła, a kurier pędził coraz dalej, w ciemną noc!

W wagonach pustki. Nie wiem, czy kryzys tego powodem, czy też zbieg okoliczności. W naszym przedziale mam za towarzysza p. Armando Torreta, „stancjera“, — ziemianina spod Concordia. Opowiada mi dużo o stosunkach tutejszych. Narzeka na spadek cen za bydło i pszenicę. Dowiaduję się, że p. Armando posiada kilka tysięcy hektarów ziemi 10 tysięcy sztuk bydła.

W końcu senność nas ogarnia przemożna. Odmawiamy pacierze wieczorne. Po czym, polecivszy się się opiece Najświętszej Pani, wyciągamy się na skórzanych kanapach i zasypiamy snem sprawiedliwych.

Na drugi dzień krajobraz zawsze ten sam. Jak tylko okiem sięgnąć, dokoła ogromne niziny. Ziemia czarna i urodzajna. Przeważnie jednak leży odłogiem. Raz po raz przerywamy w nieskończoność ciągnące się ścierniska. Wszak tu dawno już po żniwach. Tu i tam pługi motorowe przeorują ziemię pod nowe zasiewy.

Prawie zupełnie brak drzew. Kilka ich zaledwie na przydrożu i kilka palm wysmakłych rozrzuconych po pastwisku, i oto wszystko.

Domki przeważnie maleńkie, z darni, surówki lub blachy. Wrażenie niebardzo sympatyczne. Czasem jedziemy godzinę i więcej, a domku żadnego nie widać, — jeno pasące się na pastwiskach stada bydła, i dzikie tabuny koni. Pastuchy, uganiają się na pół



dzikich wierzchowcach. W oddali jednak wiatraki studzienne wskazują, że okolica jest zaludniona.

Pan Armando opowiada, że na tych pastwiskach zaszumią niedługo łąny pszeniczne i, że wówczas Argentyna zarzuci pszenicą cały świat. Będzie to pierwszy śpichlerz świata, a Kanada zejdzie na drugi plan. Bo klimat i żyźniejsza gleba dają pierwszeństwo Argentynie.

Dojeżdżamy do wielkiej rzeki Urugwaju. W języku Indian Guarani „urugua“ to słowo oznaczające wielkiego ślimaka, a „y“ wodę.

Stajemy w C o n c o r d i a. Jest to jedno z najważniejszych miast w prowincji E n t r e - R i o s. Pełno tu młynów i fabryk. Ruch ożywiony, bo to centrum dla handlu z Brazylią, Urugwajem i Paragwajem.

Pan Armando wysiada. Zostaję sam. Odtąd towarzyszy mi gadatliwy konduktor. Chętnie z tego korzystam, aby się poduczyć języka hiszpańskiego. Opowiada aż do znużenia. Nawet na stacjach nie wysiada. Mówi, że się obejdą bez niego.

I znowu zapada noc. Zmożony snem, mocno zasypiam na skórzanej kanapce. Nad ranem budzi mnie konduktor. Dojeżdżamy do A p o s t o l e s.

Na dworcu spotykam się z Polakami. Jedziemy wspólnie do pobliskiego miasteczka. Oto ceł mej podróży. Zostanę tu całe cztery tygodnie, docierając stąd do wszystkich zakątków Misjones, wszędzie, kędy polskie biją serca.

Misjones! Nazwa ta pochodzi od misyj jezuickich z XVII i XVIII wieku. Dzielni synowie św. Ignacego

stworzyli na tych obszarach wspaniałe państwo teokratyczne. Doprowadzili kraj do rozkwitu, budując mosty, drogi, kanały, zakładając liczne plantacje pomarańczowe. Ucywilizowali plemię Indian Guarani, dali chleb setkom tysięcy ludzi.

Zazdrosnym okiem spoglądali na ten dobrobyt wielkorządcy hiszpańscy z Buenos Aires i ich sąsiedzi portugalscy z Brazylii. W połowie XVII w. rozpoczęła się mordercza walka. Kolonie jezuickie zaczęły coraz więcej upadać. Wreszcie kasata zakonu w r. 1767 przypiecztowała ich zagładę. Wspaniałe redukcje legły w gruzach. Dziś tylko zarosłe ruiny świadczą o minionej chwale.

Na tej ziemi misjońskiej przed przeszło 30 laty chłop polski pierwsze stawiał kroki.

Było to 27 sierpnia 1897 r. Do Apostoles zajęchała jakaś dziwna karawana. Przybyła na olbrzymich wozach, ciągnionych przez woły. Sklecone naprędcami namioty z gałęzi i kawałków drzew. Płacz dzieci i kobiet mieszał się z tą pieśnią wygnańców, co o olbrzymie ruiny jezuickie się odbiwszy, w zaroślach łkała pobliskich:

*Serdeczna Matko, opiekunko ludzi,  
Niech Cię płacz sierot do litości wzbudzi!*

I Najświętsza Panienska otuchę wlała do serc. Chłop polski wziął się do pracy. Rozbudziły się w nim drzemiące siły. I kędy przeszła jego noga, wyrastały wioski i miasteczka kwitnące. Wszędzie widać rozmach

i kulturę, dokądkolwiek siekiera polska dotarła i polski pług.

Dziś Apostoles, czyli A p o s t o ł y, jak mówią nasi, jest ładnym miasteczkiem. W środku park miejski, aleje. Szerokie ulice wskazują, że za kilkanaście lat tętnić tu będzie życie handlowe i przemysłowe, które już dzisiaj się wyczuwa. Lecz znikną niestety piękne drewniane strzechy polskie, kryte słomą lub gontami.

Tak, ten rozmach życia polskiego napawa nas dumą i radością. Wychodźcy nasi, to prawdziwi pionierzy kultury... i myśli Bożej!

*Nowa ojczyzna*

Stolica duchowa. Palmowa Niedziela. Jezuickie ruiny. Stanisławowo. Nabożeństwo pasyjne. Karpackie święcone. Zmartwychwstanie w wojciechowskim kościółku. Magdalenowo.

Duchową stolicą kolonii polskich w Misjonos jest  
A z a r a.

W ciągu czterech dni pobytu mego w Azarze przekonałem się o tym niezbitcie. Słyszcy się tutaj wyłącznie język polski. Polski sztandar w kościele. Orzeł Biały, wykuty z kamienia, na murze kościelnym. Dom narodowy, ruchliwe towarzystwa im. Jana Sobieskiego, szkoła polska z internatem pod egidą skupiska życia polskiego w tej polskiej stolicy misjońskiej.

Ostoją i twórcą tego życia jest bezwątpienia X. Józef Bayerlein-Marjański. Gorący patriota i gorliwy kapłan umiał narzucić wolę swoją innym i pchnąć ich do wielkiego czynu. Że nie obyło się przy tym bez niezadowolonia, dowodem tego przykre tarcia, które ostatnio zatruwają życie wielkiemu pionierowi polskości na misjońskiej rubieży.

Palmowa Niedziela. Słońce praży całą mocą i złotymi garściami rozsiewa po ziemi promienie, rażąc ludzkie oczy. Przed kościołem azarskim ruch. Zajeżdża-

ją wózki polskie, ciągnięte przez nieduże koniki w krakowskich chomątach. Gwar rozmów i nawoływań. Brząkają dzwonki, umieszczone u szyi końskich. Drżą w powietrzu rzenia i parskania koni.

Na odgłos dzwonów gwary ustają. Tłum przelęwa się do wnętrza świątyni. Każdy niesie pęk liści palmowych i kwiecica tutejszego. Zda się, że to na Matkę Boską Zieloną zbiera się polski lud tam, gdzie pod Krakowem. Jeno prawdziwe palmy i egzotyczne kwiatki o zgoła innych świadczą stronach.

Ogromnie jestem szczęśliwy, że przynajmniej raz w życiu prawdziwe święcę palmy w Palmowy Dzień. Nabożeństwo to rzewne, a jeszcze rzewniejsze te śpiewy polskie, śpiewane z całą mocą, z całą tęsknotą sierocego serca.

Z Azary jadę dalej do innych kolonii polskich. Stary Fordzina proboszczowski, pamiętający jeszcze wojenne czasy, mknie z zawrotną szybkością krętą dróżką pełną wybojów i kamieni. Mknie przez ten gąszcz kukurydzianych badyli i te ciemne płachty fasoli, i słodkich kartofli i te jasne ugory, na których pstrzą się chusty dziewczyn polskich i bieleją koszule polskich parobków.

Mijamy *C o n c e p c i o n i S a n t a M a r i a*. Są to dawne redukcje jezuickie. Dziś tam tylko zarosłe sterczą ruiny. W *Santa Maria* zwaliska te są dobrze zachowane.

Chodzimy pomiędzy kolumnami i portykami dawnej świątyni. Na ziemi leżą rozbite kapitele, pięknie rzeźbione gzymsy i sprzęty kościelne. Idziemy dalej. Krużganki prowadzą do zawałonych cel klasztornych

i większych sal. Fakonem tniemy poplątane gałęzie, wiszory i bluszcze.

„Abominatio desolationis“ — brzydkość spustoszenia! W szczelinach pełzają węże i polują zwinne jaszczurki. Nad wspaniałym dziełem ludzkim zatriumfowała nienawiść i wyśpiewała ohydną pieśń zniszczenia. Tam, kędy królowało piękno i sztuka, głogi wyrastają dzikie i trawiaste czahary, szczelnie zarosłe drzewem mlecznym.

Kochany Fordzino, wieź nas dalej, ale dajże sobie spokój z tymi przysiadami i podrygami! Bo to nie przystoi na tak poważny twój wiek.

Oj, trzeba się trzymać, aby nie wylecieć jak z procy! Bo misjońskie drogi, to rzecz niebywała. Dziury, kamienie, korzenie. To też trzech guzów doliczyłem się na swej łysawej głowie, kiedyśmy szczęśliwie dotarli do Stanisława.

Tak nazwali konkwistadorzy nasi w chłopskiej sukmanie ten zakątek, kiedy 13 lat temu w te dzikie przybyli strony. Od razu też drewnianą tu wzniesli kapliczkę z św. Stanisławem w ołtarzu.

Mam zostać tutaj przez trzy dni, aby świętą odprawić misję i ceremonie wielkotygodniowe. Ogromnie się z tego ucieszyli zacni Stanisławowianie, jako że to lud ogromnie pobożny i o chwałę Bożą silnie dbający.

Są to ludzie, którym już za ciasno było na starych koloniach misjońskich, ale są i młodzi, którzy przybyli tu rąbać bór dziewiczy i nowe zakładać gniazda.

Odwiecznym borom wydarto wielkie kawały ziemi. Obsadzono je kukurydzą, fasolą i batami, a prze-

de wszystkim tytoniem. Tytoń, to gotówka tutejszych ludzi. Jenó, że cena jego w ostatnich latach bardzo niska. Obecnie płacą kupcy za kilo tytoniu już wyprawionego przeciętnie 30 centów. Nieraz jednak kwalifikują go jako „pito“ — podrzędny — i dają tylko 20 centów.

Więc narzekają nasi na ciężkie czasy, choć i w tym roku wezmą nie byle jakie pieniądze. Aleksander Morawicki liczy na 800 pezów, a jego brat na trochę więcej. Trzej Konopkowie mają w tym roku zbiór nieco słaby, a Karolowi Zdanowiczowi tytoń zasechł.

Na kukurydzę prawie że ceny nie ma. Więc jej też nikt nie sprzedaje. Niektórzy wypasają nią trzodę chlewną. Jenó że to nie bardzo popłaca. Przecież kilo mięsa kosztuje u rzeźnika 30 centów argentyńskich.

Stanisławowianie zapominają jednak w tych dniach o ciężkich czasach i tych codziennych ludzkich goryczach. Przychodzą za to gromadnie na nabożeństwa i nauki. Z podziwem i wzruszeniem przyglądają się świętym ceremoniom, które w tym kościółku po raz pierwszy się odprawiają. Woń kadzidła i chłopskiego potu miesza się z silnym zapachem szafranu i drzewa cedrowego. Śpiewają i modlą się na przemian, a co czulsze kobiety pochlipują z wielkiego wzruszenia.

Wieczorami na gorzkie żale i kazania pasyjne zbierają się tłumnie, że ani precisnąć się nie można. Śpiewają z tą wiarą gorącą i z całym odczuciem męki Chrystusowej. Po czym wsłuchują się z nabożnością w słowo Boże.

W kościele panuje cisza. Wszystkim się zdaje, że jakowś cień przebiegł pomiędzy nimi. Jeno na dworze czarne sępy, kracząc jak odpędzone złe duchy, zrywają się z dzwonnicy. Jeno wśród koni stojących przed kościołem czasem któryś zarzy lub parskanie przez wydęte chrapy.

— Jezu, Jezusinku — zawodzą głośno wszyscy i całują tego Chrystusa rozpiętego na krzyżu, co leży w powodzi światła świec woskowych i odurzających woni kwiatów leśnych.

Ksiądz nocuje tu zwykle w kościele. Za wielkim ołtarzem rozkłada się łóżko polowe. Na nie się rzuca jakowś chustę jako przykrycie i legowisko gotowe. Kapłan, jako strażnik największych świętości, przez dzień i noc w kościele. Jakie to piękne zrozumienie.

Pierwszą noc spało się dobrze. Leżąc na posłaniu, wpatrywałem się przez otwór w dachu w obce gwiazdozbiory na tutejszym niebie. Potem zasnąłem szczęśliwie. A w nocy gwiazdy mi się śniły złote i anioły Pańskie i same niebieskie śliczności.

Noc z Wielkiego Czwartku na Wielki Piątek była chłodna. Od południa dął wiatr zimny i przejmujący. Do kościółka wpadał, ziębił i podrywał. Z zimna szczękałem zębami i wstawałem co chwila na rozgrzewkę. Na szczęście przed kościółkiem zostawiono ognisko, na którym wierni „szimaron“ sobie gotowali tradycyjny. Więc tam biegałem, aby się ogrzać. Potem do łóżka — a z łóżka znowu do ogniska...

W noc następną miałem liczne towarzystwo. Gospodarze i parobcy straż pełnili przy grobie Chrystu-



sowym. Co pół godziny zmieniały się warty. Stały wyprostowane u wezglowia Krzyża Świętego z długimi bambusami w ręku. Stały, kiej te święte rycerze w stal zakute lśniącą.

W Wielką Sobotę jadę dalej — na K a r p a t y. Tak nazwali Polacy te strony, jako że tam turnie niezgorzsze i skalne zręby.

Siedzą tu same młodziaki, co to opuściwszy ojcowską zagrodę, nowe tu rozpalali ogniska. Weszli w las, wyrabali i osiedli. Do tego każdy ma prawo. Jenó, że nie otrzymuje na razie tytułu własności. Później nastąpią pomiary. Będzie się splancał, a potem se będzie pan!

Dokoła kaplicy karpackie gospodynie poustawiały święcone. W ogromnych koszach, z których świece zapalone wyzierały, mieściło się wszystko, co łechtać może tutejsze podniebienie. Krajane mięso wołowe, ryż kopiasty, batały, wieprzowina, placki kukurydziane i ciasto z białej pszenicy, masło, jajka pomalowane i długie łokcie polskiej kiełbasy, wszystko to zgodnie leżało obok siebie.

Padały krople święconej wody na te dary Boże, tak, jak w kraju każe obyczaj. Gospodynie biły się w piersi, a chłopcy zęgały się nabożnie. Niejednemu ślinka szła do ust, bo smakołyki te wydawały woń przedziwną, co nozdrza łechtała i oskomę pobudzała kuszącą.

Nabożeństwo pasyjne i nauka w kaplicy, po czym dalej do W o j c i e c h o w a.

Słońce się już opuszczało poza lasy. Białe płachty mgieł wypełzały z mokradeł i płynęły ku stalowobłękitnym i fioletowym chmurkom.

Lud wojciechowski od paru godzin już przy kościele czeka, jako, że gońce z Karpat przywiozły wieści, że przyjedzie ksiądz.

Od razu rozpoczynają się święte ceremonie przy Grobie Pańskim. Leży ten Jezusinek na krzyżu rozpięty. A na Jego mizernusienkie lica blaski padają tylnachna świec, co je z leśnych wosków lepily polskie ręce. Leży pod baldachimem sobie, co go z liści palmowych uplotły wojciechowskie dziewczęta. A w koło niego pachną kwiaty leśne i te z ogródków, na pstrokatych złożone chustach.

Ludziska pochylają się niby ten gąszcz leśny, kiedy wicher weń uderzy. Unoszą się dymy kadzidła, a ksiądz wyśpiewuje święte słowa łacińskie. Potem się formuje procesja. Felek Wojtaszynów niesie Pański krzyż. Wynoszą chorągwie i feretony. Walenty Gacał, prezes Towarzystwa im. Bartosza Głowackiego z dumą dźwiga sztandar z Białym Orłem na amaranutowym tle. Mimo siedemdziesiątki staruszek trzyma się prosto i buńczucznie. Snać, że gotów sztandaru bronić i honoru Ojczyzny. Przy nim ustawiają się co przedniejsi gospodarze niby straż przyboczna. Wojtaszyn, o całą głowę wyższy od innych i Wróble, Stelmaszczuki i Terleccy i Binkowscy i wielu innych.

Każdy trzyma w rękę zapaloną świecę. Dzwonki zawodzą jękliwie. Wychodzi procesja w głuchą noc. Ale zniknęły ciemności. Od świec tych jarzących łuna

wystrzeliła jasnym rozbłyskiem i zakrwawiła niebo.  
A w ten otok jasnokrwawy gruchnęła polska pieśń  
Zmartwychwstania.

*Wesoły nam dzień dziś nastał,  
Którego z nas każdy żądał —  
Alleluja!*

A pieśń ta przebiła niebieski firmament, a potem już prosto płynęła przed Boży tron. I aż Anioły Pańskie w niebie się dowiadywały, coby to było za śpiewanie. A dopiero Święte polskie im tłumaczyły, że to śpiewa polski lud, polskie sieroty na obcej ziemi...

Potem święcenie jadła. Stoją wojciechowskie gospodynie z wielkimi koszami. A w koszach „Dary Boże“. Wystrojone, upiększone to rodzyńkiem, to pietruszką, to znowu inną jakąś ozdobą.

Zamieszkałem w zakrystii. Postawili łóżko polowe i krzesło i mieszkanie było gotowe. Do tej oto plebanii zaczęły się schodzić gospodynie z koszami. Ta uszczknie trochę wieprzowiny. Inna poprawi wołowinę. Składają placki, jajka i innych smakołyków bezliku. Robi się góra. Bronię się i tłumaczę wstydliwie. Lecz one proszą i perswadują.

— Ojculku, mizerocku, bierzta, bo inacy bedzie nom zol!

Mijają święta zmartwychwstania w uroczystym nastroju. Rano i po południu nabożeństwa. Zbierają się ludziska. I modlą się i śpiewają i słowo Boże ich cieszy i krzepi w doli sierocej.

Chodzimy od domu do domu. Z rozrzewnieniem słuchają o Polsce. A potem śpiewamy te pieśni nasze, takie serdeczne i kochane, o tej Wiśle, i o tym góralu i o tym żołnierzyku, co szedł borem, lasem.

A potem znowu dalej, bezustannie rozbrzmiewa pozdrowienie zmartwychwstania:

— „Chrystus zmartwychpowstał“ — odzywa się każdy przy witaniu.

— „Prawdziwie powstał“ — odpowiada pozdrowiony.

Na ogół koloniści mają się nieźle. Mieszkają tu od 15 lat. Każdy posiada 25 hektarów ziemi. W tym połowa uprawnej, a w połowie dziewiczy jeszcze las. Sęk cały w tym, że ziemia jeszcze niezapłacona. Ze ściągnięciem opłaty za ziemię Rząd się jednak nie spieszy. Zdaje się, że cena wahać się będzie między 20 a 40 pesami za hektar — zależnie od jakości gleby.

Dochody z gospodarstwa nie są nadzwyczajne. To kury, to świny, to trochę kukurydzy i kartofli słodkich zawożą do P o s a d a s — stolicy misjońskiej. Ale niedużo tam płacą.

We wtorek poświęteczny częstuję mego wierzchowca obficie liściem palmowym. A trzeba wiedzieć, że to smakołyk dla konia nie lada. Potem dalej w drogę do Wincentowa, Jackowa i Magdalenowa.

Magdalenowo może najwięcej przypomina jakąś tam wioskę polską na Podhalu. Tak tam swojsko i przymilnie. Mieszka tu tęgi ród Żurakowskich. Stary Euzebiusz Żurakowski opuścił wioskę rodzinną w Otyonii pod Tłumaczem 30 lat temu i w tak dalekie za-

puścił się strony. A lud z tego rodu zdrowy i plenny. Od Żurakowskich aż się roi w Magdalenowie. Doliczysz się z górą 80 głów. To też Magdalenowo niektórzy Żurakówką nazywają.

Mieszkają tu też Sklepiki, krępe niby pnie. A naród to szumny i do książki się garnący. Syny i wnuki starego Sklepika innych katechizmu uczą i czytania i muzyki wszelakiej.

Nie zapomnę tej niedzieli, kiedyśmy ze starym Sklepikiem o świętych sprawach i o Polsce gwarzyli.

Nie zapomnę, staruszku siwowłoso, oj nie! Pod bananem, pod zielonym siedzieliśmy społecznie. A tyś zamglonym okiem po puszczy wodził zamyślony, po niebie gorącym, błękitnym, po tych badyłach zebranej kukurydzy. A potem twe ręce drżące ujęły harmonikę. I grałeś i śpiewałeś: „Jeszcze Polska nie zginęła!“ A łzy ci płynęły ciurkiem, a w załzawionych oczach jaśniały blaski. Dziaduniu kochany, nie zapomnę, oj nie...

I dalej do Kazimierzowa. Po drodze wstępuję do San Ignacio, kędy na ruinach jezuickich chwil kilka spędzam w zadumie.

Kazimierzowo, to najbogatsza kolonia polska w całej Ameryce Południowej. A z bogaciło się Kazimierzowo uprawą zielonej herbaty t. zw. herwy. Drzewko średniej wielkości daje kilkanaście kilogramów liści herbacianych. Z jednego hektara zbiera się około 1000 kg. A że obecnie kilo herbaty kosztuje 30 centów, przeto zysk pokaźny.

A herwy tu nasi mają sporo. Obaj Pelińscy Jan i Wincenty mają razem 60 hektarów, Józef Kozłowski

40, Piotr Tarnowski 20 hektarów herwy i t. d. Wezmą więc i w tym roku po 30, 20 tysięcy pezów. Więc do-robek duży. Ale też Kozłowski czy Wincenty Peliński czy inni, to prawdziwi magnaci. Majątek ich liczy się razem na 2 miliony złotych polskich.

Lecz i ci bogaci herwiarze garnęli się do kościoła. I korzyli się przed Bogiem, a słowo Boże przyniosło obfity plon.

— Niech ksiądz pozdrowi od nas Polskę, — wołają wzruszeni na odjezdnym.

— Do widzenia w niebie — tak się żegnam z nimi, a potem dalej do Borów Rokowych, do św. Anny i Kandelarii. Jadę w gorących odbłaskach słońca, skroś jasnozielone błonia i te trawiaste rozłogi misjońskie, kędy naród polski nową buduje Ojczyznę.

## *Królowa argentyńskich wód*

W Posadas. Na pokładzie Espanii. Grubawy kapitan. Pomniki przeszłości. Parańskie brzegi. Rotmistrz kacykiem. Bertonówka. Przy dźwiękach gitary.

Przerywam swe objazdy po koloniach polskich w Misjones. Jadę do Posadas, stolicy misjońskiej, dla omówienia najpilniejszych spraw z miejscowym dziekanem. Tutaj dowiaduję się, że w szpitalu leży chory prałat Tyleczek, Polak, samodzielny zarządca dystryktu kościelnego Foz do Iguassu (praelatus nullius).\*)

X. prałat nabawił się bowiem w swoim czasie popularnej tu bardzo choroby „ciuciu“ — rodzaju malarii. Chorował przez dłuższy czas. Wydawało się, że nie przetrzyma, lecz stało się jednak inaczej.

Podczas swej wizyty zastałem go już jako rekonwalescenta. Opowiadał rużo o trudnościach, z jakimi walczyć musi na tym najbardziej na południe wysuniętym posterunku Brazylii. Na pożegnanie usłyszałem te słowa:

—Po objeździe Misjones trzeba koniecznie wstąpić do nas. Bo jak to, być w Rzymie i papieża nie widzieć!

---

\*) Umarł w r. 1936.

Przecież blisko nas znajdują się najpiękniejsze wodospady na świecie. Zresztą i tam może ksiądz odwiedzić kilka rodzin polskich. Połączy więc pożyteczne z przyjemnym.

Objazdy skończyły się i znowu stanąłem w Posadas. Stolica Misjones liczy może 25 tys. mieszkańców. Rozwija się nieźle jako miasto portowe i jako punkt graniczny z Paragwajem. Miasto trochę brudne, ulice nie brukowane. Spotyka się tu dużo typów indiańskich. Kobiety paragwajskie w łachmanach sprzedają samorodne cygara i łakocie. Dużo tu ludzkiej nędzy, żywiącej się byle czym — pomarańczą, cebulą i chlebem z mandioki i mąki kukurydzianej.

Mieszka tu 25 rodzin polskich — oraz 8 policjantów, synów polskich rodzin misjońskich. Chłopcy naschwał, zuchy, jak się patrzy! To też komisarz policji stawia ich tubylcom za wzór. Mają się nieźle. Pobierają bowiem 160 pezów miesięcznie, t. j. najniższą pensję urzędnika argentyńskiego.

A więc do wodospadów! W porcie dowiaduję się, że statek „España“ wybiera się w tę stronę.

Odjazd naznaczony na godz. 2 po południu. Godzinę przed wyjazdem windują się na zgrabny stateczek i czekam. Mija godzina jedna i druga, a „España“ jeszcze nie rusza. Skrzypiące zórawie wrzucają do jej kadłuba najrozmaitsze towary: worki z mąką, skrzynie, części umeblowania. Nawet dwie krowy tam spuszczaają — i różne, żywe czy też martwe drobiazgi.

Grubawy kapitan pociesza mnie, że za „chwileczkę“ wyruszamy. Chwileczek tych minęło dużo. Do-



piero około godz. 6-tej „Espana“ opuszczała port posadowski, pogwizdując i porykując sobie wesoło.

Towarzysze w pierwszej klasie, to urzędnicy tartaków, towarzystw kawowych, które mają swe siedziby wzdłuż rzeki Parany.

W drugiej klasie ogromna mieszanina. Argentynczycy, Brazylijanie, Paragwajczycy i kilku Indian. Na głowach wielkie kapelusze, chusty pstrokate na szyi, czerwone szerokie pasy i fałdziste spodnie. Przeważnie na bosaka.

Muszą to być elementy niezbyt gorliwie dbające o zachowanie Boskiego przykazania. Wykazało się to od razu.

Tuż przed odjazdem policja rzeczna urządziła rewizję. Łup był niezgorszy. Kilka sztyletów, 9 pistoletów sześciopistołowych oraz różne brzytwy, dobrze tu znane, jako narzędzia bojowe.

Parana, rzeka, którą płyniemy, jest naprawdę imponująca. Pod Posadas ma ona 5 km szerokości, tak, że ledwo widać Encarnacion, miasto paragwajskie, leżące po drugiej stronie. Ale to też jedna z największych rzek świata, a największa rzeka w Argentynie. Królowa argentyńskich wód.

„Espana“ dzielnie pruje parańskie wody. Płynie z rekordową szybkością 8 km na godzinę. A grubawy kapitan p. Francisco Flores, pobierający 600 pezów miesięcznej pensji, twierdzi, że w razie potrzeby „wyciągnie“ 9 km na godzinę.

Późnym wieczorem zawijamy do portu Candelaria. Była to kiedyś stolica jeziuckich redukcji

w Misjonos. Dziś marna mieścina włosko-niemiecka. Z ruin pozostały tylko ślady. Z czasem ludzie je porozbierali i z wspaniałych kamieni i granitów domki sobie pobudowali mizerne.

Po kolacji grubawy kapitan urządził koncert radiowy. „Chwytał“ tylko stację w Buenos Aires. Trochę muzyki, trochę śpiewu. Wyczekuję z niecierpliwością „ultima hora“ — ostatnich wiadomości. Cóż, kiedy dotyczą one tylko spraw miejscowych: W Chaco robotnicy urządzili strajk, w Jujui postrzelono jakiegoś obywatela i t. d. A z Europy i z drogiej Ojczyzny żadna wieść nie płynie na falach eteru!

W nocy nad rzeką unosi się gęsta mgła. „Espana“ staje. Dopiero o świcie ruszamy dalej.

Przystajemy w portach Santa Anna, San Ignacio. Loreto, Corpus. Wszystkie miejscowości, to resztki dawnych redukcji.

W San Ignacio odwiedzam owe pomniki minionej chwały. Są to najlepiej zachowane ruiny w Misjonos. Znajdują się one na przestrzeni 14 hektarów. Widać resztki mieszkań robotniczych, cele klasztorne, obszerne magazyny. Dobrze zachowana jest brama wewnętrzna z różnymi herbami, oraz lewy front kościoła. Tak samo brama szkoły oraz lewy środek fasady kościelnej.

Cóż, kiedy wszędzie na zwaliskach wyrastają krzewy, palmy i drzewa, co korzenie swe niby chciwe pazury wpijają w wiązania i mury i powoli je rozsadzają. Ząb czasu zgryza wszystko bezustannie i niemilośnie.

Chodzę między ruinami. Panuje tu cisza prawie grobowa. Gruchają dzikie gołębie i papugi rajcują w koronach starych drzew pomarańczowych, które pamiętają jeszcze owe dawne czasy. Wśród ruin pasą się nędzne szkapiny tubylców. Tuż obok stoją dziurawe ich szałas, pokryte słomą lub trawą leśną.

Tak, 300 lat wstecz wykwit kultury, a dzisiaj cofnięcie się o lat przeszło 1000. Myślę sobie, cóż by się było stało z Południową Ameryką, gdyby zawiść ludzka nie zniszczyła wspianego dzieła. Inaczej by tu było. A może te kraje promieniowały by dzisiaj na cały świat.

Płyniemy wśród potoków słońca w roześmiany Boży świat. Parana ma tu miejscami 200 m głębokości, jak wykazuje mapa, wydana przez M. O. P. (Ministerio das Obras Publicas). Brzegi zarośnięte trzciną takuarą i gąszczem leśnym.

Czasami się zdaje, że płyniemy po jakimś olbrzymim jeziorze o barwie szafiru. Czasami Ren się przypomina, czy Dunaj. Tylko, że zamków i ogrodów na zrębach skalnych nie ma. Z tajemniczych jaskiń, umajonych zielenią i kwieciem, strumyki i rzeczki wlewają swe fale do tej matki wód. Inne z wysokich spadają progów — wiekuiste, nadparańskie siklawy.

Wieczorem grubawy kapitan podpił sobie nieźle. Więc i nieźle się mu kurzyło z gęstej czarnej czupryny. Raz po raz wpadał w objęcia drugiego oficera i komisarza. A szcztkował ich policzki ostrą brodą, niby wiechciem nie byle jakim. Potem solo puścił się w tan. A kuchciki warząchwiami bębniły w wielkie miedziane

misy i melodie wygrywały skoczne. I wesoło było, oj wesoło!

W nocy znowu mgła — i znowu stop! Nazajutrz mijamy różne porty i porciki.

W porcie *Uriburu* zapoznają się z p. Fryderykiem *Mahlhausem*, b. rotmistrzem niemieckiej kawalerii. Wygląda nieco oryginalnie w kasku tropikalnym, w długich żółtych butach, szerokich białych spodniach, z żółtym pasem. Rząd paragwajski mianował go kacykiem dwutysięcznego szczepu *Indian Guayiana*. Cywilizuje ich i uczy katechizmu. Mówi, że do Europy nie wróciliby za żadne pieniądze.

*Port Bertoni* kędy stajemy potem, zawdzięcza swą nazwę słynnemu prof. *Bertoniemu*. Zmarł on przed paroma miesiącami, licząc 80 i parę lat. Był on długi czas profesorem Akademii Rolniczej w stolicy paragwajskiej. W uznaniu wielkich zasług rząd tamtejszy darował mu kawał ziemi nad brzegami *Parany*. Ot drobnostka: trzy mile wszereż i trzy mile wzdłuż.

I mieszkał tu *Bertoni*, przeszło 40 lat. Założył stację meteorologiczną, zgromadził liczne zbiory flory i fauny tutejszej. Miał nawet własną drukarnię, z której wychodziły cenne jego publikacje. Obecnie mieszkają tu jego synowie, wnuki i prawnuki, coś koło 80 głów — prawdziwa *Bertoniówka*.

I znowu zapada noc. Z drugiej klasy dochodzą nas dźwięki gitary i jakieś smętne melodie. Kilku mężczyzn śpiewa stare piosenki indiańskie w narzeczu *Guarani*. Rozumiem tylko słowa refrenu, które mi tłumaczy ktoś z obecnych:

*Prihare pitu,  
Niasa indy pora...*

Co znaczy: Ciemna była noc, a potem księżyc wszedł bladawy.

A kiedy nazajutrz brzask dzienny rozpraszał ciemności nocy, „Espana“ wpłynęła do portu brazylijskiego F o z I g u a s s u. A stąd już tylko skok do najwspanialszych wodospadów świata.

## *U najpiękniejszych wodospadów świata*

Miasto pomarańczy. Brat Grzegorz. Przednie strażce. Iguassowe wody. Gardziel Diabelska. Niefortunny skok. Ani oko nie widziało.

Tam kędy Iguassu (w języku Indian Guarani „y“ oznacza wodę, „guassu“ — wielki) zlewa swe wody z Parana, znajduje się port argentyński Puerto Agirre. Po przeciwległej stronie widać paragwajską osadę General Franco. Nieco dalej na północ znajduje się port brazylijski Foz do Iguassu. Tutaj to 21 kwietnia opuściłem pokład statku rzeczno „Espana“, aby dotrzeć do słynnych wodospadów.

Foz do Iguassu, to miejscina licząca około tysiąca mieszkańców. Dawniej nazywała się Colonia Militar. Tu bowiem stacjonowany był większy oddział żołnierzy brazylijskich, jako że to punkt strategiczny wielkiej wagi.

Żołnierze poszli. Osada została. Jako pamiątka po nich pozostały też tysiące drzew pomarańczowych, które kazano żołnierzom zasadzić. Dlatego też miejscinę tę nazywa się — miastem pomarańczy.

Tyle tu pomarańczy! Same pomarańcze! Na zatręśnienie! Jedyny to może zakątek świata, gdzie po-

marańcze nie kosztują ani centa. Ot, dojrzewają, spadają, gniją! W ostatnich czasach wyrabia się z nich nieco wina pomarańczowego. Jedyne to pożytek, bo któżby tu jadał pomarańcze? Dawno się już przejadły.

Mały, czy duży czytelniku, może ślinkę łykasz z wielkiej oskomy? Przyjeźdź, a najesz się dosyta. Zabierzesz nadto ze sobą, ile zechcesz — dwa, trzy, cztery wagony! A jeśliś tu osiadł na stałe, to przyjmą cię z otwartymi rękoma. Burmistrz udekoruje miasto na twoją cześć. I ziemię ci sprzeda tuż pod miastem, ile zechcesz — po 3 milrejsy za hektar. I będziesz żył, będziesz sobie pan i będziesz jadał pomarańcze aż do skończenia żywota.

Zachodzę na plebanię do X. prałata Tyleczka.

Plebania maleńka z drzewa zbudowana. Ale już się buduje kościół i nowy dom dla księży. Szkoła, szpital, dom Sióstr oto dalsze projekty ruchliwego prałata.

X. prałat Tyleczek jest ogromnie rozmowny i gościnny. Boć też rzadko kiedy jaki konfrater w te dalekie zapuszcza się strony.

— Jutro rano do wodospadów! — Taka zapada uchwała. Sam gospodarz po przebytej chorobie nie może się odważyć na tę wyprawę. Za to towarzyszyć mi będzie Brat Grzegorz. Z nim też przygotowujemy siodła i przybory. Mułom obficie rzucamy kukurydzy. W czas też idziemy na spoczynek.

Na drugi dzień Msze św. o godz. 5. Potem wdziemy tropikalno-kawaleryjską garderobę. O 6 dośiadamy długouchych wierzchowców i w drogę!

Mamy przed sobą 60 km, licząc w to drogę powrotną. Ale to nie nowalia. Bywały jazdy forsowniejsze. Kiedyś 10 km na siodle — a zmęczonym się było porządnie. Ani chodzić potem, ani siadać. Do wszystkiego przecież przyzwyczać się można.

Przez dziewiczy las cwałujemy krętą ścieżyną. Wyśpiewujemy pieśni nabożne i żołnierskie o wojen-  
ce i o ułanach malowanych. Potem gwarzymy sobie nieco.

Brat Grzegorz opowiada, że blisko wodospadów Jezuici wybudowali miasto i na cześć Świętej Dziewicy nazwali je Santa Maria. W roku 1683 musieli stąd uchodzić. Od tego czasu miasto jakoby się w ziemię zapadło. Wszelka o nim wieść zaginęła. Dziś nikt nawet nie wie, gdzie są jego mury. Bujna roślinność w śmiertelnym uścisku oplotła mury, ozdobne kolumny i domy całe. Na murach wyrosły krzewy i drzewa i dziś szumi tam odwieczny bór.

Chwilami pochłania nas leśny gąszcz. Jedziemy jak gdyby w półmroku. Cwałujemy przez bambusowe zagaje, to znowu pod girlandami trzciny takuary. Raz po raz tylko przedrze się promień słońca, co na ścieżynie misternie maluje kółeczka.

W połowie drogi słyszymy z dala przeraźliwy łoskot, który jak gdyby wydobywał się z głębokich podziemi. To wodospady! Jeszcze 15 km! Bliskość tego fenomenu podnieca nas. Coraz częściej na grzbiety naszych wierzchowców spadają długie sikoty-szpicruty. Cwałujemy w milczeniu. A przeraźliwy huk zbliża się



z minuty na minutę. W końcu słyhać już tylko ryk i grzmot, jak gdyby odgłosy wojennej rozprawy.

O godz. 10 jesteśmy na miejscu. Nerwowo przywiązujemy koniska do pni cedrowych. Zabieramy tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Potem ostrym fakonem tnemy płataninę leśną. Niezmordowanie posuwamy się naprzód. Gąszcz wreszcie rzednie. Wstępujemy na skalisty próg. Jasność razi nasze oczy. O uszy nasze odbija się jak gdyby muzyka piekielna. Basowy ryk głęboki i tępy. Krew ścina się w żyłach. Zimny pot występuje na czoła. A skała pod nami drży jakby z przerażenia.

Oto jak nas powitały owe słynne wodospady! Była to coprawda tylko jedna ich część — przednie strażnice Mariańskich wodogrzmotów. Tak się je często nazywa od zaginionego miasta *Santa Maria*. Ciągną się one na przestrzeni 3 kilometrów w formie podkowy. Robimy kilka zdjęć. Potem wycofujemy się, aby z innej strony podejść do zlewów środkowych.

Słońce świeci, a ciągle pada drobny deszcz. Wytwarzają go opary wodne, co się unoszą nad zlewami. Podrapani przez kolce i krzaki docieramy do celu. Przed nami najwspanialsze wodospady świata w całej swej okazałości!

Z daleka widać lustrzaną toń wód Iguassowych, co najspokojniej w świecie płyną sobie w dal. Zalotne palmy wybiegają do brzegów i przeglądają się w lśniących wodach. Zielonoszmaragdowe kopuły tropikalnych drzew straż przy nich dzierżą odwieczną.

I nagle Iguassu jakby się wściekł. Jak gdyby ktoś ukrytą dłoń gotował zasadzkę.

Iguassu traci grunt pod nogami i z wysokości 80 m rzuca się w przepaść. Prawdziwe salto mortale! Iguassowe wody strącają się w otchłań i dopadają czeluści. Stają się jednym odmętem piany i bryzgu. Welony oparów unoszą się nad przepaścią, jak gdyby chciały zasłonić ogrom spustoszenia.

Na przestrzeni trzech kilometrów same wodospady, większe i mniejsze — Dois Irmãos (Dwaj Bracia), Tres Mosceteros, Santa Magdalena i inne, oto ich nazwy. Największy z nich Garganta do Diabo — Gardziel Diabelska. Trzy pękate strumienie, jak gdyby trzy rzeki wałą się w przepaść. Dwa zlatują równolegle. Trzeci, od strony argentyńskiej, zatacza ogromne półkole i rwie w poprzek nich.

Wyzbywamy się niektórych części garderoby i brodząc w wodzie, staramy się podejść do skalnego progu, nieobjętego powodzią. Skacząc z kamienia na kamień, lądujemy szczęśliwie na skalnej przystani. Jeden metr dalej, a skała tworzy prostopadłą ścianę, kończącą się w przepaści. Czołgam się na brzuchu do krawędzi. Brat Grzegorz trzyma mnie za nogi.

Wychyłam się nieco poza krawędź. Ogarniam okiem wszystkie wodospady, przepaść, odmęty. Serce wali mi młotem. A w oczach aż się ćmi od tego ogromu cudów Bożych. Ostrożnie nastawiam aparat. Jedno zdjęcie, drugie. Potem czołgam się z powrotem.

Chcemy jeszcze dotrzeć do Diabelskiej Gardzieli. Od tego piekielnego łoskotu nie słyszy się ani słowa.

Więc porozumiewamy się migami. Tak, bo tu nie ma ani przewodnika ani drogowskazów.

Mówią, że słynne wodospady Niagary czuć benzyną, że stuk motorów przegłusza tam huk wodospadów. Tu zaś wszystko w szczerzej pierwotności, tak, jak wyszło z rąk Stwórcy. Stąd ten urok niepojęty. Stąd mimowoli tu ręce składają się do modlitwy, a usta szeptać: *Benedicite omnes aquae Domino* — błogosławcie wszystkie wody Panu...

Skaczemy z jednego kamienia na drugi. Wdrapujemy się na ogromne granitowe bloki. I znowu z kamienia na kamień. Raz skok się nie udał... wpadam jak długi do rwącego prądu. Na szczęście uczepiłem się skały. Gramolę się na wierzch. Wszystko w porządku. Jest aparat i filmy! Niczego nie zgubiłem, ale zdjęcia przypadły, bo filmy się zamoczyły.

Musieliśmy wracać do obozowiska. Tam zmieniłem błonki. I znowu zdjęcia na skalnej przystani i przy *Gardzieli Diabelskiej*, którąśmy w końcu jednak zdobyli.

Co tam widzieliśmy, ani opisać, ani opowiedzieć nie umiem. W drgających tęczach i oparach, bijących z odmętów, inne widzieliśmy światy. Ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało...

Godzina 5-ta. Siodłamy muły i gotujemy się do powrotu. Żal wracać, bo drugi raz oczy nasze nie będą oglądały takich wspaniałości. Ale obowiązek każe. Jutro zanim słońce wzejdzie, w daleką wybieramy się drogę — do Paragwaju, na ratunek polskich dusz.

## W Paragwaju

Na drugi brzeg Parany. Z cygarem w ustach. Carmen. Nowa kolonia. W Komarkowym domu. Białe złoto. Chuchu. Żmije. Rzewne nabożeństwo. Tołopyło umierał...

Było to 25 kwietnia. Jest godzina czwarta rano. Czekam na dworcu w P o s a d a s na pociąg, który ma mnie zawieźć do Paragwaju. Boć i tam jest sporo dusz polskich, do których nigdy jeszcze nie dotarł polski ksiądz.

Nadbiegł ekspres z Buenos Aires, cały skąpany we mgle. Równocześnie z nami wsiadają urzędnicy paragwajscy, uprzejmi i niezbyt wymagający. Rewidują paszporty. Wiz nie potrzeba. A czasami obejdzie się nawet i bez paszportu.

Teraz wsuwają pociąg na wielki „ferryboat“ i pozwoli przeprowiamy się przez Parane, szerokości jakich 5 kilometrów. Po drugiej stronie znajduje się miasto paragwajskie Encarnacion (Wcielenie — Słowa Bożego). Miasteczko liczące 6 tys. mieszkańców. Przed trzema laty straszna trąba powietrzna zamieniła je w gruzy, grzebiąc pod ziemią prawie 500 zabitych. Raz po raz urządza się tu rewolucję, jak np. dwa miesiące temu. Przeto o jakimś większym rozwoju absolutnie nie ma mowy.

Już na większych stacjach zauważa się wielką różnicę pomiędzy Argentyną a Paragwajem. Tam wszędzie względny dobrobyt i porządek, a tutaj okropna nędza. Ludzie, to przeważnie typy indiańskie z flegmą we krwi i wiekuistym — nie wyłączając kobiet — cygarem w ustach.

Jest to kraj nie duży. Coś około 800 tys. km kw. Administracja marna. Chroniczna choroba rewolucyj dezorganizuje ludność. Ot np. przed tygodniem w Campo Grande zrewoltował się pułk piechoty i oddział samolotów. Jak na armię tutejszą, to wielka rzecz. Ruch ten jednak stłumiono, rozstrzeliwując winnych na miejscu.

Waluta niska i niestała. Obecnie pez paragwajski równa się 15 naszym groszom. Każdy tu jednak liczy na pezy argentyńskie.

— Carmen — woła uśmiechnięty konduktor ze złotymi gwiazdami na naramiennikach. Oto cel mej podróży. Józef Komarek, pochodzący z Kopców, powiatu łuckiego, czeka na mnie z końmi. Ładujemy na konie ołtarzyk polowy i przybory. Potem dosiadamy naszych rumaków i w drogę!

Carmen, to miścina, że pozał się Boże. Wszystkie domki kryte trawą, często bez okien i drzwi. Nie wyłączając domu policji, burmistrza i innych grubych ryb karmieńskich. Nagie dzieciaki bawią się pomarańczami. Krowy chłodzą się w cieniu chałup. A uliczkami miasteczka sunie korowód tutejszych wozów, ciągnionych przez szare bawoły. Skrzek dzieciaków i bek krów

przerywa gniewne nawoływanie poganiaczy, którzy wymachują w powietrzu spalonymi od słońca rękami.

Kolonia, którą mam odwiedzić, nazywa się F r a m. Jakiś obywatel argentyński wydobyl za grosze 120 tys. hektarów i kolonizuje je. Kolonizację prowadzi p. Suchan z Buenos Aires. Wysłał on do Framu już jakieś 400 rodzin czeskich, polskich i ukraińskich, w 90 proc. obywateli polskich. Za hektar ziemi płacą 50 pezów argentyńskich. Wpłacają pewną ratę, a resztę mają uiścić w ciągu lat pięciu.

Ziemia jest tu bardzo dobra. Jak na tutejsze stosunki jednak za droga. Tym więcej, że administracja żadnych wkładów nie czyni. W lesie wycięto kilka wąskich dróg. Ot i wszystko.

Opowiada mi Komarek, że z religią na kolonii jest bardzo źle. Przyjechali już z Polski niektórzy sekciarze, jak baptyści, metodyści i t p. Drwinkami i szkalowaniem wiary św. płoszą owieczki z owczarni Bożej. A ksiądz tu żaden jeszcze nie zajrzał.

Było południe. Słońce ostrymi promieniami, niby strzałami rozdzierało rozpięty nad nami baldachim lian i fantastycznych splotów. Żółtą plamą kładło się na ścieżynie zmielonej końskimi kopytami. Konie nasze pokryły się obficie pianą i nerwowo oganiały się od bąków ciężkimi spletanymi ogonami. To też zarzały radośnie, kiedyśmy podjeżdżali do Komarkowej zagrody.

Obejście, jak na dwa lata istnienia, ładne i zasobne. Chlewik, kurnik, no i duża chałupa, zbita z bali cedrowych i pokryta trzcina leśną. Duma i chluba ko-

lonii! W tej to chałupie przez trzy dni miała rozbrzmiewać chwała Pańska, po raz pierwszy na tym odludziu paragwajskim.

Rozgościwszy się w dużej izbie, zamienionej na kaplicę i plebanię, oglądam dorobek Komarkowy w polu. Zdołał on już wyrąbać kilka hektarów lasu. Nasadził trzciny cukrowej, kukurydzy, mandioki, słodkich kartofli, a przede wszystkim bawełny. Bawełna, owo „złoto białe“ Ameryki Południowej, przez naszych nazwana „wata“, jest na kolonii ogromnie w modzie. To też wszyscy się rzucili na watę. I w ubiegłym roku „wata dała“. Przeciętnie zbierali 1500 kilo z hektara. A że za kilo płacono 70 gr (daruję czytelnikowi przeliczenie tutejszych pezów na złote), więc dorobek był ładny. W tym roku podwoili produkcję. Administracja kupiła wszystko, ale cóż? — Pan administrator stwierdził w kilka tygodni po zakupie, że „wata“ jest tylko drugiej i trzeciej klasy. Przeto zapłacić może zaledwie po 25 gr. Cóż poczną koloniści przeciwko takiej swawoli wyzyskiwacza? Któż się za nimi ujmie?

Klimat jest tu dobry i zdrowy. Dotychczas było tylko kilka wypadków choroby „chuchu (czyt. ciuciu). Niektórzy choroby nie przetrzymali i zmarli. Cmentarza nie ma, więc pochowano ich gdzieś w lesie lub na przydrożu. Dziewięć osób przywalono ciężkimi kamieniami, aby zwierz leśny nie zbeszcześcił drogich szczątków.

I krzyż postawili z cedru lub z mahoniu. Nad grobem i krzyżem zwoje lian na odwiecznych cedrach

rozdźwięczoną lirą grają pieśń żałobną. W smutnym rozełkaniu gibkie mimozy szepcą pacierze za dusze polskich tułaczy...

Żmij jadowitych tu nie brak. Przed paru tygodniami żararaka, bodaj że najjadowitszy gad tej okolicy, ukąsiła brata mojego gospodarza. Chłopak spuchł w mgnieniu oka. Cóż robić? Lekarza nie ma. Więc brzytwą rozcinają mu ranę. Leją na to wódkę i podpalają... Oczywiście chory zemdłał. Wystraszeni, ładują go na konia i dalej z nim do Carmen — do administratora. Była noc, więc administrator spał. I nikt z obecnych nie śmiał zapukać do drzwi, aby go nie rozgniewać. I tak przez 5 godzin stali pod drzwiami z nieprzytomnym i prawie już konającym. Dopiero nad ranem pan administrator się obudził i zastrzykiem przeciwjadowym uratował umierającego od niechybnej śmierci. Dziwnie jednak twarda jest natura słowiańska!

Na drugi dzień nabożeństwo. Już rychło rankiem gromadzą się koloniści przed domem. Dom Komarkowy nie ma jeszcze drzwi. Słyszę więc jak najwyraźniej:

— Cichota ludy, bo ojculek jesse śpią!

Zrywam się czym prędzej. Po powitaniach — spowiedzi święte bez końca. Suma o godzinie 10-tej. Najpierw święte pokropienie liściem paproci. W czasie Mszy św. śpiewają wszyscy. A że w tym końcu kolonii mieszkają głównie Czesi z Wołynia, więc też pieśni nabożne śpiewają po czesku:



*Maryja, Maryja  
Nad slunce jasnejsi  
Nad mesic krasnejsi  
Nad perły vzacnejsi, Maryja!*

Śpiewają z takim rozrzewnieniem, że i najtwardszemu łyzy płyną ciurkiem.

Po Mszy św. śluby i chrzty. Woda chrzcielna spływa z główek dziecięcych do wielkiej blaszanki, która kiedyś zawierała benzynę. Potem wywód mattek z zapalonymi świecami, które z kruchty-kuchni wchodzą do izby- kaplicy.

Skończyły się obrzędy. Zawołano mnie do chorego. Płaton Tołopyło umierał.

Padał deszcz, więc owinałem się w długą pelerynę, a potem na koń i galopem pomknąłem w rozmoknięty las. Grube krople deszczu padały z gęsłowym pobrzękiem na szerokie liście przydrożnych drzew. Zdało się, że las śpiewa na smutną, a z dziejów puszczy wysnutą nutę. Zdało się, że las jęczy i płacze...

Za godzinę byłem w domku Tołopyły. Właściwie, to jeszcze nie domek. Ot, szałas, naprędce z tartych desek sklecony. W kącie łóżko z drążków leśnych, suchą trawą i liśćmi palmowymi zasłane. Przy łóżku, cieplę na postronku i parę prosiąt. Na łóżku umierający. Żona i czworo dzieci — wszyscy o trupiej błości, ofiary zaraźliwej „chuchu“.

W braku stołu składam Hostię św. na starym kuferku. Po czym spowiedź, słowa pociechy i święta komunია, co dusze strzeże na żywot wieczny.

Oczy chorego, zachodzące już mgłą śmierci, wyjaśniły się na chwilkę. Duże łzy wypłynęły z nich i zrosiły głębokie zmarszczki na wybladłej twarzy.

Padał deszcz i łopotał o drewniane pokrycie dachu.

Płaton Tołopyło umierał — zdala od wioski rodzinnej pod Rohatynem. Umierał na obcej, paragwajskiej ziemi...

## *Przez Argentynę Centralną*

Prowincja Corrientes. Miasto adwokatów. Angielscy marynarze. Resistencia. Przez zapadłe Chaco. Nasi „kargują“. Plujący towarzysze. Miasto świętej Wiary. Ku kordobskim wzgórzom.

W jesienny poranek majowy „Iguassu“ odbija od brzegów paragwajskich. Chłód mocno daje się we znaki, jako że już dawno minęły letnie upały. Ludziska szczerlnie otulają się w pstrokate szale lub też dygocą pod skórami. Dopiero, gdy słońce się ukazuje, wychodzą na pokład, ruszają się i grzeją w jego ciepłodajnych promieniach.

„Iguassu“ z rozmachem pruje mętne wody Parany. Płynie wskroś tę jasność słoneczną, która obficie zalewa burty. Wydaje z siebie maksimum wysiłku, aby na czas zdążyć do Corrientes, celu naszej podróży.

Po południu wjeżdżamy w granice argentyńskiej prowincji Corrientes. Jak mi objaśnia towarzysz podróży, Vincente Riva Palacio, na przestrzeni 90 tys. km kwadratowych mieszka tu zaledwie 70 tys. mieszkańców. Ogromne obszary, pokryte dziewiczym lasem. Dwa miliony hektarów nieprzebytego gąszczu leśnego! Na pastwiskach korientyńskich pasie się 6 mil. sztuk bydła, tyleż prawie owiec, a poza tym 800 tys. mułów i koni.

Niestety bogactwa te należą do kilkunastu zaledwie magnatów. Na bezkresnych prawie obszarach panuje sobie taki sam „amo“ — pan w całym tego słowa znaczeniu, władca życia i śmierci. Zwykły zaś Korientyńczyk ubiera się w łachmany i mieszka w szałasach palmowych. Nie wie zatem, co to problem mieszkaniowy, a o żywność nie troszczy się wiele. Zwierzy-ny ma w bród, a na drzewach przez cały rok wiszą soczyste owoce, które aż się proszą, aby je zerwać.

Na dolnym pokładzie oglądam kilka typów z tu-tejszych stron. Na głowach noszą słomiane „rondery“. Twarze spalone, o ostrym wyrazie. Oczy przenikliwe i głęboko osadzone. Na szyjach chusty czerwone, zwią-zane w trójkąt. Podarte koszule, za pasem pistolety i noże, spodnie bufiaste — oto dopełnienie garnituru.

„El Corrientino tiene mala sangre“ — Korientyń-czyk ma złą krew — tak mówią o mieszkańcach tutej-szych w innych częściach Argentyny. I zdaje się, słu-sznie. Hultaje to i zabijaki nie lada. Z nich to głównie rekrutują się pułki ochronne i policja krajowa. Gdy rozkaz wydany, gotowi szturmować choćby piekło sa-mo!

Na drugi dzień dojeżdżamy do Corrientes, stolicy prowincji. Miasto liczy jakieś 30 tys. miesz-kańców. Dosyć schludne i ładnie zabudowane. Na uli-cach słychać głównie mowę Indian Guarani. Pierwotni mieszkańcy wycofali się z tych stron, lub zmieszali z ży-wiołem napływowym. Mowa ich jednak została. Dźwię-czna, pełna samogłosek i poezji. Mówią nią oczywiście

warstwy niższe, gdyż inteligencja posługuje się językiem hiszpańskim.

Corrientes to miasto adwokatów. Ogromnie byłem zdziwiony, gdy przy każdej prawie ulicy ujrzałem lśniącą tabliczkę z misternym napisem: „abogado“. Jak mi powiedziano, mieszka tu 105 adwokatów. Oprócz adwokatów istnieją jeszcze całe rzesze t. zw. „procuradores“ — doradców prawnych, którzy również chcą żyć. Gdy wyraziłem z tego powodu zdziwienie, pewien przygodny znajomy powiedział mi:

— Im więcej adwokatów, tym mniej prawa, — a procesów bez liku!

X. biskup Tibiletti, którego jurysdykcji podlegają nasze wiarusy misjońskie, jest ogromnie miły i niesłychanie uprzejmy. Nazywa naszych „chlubą i wzorem diecezji“. Opowiada z rozrzewnieniem, jak to podczas swej wizytacji po raz pierwszy w życiu widział polskie nabożeństwo. Takie wspańałe i serdeczne, aż łzy mu się cisnęły do oczu.

Z biskupiego pałacu kieruję się w stronę portu. Wielkie magazyny i hurtownie są w rękach Żydów, Syryjczyków lub Włochów. Żydzi jednak przeważają.

Obserwuję dwóch marynarzy w mundurach angielskiej marynarki. Na czapkach mają napisy: „Highland Monarch“. Z wielkich waliz podróżnych wyciągają różne płaszcze i jumpry. Gestykują żywo, jak gdyby zachwalając towar zgromadzonej publiczności. Jakiś pan opowiada mi, że to angielscy marynarze sprzedają za bezcen kontrabandę. Przechodząc jednak obok nich, słyszę najwyraźniej żargon żydowski,

przeplatany angielskim „all right“. Zorientowałem się w sytuacji.

Mówię do nich kilka słów po polsku. Najpierw przerażenie, a potem miłe zdziwienie:

— A to ksiądz też z Polski? Mi też — z miasta Łodzi. Jak to przyjemnie spotkacz rodaka, no nie?

Izak Finkelstein, „marynarz angielski“, zwierza mi się, że towar ten wcale nie jest kontrabandą. Zakupili go w jednej z hurtowni korientyńskich. Przebierając się jednak za marynarzy i sprzedając go jako kontrabandę angielską, mają zbyt nadzwyczajny. Słowo „ingles“ — angielski, elektryzuje wszystkich. Dzięki temu wybiegowi nagromadzili już sporo pieniędzy.

— Niedługo i ja wrócę do Ojczyzny, to się może zobaczymy! — rzucił mi na pożegnanie Izak Finkelstein, salutując z angielska.

Z Corrientes przeprowiam się parowcem na drugi brzeg Parany. Prawie 40 minut jazdy świadczy o fantastycznej szerokości tej rzeki. Na parowcu spotykam trzech Polaków. Byli w Corrientes, szukając pracy. Niestety! Kryzys paraliżuje wszystko.

Pracy coraz mniej.

Potem jadę do R e s i s t e n c i a, stolicy terytorjum Chaco. Dowiedziałem się bowiem, że mieszka tam 400 robotników polskich. Jest tam kilka fabryk, przeważnie angielskich, w których pracują nasi.

Miasto liczy około 20 tys. mieszkańców. Ulice niebrukowane. Kanalizacje i inne wygody miejskie są dopiero w projekcie. Za to parki śliczne, pełne palm i stawów, po których pływają śnieżnobiałe łabędzie.

Wieczorem przemawiam na salce restauracji „Varsovia“. Właścicielem „Warszawy“ jest Antoni Najda ze wsi Niewdowy, pod Przemyślem. Od niego i innych rodaków dowiaduję się o strasznym opuszczeniu Polaków. Materialnie może jeszcze nie najgorzej. Ci, co mają pracę, zarabiają trzy pezy dziennie. Jednak prawie połowa pracy nie ma. Pod względem zaś religijnym i moralnym jest jeszcze gorzej. Niewiara, rozpušta i pijaństwo szerzą się w zastraszający sposób.

Na drugi dzień polskie nabożeństwa i spowiedzi, a potem dalej w drogę przez dzikie Chaco.

Co to jest Chaco? Są to niziny, prawie bagna z charakterystycznymi niskopiennymi palmami. Niziny i bagna ciągną się w nieskończoność. Od Formozy do Boliwii i Paragwaju.

W dzikich stepach Chaco spotykałem dużo naszych przy budowie kolei. Wiarusy spod Lublina i Kielc! Obdarci, brudni, że nie do poznania. Niektórzy o poźółkłych i wybladłych twarzach. To ci, co chorowali na chorobę „chuchu“. Za dwa pezy dziennie narażają swe zdrowie i życie. A ilu ich tam było, nikt się o tym nie dowie. Ilu tu ojców rodzin zginęło, co przyjechali zarobić pieniądze na kupno kawałka pola w kraju, lub na spłatę tych długów mizernych, co na chałupie ciężły.

A ciężko im było umierać bez tych świętych Sakramentów i z dala od ojczystych stron. Zakopano ich bez trumny w dole na przydrożu. I krzyża nawet nie mają na grobie i nikt nie zapłacze, nie westchnie. Leśne puszczyki tylko w noc ciemną nad nimi się żalą.

Nie trudno tu o chorobę i śmierć. Wyżywienie marne. Praca w słońcu i na deszczu. Noce spędzane pod namiotami, które często wiatr ponosi. Chłody jesienne i zimna, robactwo i zarazę szerzące komary!

Śmiercią tu się nikt nie przejmuje. Dozorcy nawet się cieszą! Toć zarobek zmarłego zostanie w ich kieszeni. A dyrektorzy, kapitaliści angielscy, którzy budowę tę finansują? Kilka maszyn ludzkich ubyłó. Zastąpią je inne. Życie ludzkie, życie polskie, to dla nich nawóz kultury — i więcej nic!

Wzdłuż torów kolejowych w „srebrnej krainie“ setki grobów zapomnianych! Polskie tam bieleją kości! A kędy noc zapada, jęki słyhać bolesne. Duchy ich błędzą samotne i stepom się żalą i leśnej kniei.

Toteż wielu opuszcza pracę przy kolei. Nie czekają wypłaty, idą bez celu i planu. W daleki idą świat.

Na jednej ze stacyj spotykam gromadę Łowiczan. Bosi, obdarci, z workami na plecach. Pytam ich, co tu porabiają.

— Proszę Ojca, będziemy kargować!

„Kargować“ znaczy w żargonie polsko-hiszpańskim tyle, co „jechać na gapę“ pociągiem towarowym. „Treno de carga“ bowiem nazywa się po hiszpańsku pociąg towarowy.

Opowiadają mi, że już od miesiąca „kargują“. Uciekają z prowincji Jujui. A jazda taka niebezpieczna. Przed stacją zwykle zeskakują z wagonów, by ich policja nie przychwyciła. Gdy pociąg rusza, wdrapują się na dachy, chowają się pod brezenty, czepiają się osi, byle tylko jechać, uciekać — Bóg miły wie, dokąd.



Opowiadają, że stracili jednego towarzysza. Jechał na dachu wagonu, nie uważał i górna zapora rozbiła mu głowę.

Ogromne przestrzenie Chaco przerywa kolej francuska F. C. F. S. Wagony stare i brudne. Widać, że chodzi tylko o eksploatację pasażerów. Jak bowiem inaczej powiedzieć, jeżeli bilet do Santa Fé (485 km) kosztuje 50 pezów? Poza tym pociąg jest „mixto“ — mieszany. Wiezie więc ze sobą wagony, naładowane drzewem „quebracho“, z którego wydobywa się najlepszy garbnik na świecie.

Towarzystwo w wagonie rozmaite. Przeważają właściciele ziemscy „hacjenderzy“. Kochani to ludzie! Grzeczni, uprzejmi i gościnni aż do przesady. W czasie podróży zebrałem siedem cygar i kilka papierosów. Częstoują i proszą, a odmówić nie wolno. Uważano by to za nietakt. A że nie palę, więc chowałem to czarne i marne paliwo do teki. Tragarz w Santa Fé był z niego bardzo zadowolony.

Jednak jedną oni mają wadę — plują na wyścigi. Po bokach wagonu i na przedzie, wszędzie widnieją napisy, że „es prohibido escupir en el coche“ — zakazane plucie w wagonie, a nawet jeszcze doraźniej, że jest „mal educado“ — źle wychowany — ten, co pluje na podłogę. Cóż, kiedy mili moi towarzysze nie bardzo się troszczą o zakazy. Plują i basta!

Zwłaszcza jeden z nich, co siedzi tuż za moimi plecami, popisuje się w tym nie byle jakim sporcie. W odstępach trzyminutowych kurczy hałaśliwie mięśnie i wyrzuca swój niesamowity pocisk ponad moją

głową przez otwarte okno wagonu. Rzecz udaje mu się znakomicie. Raz tylko jeden zawodzi. Nie wiem, czy chybotliwy wagon zbyttnio podskoczył, czy też się zmienił kierunek wiatru, dość, że pocisk rozprysł się na moich plecach... Najpierw konsternacja, a po chwili podbiega przerażony „strzelec“, rękawem wyciera ślady pocisku, całuje mnie w rękę — i częstuje cygarem....

A pociąg pędzi dalej i znowu gwarzymy sobie o miłej Ojczyźnie, o kryzysach ekonomicznych i o wszystkim, co ciekawi tutejszego człowieka. Stada wystraszonych strusi pędzą z pociągiem w zawody. Lecą ciemną, zbitą, falującą gromadą. Idą przerażonym pędem, trzymając się blisko toru, jak gdyby zahipnotyzowane przez czarnego potwora.

Na drugi dzień dojeżdżamy, zziębnięci do S a n t a F é. Miasto kubek w kubek podobne do innych miast argentyńskich. Te same nazwy ulic, te same parki i awenidy.

W dniu naszego przyjazdu w pałacu rządowym przyjmowano nowego gubernatora. Miasto przybrane. Z gmachów rządowych i prywatnych powiewają biało-błękitne chorągwie. Przed pałacem odbywa się parada. Ma się wrażenie, że to przedwojenni żołnierze pruscy. Te same pikelhauby, mundury huzarskie, te same zwyczaje. Znać, że instruktorzy pruscy nie zaniedbali roboty.

Polaków w mieście „Świętej Wiary“ będzie około dwóch tysięcy. Są to, jak wszędzie, sami prawie robotnicy. Bezrobocie, jak gdzie indziej, ta sama bieda i tęsknota.

W Santa Fé odprawiam misję. Jest późna godzina wieczorem. Wszyscy ludzie już wyszli z kościoła. Tylko jakiś mężczyzna w sile wieku ciągle się modli i płacze.

Podchodzę i pytam się o powód jego smutku. Odpowiada mi, że nie ma pracy, ani pieniędzy. Przeto tak gorąco się modli, iżby ta Matuchna Boża to wielkie morze osuszyła. Potem już na piechotę poleci do wioski rodzinnej pod Przemyślem, do żony i dzieci, które daremnie wyczekują jego powrotu.

Przychodziło dużo ludzi do kościoła i świętej spowiedzi. Śpiewali z rozrzewnieniem i z całą potęgą stęsknionego serca. Niewielu jednak przyszło! Zepsuło ich otoczenie. W mieście „Świętej Wiary“ stracili wiarę i zapomnieli o Bogu. Zarobili nieco grosza, ale stracili duszę swoją. Byli i tacy, którzy publicznie się naśmiewali z świętych obrzędów i Bogu bluźnili i świętej Panience.

Biedne dusze zapomniane! Takie mizerne, bo zdała żyjące od Boga i Polski!

Trzeciego dnia późnym wieczorem pociąg uwoził mnie na południe. Leciał w ciemną, jesienną noc. Przystawał na zapadłych stacyjkach, które czekoladowy konduktor w khaki ochrypłym oznajmiał głosem. Windował się na kordobskie wzgórza, pocukrzone światłem śniegiem.

Po kilkunastu godzinach jazdy powitało nas „miasto kościołów“ — prastara „Cordoba la docta“. I znowu podniosłe czekały mnie chwile wśród polskich dusz i polskich serc.

## *Przez Kordobę i Rosario*

Cardoba la docta. Miasto kościołów. Res nostra misera. Polskie dni. Wniebowstąpienie w kamieniołomach. W karczmie „Pod Zieloną Wierzbą”. Rosario. W frigidarium. Ku ziemi urugwajskiej.

„Cordoba la docta“ — K o r d o b a uczona, tak nazywa każdy Argentyńczyk to miasto. Być może, że słusznie, uwzględniając tutejsze stosunki. Przecież właśnie w Kordobie powstaje pierwszy uniwersytet. Fundował go w roku 1613 arcybiskup Trecho y Sanabria. Dziś jednak uniwersytet kordobski nie stoi na tym poziomie jak na przykład uniwersytet w Rosario.

Na stu profesorów jest zaledwie 10 zawodowych. Reszta, to przygodni docenci, których wysunęła partia rządząca. Przecież trzeba się było im wywdzięczyci za różne przysługi. Przyjdzie do steru inna partia i usunie dawniejszych, a swoi obejmą ich katedry. Oczywiście, że nauka cierpi na tym ogromnie.

Profesorowie płatni są nienadzwyczajnie. Za katedrę (3 wykłady tygodniowo) pobierają 400 pezów. Mają jednak zazwyczaj dwie katedry. Poza tym prawie każdy z nich ma jakieś poboczne zajęcia.

Kordobę nazywają również „miastem kościołów”. Jeśli chodzi o architekturę w naszym pojęciu, to nie

tu nadzwyczajnego. Wspaniała i pod względem architektonicznym bez zarzutu, jest jedynie katedra. Pochodzi ona z 16-tego wieku. Poza tym kościół oo. Dominikanów oraz stare krużganki w klasztorze oo. Franciszkanów, oto wszystko, co było by godne widzenia.

Inna rzecz, że „miasto kościołów“ jest w Argentynie stolicą katolicyzmu. Katolicy są tu świetnie zorganizowani. Posiadają np. największy dziennik w Argentynie — „Los Principios“. Szkoły państwowe nie bardzo przepełnione. Za to gimnazja i internaty zakonne liczą około 5000 uczniów.

I w tej oto Kordobie nie brak i naszych rodaków. Jak zwykle, biedni, opuszczeni. Włosi mają milionowe fortuny. Niemcy obsadzają wysokie stanowiska po fabrykach swoimi inżynierami, a Hiszpanie i Syryjczycy posiadają tu najpiękniejsze magazyny!

„Res nostra misera!“ Warsztat krawiecki „Cracovia“, prowadzony przez p. Wilkosza z Krakowa i restauracyjka p. Milera z Wilna, oto wszystko. Reszta, to robotni lub bezrobotni, jak się przydarzy. A że niejeden zagląda do kieliszka, a przy tym łatwo się zapomina, nie trudno odgadnąć, że „Polaco“ nie ma opinii zbyt dobrej.

I przyjeżdża tu naraz polski ksiądz. Robi się ruch w kolonii polskiej. A i miasto dowiaduje się o Polsce, o polskim katolicyzmie, jako że prasa chętnie zamieszcza odnośne uwagi, a i wywiady czyni samorzutnie.

Misja polska odbywa się w kościele Misjonarzy Niepokalanego Poczęcia. Rodacy przychodzą groma-

dnie. Modlą się i śpiewają pieśni nasze z całym zapałem i tęsknotą wezbranego serca.

„Chwalcie łąki umajone, chwalcie doliny zielone“ — śpiewamy, jako że na świecie maj, choć jesień tu teraz i chłody jesienne. A kiedy śpiewamy pieśni majowe, to z wysokich topoli deszcz się sypie liści pożółkłych i na chodnikach złote się ścielą kobierce.

Z dnia na dzień coraz więcej ludzi. Boć odrazu nie można było wszystkich uwiadomić. Przychodzą mimo deszczu i słoty. A tym zapałem budują tutejszych, którzy nasłuchać się nie mogą tych melodyj polskich. I rosną w ich oczach. A z ust do ust idą słowa podziwu:

— Patrzcie, jak oni potrafią śpiewać — i to z pamięci. Musi to być naród kulturalny!

Na zakończenie misji xx. Salezianie zapraszają przedstawicieli naszej kolonii na wspólny obiad. Na każdym kroku, okazują im dużo życzliwości. A i na przyszłość ofiarują swą pomoc w każdej potrzebie.

Rodacy nasi rozproszeni są po całej prowincji kordobskiej. Dużo ich pracuje w kamieniołomach. Właściciele są zadowoleni, jako że inni łatwo się buntują, a nasi pracują rzetelnie i pokornie znoszą wszelkie niewygody.

W kamieniołomach Dumesnil pracuje około 300 robotników polskich. Zarabiają przeciętnie 3 pezy dziennie. Mają się nieźle, choć praca ciężka i męcząca. Urzędnicy prawie sami Niemcy. Dyrektor Springer jest również Niemcem. Ilekroć w prasie niemieckiej jest jakaś naganka przeciwko Polsce, niezwłocz-

nie odbija się ona na dumesnilskich robotnikach. Wyzwiska i obelżywe słowa padają pod adresem Polski! A robotnik nasz zęby zacina, choć krew mu się burzy. Milczy jednak z obawy, aby nie stracić pracy na zawsze. —

Wniebowstąpienie Pańskie mamy obchodzić w kamieniołomach. Rano już jestem na miejscu. Wstaje cudowny poranek, a w słońcu porannym lśnią się kordobskie góry, śniegiem majowym lekko przyprószone.

Nabożeństwo pod gołym niebem, jako że właściciel nie chciał nam oddać sali. P. Mineti bogaty, bo licząc go na 100 milionów pezów. Ale czyż on się tym przejmuje, że Polacy nigdy nie mają nabożeństwa i w opuszczeniu żyją i zaniedbanu! Uważał za wielką łaskę, że w dniu tym zwolnił ich od pracy. Bo inni tłukli kamienie, mimo świętej uroczystości...

Wniebowstąpienie w kamieniołomach! Stali rodacy zziębnięci w koło ołtarza Bożego. Z uwielbieniem wpatrywali się w tego Jezusinka, w świętej Hostii ukrytego. Bo i on taki biedny, bez dachu nad głową... I żalność ich chwyciła za gardła, tak że popłakiwali sobie społem, jako że im kraj się przypomniawszy drogi. A potem z całą mocą wierzącej duszy pod niebiosa rzucili pieśń Wniebowstąpienia:

„Przez Twoje święte Wniebowstąpienie, Boże odpuść nam nasze zgrzeszenie...”

Na drugi dzień 50 km w góry kordobskie do kamieniołomów El Sauce. Na wysokości 800 m nasi tam rąbią marmury i granity. Pracuje ich kilkudziesięciu. Jakby się dobrali — wszyscy bowiem z powiatu piń-

czowskiego. Sprawują się nieźle, jak mi mówił p. Allende Posse, właściciel kamieniołomów. Ceni nawet więcej Polaków, aniżeli Hiszpanów i Włochów.

— Naród potulny, a robota aż mu się pali w rękach, — przychwalał sobie bogaty Argentyńczyk.

Pińczowianie ucieszyli się przybyciem księdza polskiego. Toć po raz pierwszy mieli usłyszeć słowo Pańskie na tym odludziu. A i z grzechów swoich chcieli się wyspowiadać, jako że od wyjazdu z kraju nigdy po temu nie było okazji.

Wieczorem gromadzimy się w karczmie „Pod Zieloną Wierzbą“. Tak, w karczmie muszą się odbyć rozmowy pobożne i śpiewy. Innej bowiem izby nie ma pod ręką. Płyną więc śpiewy nabożne pod powałę karczemną, to znowu milczenie zalega izbę. Naród wsłuchuje się w słowa kapłańskie i te napominania, by każdy pamiętał o duszy swojej, którą tak łatwo zatracić na obcej ziemi. I niejednemu pot pokrył czoło, i oczy rozbłysły i dreszcz go przechodził mocny, ognisty.

Potem wszyscy na kolana się rzucili, a ze skruczą powtarzali słowa kapłańskie, słowa żalu i postanowienia poprawy. Jako przed bitwą żołnierze się korzą przed Bogiem i żal wzbudzają społem, tak i naród pińczowski przed Bogiem się kruszył i w duchu się kajał.

Potem odbywała się spowiedź św., aż do północy! Nazajutrz nabożeństwo i święta Komunia pod gołym niebem. Śniegi się skrzyły po górach, posepna białość widniała wszędzie. Pińczowianie śpiewali pieśni nabożne jedną za drugą. Dopiero czasu Komunii przy-



cichli. Trwali w świętym rozmodleniu. Nikt nie drgnął, nikt się nie zakochał. A cichość była głęboka, że tylko ptak jaki niekiedy załopotał skrzydłami.

A ten Jezusinek z ołtarza zszedłszy, do ich dusz wstępował biednych. Niebo się rozwierało i aniołki Pańskie na bielusińskich skrzydłach na ziemię się spuszczały. A nadziwić się nie mogły tej polskiej uroczystości w dalekiej „srebrnej krainie“...

I znowu dalej. Tym razem 600 km na północ do Rosario.

„Rayo del Sol“ — Promieniem Słonecznym nazywa się ekspres, który łączy Kordobę z największym, po stolicy, miastem w Argentynie. „Promień Słoneczny“ pędzi w ciemną i głuchą noc. Pędzi po mostach dudniących, po zwrotnicach i zakrętach w szalonym tempie. Nie przystaje nigdzie. I zanim świty jęły się kłaść na szarawym niebie, już staliśmy u celu.

Rosario, czyli miasto Różańca św., zawdzięcza swój rozrost głównie rzece Paranie. Do portu rosaryjskiego zawijają ogromne okręty transoceaniczne o pojemności 6 tys. tonn i więcej. Przywożą wszystko, czego tylko potrzeba. Najnowsze maszyny amerykańskie i angielskie znajdują tu tysiące nabywców. Rzemiosło i przemysł posługują się tu najlepszymi maszynami. Gdy maszyna się zepsuje, rzuca się ją w ką; nikt nie myśli o naprawie. Nowych maszyn przecież pod dostatkiem, a kredyty nęcące i spłaty wygodne.

Zresztą Amerykanie, czy Anglicy, co chwilę ulepszą wyroby, a każda nowość imponuje ludziom tu-tejszym. Co prawda kryzys trochę psuje interesy.

Lecz mimo to Argentyńczyk nabywa, — bo na razie nie potrzebuje płacić. Pociesza się, że jakoś to będzie.

Nasi, jak wszędzie, rozproseni po przedmieściach, kędy ulice niebrukowane i owa nędza ludzka żywi się byle czym. Wielu z nich bez pracy. Chodzą od fabryki do fabryki i szukają zajęcia. Jak zwykle, daremnie. A na drugi dzień to samo. Żyją nadzieją, że kiedyś zarobią trochę grosza i potem powrócą do kraju. A miesiące mijają i pracy nie ma, a listy z domu coraz smutniejsze, to nadzieję stracić łatwo. A potem — o nieszczęście nie trudno.

Niektórzy nawet żebrzą. Obserwuję taką scenę. Ulicą Presidente Roca idzie sobie nasz chłop. Biedny, obdarty. Onieśmielony rozgląda się dokoła. Szybkim krokiem nadchodzi murzyn, dobrze ubrany, handlarz, a może niższy urzędnik. Chłop błyskawicznym ruchem chwyta rękę murzyna i — całuje. Murzyn ogromnie uradowany daje mu kilka groszy. — Myślałem, że spłonę ze wstydu.

Wielu rodaków naszych pracuje w „frigorifiku“ — zamrażalni mięsa. Są to ogromne rzeźnie, fabryki i przechowalnie mięsa, przeznaczone na eksport.

Jedno trzeba podnieść na chwałę rodaków rosaryjskich. Mają nieźle zorganizowane towarzystwo i posiadają własny dom dla zgromadzeń. Przy ulicy S. Nicolas 831 dumnie powiewa sztandar polski. A że to domek schludny i ładnie położony, więc godnie reprezentuje drogą Ojczyznę.

Przez trzy dni w kościele św. Michała odprawiały się polskie nabożeństwa misyjne. Były to chwile ra-

dosne, pełne ukojenia i pociechy w ciężkiej doli tułaczkiej. U stóp Bożych Ołtarzy gromadziliśmy się spodem. A usta nasze przysięgi składały na wierną służbę dla Boga i Polski.

Czwartego dnia ekspres uwozi mnie hen daleko ku brzegom Atlantyku, kędy w świat szeroki wychodzą okręty. W parę dni później „General Artigas“ niesie nas bezpiecznie do ziemi urugwajskiej, do braci ukochanej, gdzie polskie biją serca.

## W stolicy Urugwaju

Zachłanni *cargeiros*. Konsul polski. Miasto. Palacio Legislativo.  
Drogie plaże. Zwi Migdal. W montevideańskiej katedrze.

Z Argentyny szczęśliwie przybyłem do Urugwaju. Gdy w Montevideo opuszczałem pokład statku „General Artigas“, był chodny poranek majowy. Wysiadło nas niewielu pasażerów, jako że ludziska teraz, wskutek kryzysu, mało podróżują. To też na nasze bagaże rzuciła się cała czereda czekoladowych „*cargeiros*“ — tragarzy. Krzyki, przekleństwa. Jeden wdziera drugiemu. Dwóch nawet w naszych oczach wymierza sobie sprawiedliwość.

Dowiaduję się, że tragarze liczą sobie za fatywę jednego peza urugwajskiego. Pez tutejszy spadł wprawdzie o połowę, ale zawsze jednak kosztuje pięć naszych złotych. Postanawiam więc zrezygnować z natrętnej usługi, tym bardziej, że kieszeń kurczy się z dnia na dzień w przerażający sposób.

Dwie walizki, torba, aparat i parasol — oto cały mój bagaż. Zabieram swe manatki i tak obładowany maszeruję do gmachu celnego. Myślę bowiem, że to gdzieś blisko. Krok w krok za mną postępuje tragarz, którego poprzednio odpaliłem. Sprytny mulat widocz-

nie wykombinował sobie, że księżynie w końcu zabraknie tchu. Wiedział bowiem, że do cła, to spory kawałek.

Przystaję po raz pierwszy. Mulat również, spo-  
de Iba spoglądając na swą „ofiara”. Idę dalej. Mój  
prześladowca również. Staję po raz drugi. Cargeiro  
zaczyna mnie kusić:

— Za głupiego peza będziecie się marnować? Dziś  
człowiek żyje, a jutro go nie ma!

Pokusę zwyciężam i idę dalej. Mulat apeluje do  
mego serca. Powiada, że wprawdzie obejdę się bez  
jego pomocy, ale mam się zlitować nad jego dziećmi,  
które wczoraj nie jadły wieczerzy. Miętko mi się zro-  
biło na sercu. Zmiękł również i mulat, bo żądał już  
tylko połowę. Zmieniliśmy więc swoje role. Mulat  
dźwigał, a ja szedłem przy nim.

Celnik, to dusza nie człowiek. Nawet waliz nie  
pozwolił otwierać. Prosił tylko o medalik. Dałem mu  
medaliczek M. B. Częstochowskiej. Dowiedziawszy się,  
że to Matka Boża „de Polonia“, był setnie zadowolony  
i mówił, że medalik przyniesie mu szczęście.

Potem dostaję się w ręce p. Edwarda Łukasiewicza,  
honorowego konsula R. P. Konsul pochodzi z rodziny  
powstańczej spod Lublina. Urodzony i wychowany  
już w Montevideo, po polsku nie umie. Dumny jest  
jednak ze swego urzędu. I przyznać należy, że spra-  
wuje go godnie. Wygłasza odczyty, pisuje potrzebne  
artykuły o Polsce współczesnej, słowem, dobrze się  
przysługuje naszej Ojczyźnie.

Stolica Urugwaju jest prawie, że samym Urugwajem. Liczy bowiem 700 tys. mieszkańców. Cały zaś kraj zamieszkuje około półtora miliona ludzi. Bogactwo kraju przyczyniło się do rozwoju stolicy i wzbogacenia się Montevideńczyków, którzy niejednokrotnie fantastyczne nagromadzili fortuny.

Miasto podobne do innych miast południowo-amerykańskich. Szerokie awenidy, wspaniałe parki, pełne egzotycznych kwiatów i palm rozmaitych. Na każdym placu pomnik jakiegoś bohatera urugwajskiego.

Na „Placu Wolności“ wzniesiono gigantycznych rozmiarów pomnik gen. Artigasowi. Artigas, to duma i chluba narodu. On to wywalczył narodowi wolność i swobodę. To też dziś każdy ze czcią wymawia jego imię. Znaczkę pocztową, zeszyty szkolne i pieniądze noszą jego podobiznę.

Przy „Placu Wolności“ znajduje się 25-piętrowy drapacz „Salvo“. Zbudował go tutejszy krezus, fabrykant wełny. Przyznać należy, że drapacz nie razi. Zakończenie w formie kopuły, wieże, wieżyczki i gzymсы o łagodnych liniach, wszystko dostraja się do pięknego otoczenia. I zdaje się, że Atlantyckie i wysmukłe palmy, co przy nim straż dzierżą odwieczną, przebaczyły ludziom ten wybryk.

— Jak się podoba nasza stolica?

Oto pierwsze pytanie każdego Montevideńczyka.

A drugie stawione z całą pewnością siebie.

— Czy Padre już widział Palacio Legislativo?

I obraziłby się tutejszy człowiek na śmierć, gdyby się nie zwiedziło tego najpiękniejszego gmachu stolicy.

To też już na drugi dzień konsul oprowadza mnie po obszernym Palacio.

Ładny bo ładny. Ściany zewnętrzne i wewnętrzne z najcenniejszych marmurów. Bronzy, mozaiki, kryształ, istne wysilenie przepychu i wykwintu. Sala sejmowa bogata w rzeźby, symboliczne figury i złoto. Sala senatorów nieco mniejsza, jako że tylko 16 senatorów liczy Urugwaj. A dla każdego senatora zbudowano biurko z mahoniem i brązu. Kanapa zaś taka, że senator w niej tonie. Przy kanapie posrebrzana spluwaczka ogromnych rozmiarów.

Pomyślałem sobie w swej naiwności, że takie senatory, olśnione przepychem i rażone blaskiem reflektorów, umieszczonych za jońskimi głowicami, chyba języka w ustach zapominają. Pocięszał mnie jednak p. Łukasiewicz, że bywa tu nieraz bardzo gorąco. Ostatnio dwóch senatorów za bary się wodziło. I to nie byle jak.

Dowiaduję się z przerażeniem, że Palacio Legislativo kosztował „tylko“ 20 mil. dolarów. Ale jak już, to już! Gmachowi brakowało oddechu, czyli perspektywy! Więc burzy się teraz całe ulice, a nawet bazylika M. B. z Karmelu ulegnie zniszczeniu.

Konsul pokazuje mi obszerne plaże nad Oceanem. Spokojny jak jezioro Atlantyk i wielkie wstęgi piachu, ciągnące się na przestrzeni kilkuset kilometrów, wszystko to sprawia, że plaże urugwajskie należą do najpiękniejszych na świecie. Nie radzę jednakże tu nikomu przyjeżdżać, bo morze bardzo słone, a jeszcze słodsze koszty utrzymania. W hotelu Carrasco pokój

na trzy osoby wraz z utrzymaniem kosztuje 30 pezów dziennie.

Czy w Montevideo są Polacy? Naturalnie, bo gdzieżby ich nie było? Ilu? Około 12 tysięcy. Ale z liczby tej tylko około 3 tysięcy czystych Polaków. Reszta to Ukraińcy i Żydzi. Ostatnio dużo Żydów przybyło tu z Buenos Aires. Urządzono tam bowiem wielką obławę na handlarzy żywym towarem, skupionych w silnym związku „Zwi Migdał“. Dodać należy, że związek ten nazywał się pierwotnie „Varsovia“. Do zmiany nazwy przyczyniła się dopiero interwencja poselstwa polskiego.

Ale i w Montevideo zaczęto prześladować filię „Zwi Migdału“. W czasie mego pobytu przewożono uwieczonych kupców na „Wyspę Kwiatów“. Mają tam pokutować za swoje winy i ludzkie krzywdy. Znajomi mówili mi jednak, że wygnanie niedługo potrwa. Migdałowcy mają złoto. Złoto nęci, a w policji urugwajskiej nie wszyscy święci...

W konsulacie polskim przy Calle Pedras 489 od rana do wieczora panuje ożywiony ruch. P. Szuman, sekretarz konsulatu, pochodzący z Poznania, jest przemęczony pracą. Na schodach, w przedpokoju, w poczekalni pełno klientów. Są to prawie sami Żydzi.

O co chodzi? Chcą mieć wizę na powrót do Polski. Wszyscy są tacy biedni, stęsknieni „za najdroższe ojczyzne“.

— Panie sekretarz! — woła z lamentem Icek Apfelbaum, — ja jest mocno chory. Ja przed śmiercią chce zobaczyć kochane Polske.



Ale p. Szuman jest nieubłagalny. Czasami przed oczyma błysnie mu 50-dolarówka. Czasem inna obietnica obije się o jego uszy. Daremnie. Stoi twardo, po poznańsku, Chrobrych obyczajem!

Wie przecież dobrze, że ci ludzie, to bez wyjątku sami handlarze ludzkich dusz.

Prócz tych szumowin są tu również Żydzi, którzy Polsce wstydu nie przynoszą. Cieszą się dobrą opinią, a nawet na cele polskie niejedną składają grosz.

Polacy nasi sprawują się nieźle. Ale ciężkie przeżywają czasy. Ci, którzy pracują, zarabiają peza dziennie. Znaczna część pozostaje jednak bez pracy. Pracę znaleźć, to znaczy wygrać wielki los. Można i teraz gdzieś się „wkręcić“. Trzeba jednak „kapatasowi“ — przodownikowi, dać jakieś 15 pezów napiwku. Ale po miesiącu znowu z pracy wydalają i trzeba by nowe dawać napiwki. Źle więc, bardzo źle!

Widziałem ojców rodzin, co prawie bez zmysłów chodzili nad brzegiem Oceanu. Za ostatnie grosze wyjechali z domu, bo agenci obiecywali im złote góry. A teraz ani pracy, ani nadziei powrotu. Płakali przy mnie, jak dzieci. I morzu się żalili i niebu. Nieszczęśliwi wygnańcy!

W Montevideo odprawiły się dwie misje polskie. Jedna na przedmieściu Serro, druga w samej katedrze.

Jak Urugwaj Urugwajem, nigdy tu nie było polskiego nabożeństwa. Montevideo nigdy nie słyszało śpiewu polskiego.

Zwłaszcza nabożeństwa misyjne, odprawione w katedrze, na długo zapiszą się w pamięci naszych rodaków. Gromadzili się nasi w liczbie około tysiąca. Przyносили swą wiarę, nieco może osłabłą i swój ludzki ból. I przed Bogiem się korzyli i modlili się i śpiewali. I dusze im całkiem stajały od gorącości i serca się zapamiętały w wielkiej lubości. Każdy nerw dygotał w błogim rozmodleniu. Oczy weselem się jarzyły i radością. A z ust ich wydobywała się pieśń taka mocarna, prawie ogłuszająca, że aż mury prastarej katedry zdrząły z podziwu i uwielbienia.

I tak odbywało się przez cztery dni, w późną noc. X. arcybiskup wzruszony tą wiarą Polaków, ich modlitwą i śpiewem, rozporządził, aby w niedzielę, 31 maja, sumę odprawił polski ksiądz. A lud nasz miał śpiewać pieśni polskie.

I tak się stało. Przyszło dużo obcych, aby się przysłuchać temu dziwnemu nabożeństwu. Nasi spisali się nadspodziewanie. Wiedzieli bowiem, że ich śpiewu słucha sam dostojnik kościelny i te tłumy ciekawych, zebrane z całej okolicy. Pełnymi pierściami z mocą ogromną już nie śpiewali, ale krzyczeli, jęczeli, że aż światła na ołtarzach drząły. A w końcu tak się zwarli głosami i wiarą, że jakby jeden głos śpiewał i bił pieśnią ogromną, ze wszystkich serc rwącą — w niebieskie krainy.

Tegoż dnia Antoni Wilcz z pow. jarosławskiego przyjął komunię św. o godz. 8 wieczorem. Cały dzień pracował na czczo, bo chciał przyjąć święty Sakrament, a pracy opuścić nie mógł. Więć i ten i inne fakty po-

dawała prasa tutejsza i imię Polski sławiła serdecznie.

W Boże Ciało nasi wzięli udział w uroczystej procesji z polskim sztandarem. Śpiewali pieśni polskie, zadziwiając całą stolicę.

Nie zawsze docenia się dostatecznie znaczenie duszpasterstwa polskiego na wychodźstwie. Montevideo daje nauczkę! Byli tam różni wysłannicy czy oświatowcy, aby skupić element polski. Wysilek daremny. A kilka zaledwie dni pobytu księdza polskiego zelektryzowało uśpione masy. I życie nowe w nie tchnęło, życie Boże i polskie. I Polska na tym zyskała, a sprawa Boża święciła triumfy.

## Z powrotem do Brazylii

Ku brazylijskim łądom. Lepiej chlib ze solą. Polskie dusze na Oceanie. Rio Grande do Sul. Do krainy Zielonych Brzuchów. Tramwaj konny. Wspomnienia Pewuki. Procesja Bożego Ciała.

Był słoneczny dzień czerwcowy, gdy „E u b é e“ opuszczała wody urugwajskie, kierując się ku łądom brazylijskim.

Pasażerów mało, w klasie pierwszej zaledwie 12, a w drugiej ja sam, jak kołek. Czytam, to znowu spoglądam w dal zamroczoną, siną — tam, kędy Poznań i Ojczyzna ukochana. Raz po raz zbliża się gadatliwy steward i niestworzone opowiada rzeczy.

Często schodzę na pokład trzeciej klasy. Jedzie tam kilku emigrantów naszych. Opuścili „raj argentyński“ i wracają do domu. Krakowiak Florian ze Ś w i e s z y c, powiatu sandomierskiego, Marcin Niemiec z O k n a, pow. skałackiego i Tomasz Biedziński z O s i e k a — nie posiadają się z radości. Nie mogą się doczekać chwili, kiedy znowu ujrzą o j c z y s t e s t r o n y.

Cztery, pięć lat z dala od Polski, w wiekuistej zawsze włóczędze!

— Lepiej chlib ze solą w Polsce, jak w tej Argentynie placek i okrasę — mawiają.

Na drugi dzień rano burza! „Eubée“ przewala się z boku na bok. Fale z łoskotem uderzają o ściany i z przeraźliwym rykiem wpadają na pokład.

Mimo wszystko odprawiam Mszę św. na dolnym pokładzie. Przecież jutro już statek opuszcze. Niech się więc nasi ucieszą polskim nabożeństwem. Dziwne to nabożeństwo! Ksiądz jedną ręką trzyma kielich, drugą się przytrzymuje, żeby się nie wywrócić. Po bokach klęczą ze świecami Marcin Niemiec i Tomasz Biedziński. Krakowiak Florian trzyma ampułki z wodą i winem. Reszta również na klęczkach, żeby nie tracić równowagi.

Mimo gromów, mimo burzy śpiewają. Śpiewają z wdzięcznym sercem dla Boga, że ich wyrwał z domu niewoli i ku rodzinnym prowadzi brzegom. A pieśń ich dziękczynna płynie skroś te morskie odmęty i burze i gromy. Może ją Polska usłyszy, — Ojczyzna droga!

„Eubée“ zbliża się do brzegów. Pilot brazylijski bezpiecznie prowadzi nas do portu. Potem jeszcze zabieramy policję, cło i wszystkich innych prześladowców spokojnego podróżnika. Jenó, że te brazyłuchy, to grzeczny naród. Wiecznie zadowoleni i uśmiechnięci, a uczynni, jak się patrzy. Naprawdę tęskniłem za nimi, włączając się ostatnio po obcych lądach i krajinach.

Potem żegnam się z naszymi wiarusami. Trochę im zazdroszczę, że za trzy tygodnie już stąpać będą po polskiej ziemi. Ale i oni woleliby, abym jechał z nimi,

boć i n a b o ż e ń s t w o mieliby codziennie i dowiedzieliby się rozmaitych rzeczy.

Rio Grande do Sul jest najbardziej na południe wysuniętym portem Brazylii. Miasteczko położone nad zatoką robi miłe wrażenie. Mieszkają tu również i Polacy. Coś około 2 tysięcy.

Jest tu towarzystwo polskie, dość ruchliwe. A w szkółce polskiej uczy dzieci p. Stabrowski z Poznania. Pan Czerny został profesorem łaciny w gimnazjum miejskim. Za 6 lekcyj tygodniowo pobiera 600 mil-rejsów miesięcznie. Wacław Sienka jest restauratorem i dostawcą wina. Ruszają się więc nasi rodacy, jak mogą.

I znowuż w Brazylii! I znowuż „bom dia“, „boa tarde“ — „i como vae“! Ludzie się obejmują i klepią po plecach. Taki tu bowiem zwyczaj powitania. Nie słyhać przekleństw i widać dużo wesela.

Na szyldach, w ogłoszeniach znowu te same nazwiska. Dźwięczne, bardzo długie, ale brzmiące nieraz humorystycznie — jak Pinto Rebello — kurczę zbuntowane, Ferreira Pereira — kowal grusza, Farinha dos Santos — mąka świętych.

Kawiarnia przy kawiarni! I zawsze w nich pełno. Popijają sobie ludziska czarną jak smoła kawę i śmieją się i gwarzą godzinami. Nie dużo to ich kosztuje. Filizanka mokki 100 rejsów. Więc też piją na umór. Po dziesięć filizanek i więcej. Za to alkoholu używa się bardzo mało.

W Rio Grande odbyły się polskie nabożeństwa. Lud do Sakramentów św. garnał się i korzył się przed Panem nad Pany!

Znowu dalej. „Commandante Capella“, należący do Lloydu brazylijskiego, uwozi mnie do stolicy „Zielonych Brzuchów“. „Barrigas Verdes“ nazywają powszechnie mieszkańców stanu św. Katarzyny. A to dlatego, że podczas wojny paragwajskiej odznaczył się batalion, wystawiony przez ten stan. A żołnierze ci nosili szerokie, zielone pasy, jako że taki był zwyczaj. Zielone pasy już dawno znikły, ale nazwa pozostała.

„Commandante Capella“ nie wjeżdża do portu, bo mu bardzo spieszą. Wyrzuca po prostu pasażerów na pełnym morzu i jedzie sobie dalej. A biedne pasażery przeżywają prawdziwe emocje. I dopiero po dwugodzinnej podróży małą motorówką docierają do przystani.

Florianopolis, stolica „Zielonych Brzuchów“, leży na dość dużej wyspie. Ostatnio połączono ją żelaznym, wiszącym mostem ze stałym lądem. Przedtem wyspę i osadę nazywano Desterro, jako że tu deportowano złoczyńców i inne szumowiny. Później jednak powstało miasteczko, a z acnym obywatelom tutejszym nazwa ta nie przypadła do gustu. Więc nazwano je na cześć wielkiego marszałka Brazylii Floriano Peixoto — miastem Floriana czyli Florianopolis.

Miasto, położone nad Atlantykiem, otoczone z trzech stron wysokimi górami, przypomina nieco Neapol. Są i budynki okazałe. Parki starannie pielęgnowane. Obli-

cza Zielonych Brzuchów jak kołacze wielkanocne, zawsze zadowolone, świadczą o pełnym żołądku i kieszeni!

Jest nawet tramwaj miejski, co prawda wąskotorowy i w trzy chude muły zaprzężony. Ale zawsze tramwaj, oznaka kultury. Za 200 mizernych rejsów przejedziesz wszerek i wzdłuż z „błyskawiczną“ szybkością. Czasem motorowy z długim batem w ręku zbyt się rozmacha. Więc bat chłaśnie przestraszoną twarz pasażera. Ale w tej samej chwili konduktor staje i przeprosza poszkodowanego. Bo wszyscy są tu rycerscy i uprzejmi, od burmistrza począwszy a skończywszy na motorowym z długim batem.

Polaków dwadzieścia rodzin. Najbogatszy jest stary Szpoganiec, kupiec. Także i Kowalski dorobił się ładnego grosza. Ostatnio odwiedził on nawet Polskę, a wróciwszy do siebie, umieścił Orła Białego na szybie swego domu. Każdy sądzi, że tu mieszka poseł lub konsul polski.

Na drugi dzień po przyjeździe odbyła się procesja Bożego Ciała. Inne tu naturalnie obyczaje. W szeregach kroczą setki aniołków z wielkimi, bielusięnkami skrzydłami. Idą chłopczyki małe, poubierane jako św. Alojzy i Stanisław, dziewczynki jako św. Tereska, Łucja i Agnieszka. Idzie nawet pięcioletni Pan Jezusek z cierniową koroną na główce i z czarnym krzyżem na ramionach.

Niezapomniany był to widok, gdy procesja szła brzegiem Atlantyku. W złocistej monstrancji, niesionej na rękach arcybiskupa, kroczył Ten, któremu huczą wody i słońce świeci. Tysiące głów pochyliło się



kornie i tysiące kolan zgięło się przed Jego Maje-  
statem. I osnuwali się ludzie w rozedrgany, mieniący  
się barwami obrzęd cudowności. Dusze się wznosiły  
i przysłaniały się oczy na wszystek świat szary i bied-  
ny... I płonęły niby te Boże pochodnie i jak te gołę-  
bice wznosiły się ku Temu, co jest Drogą i Prawdą i Ży-  
wotem...

## *Żniwo wielkie*

Katastrofa. X. Lassberg. Walsugane. Pinierscy gospodarze.  
Przed obrazem Częstochowskiej. Misje św. Nowa Galicja.

Mimo zimy, ranek był ciepły, przeźroczystry jako ta woda w źródle, kiedym na drugi dzień zdążył do *Nova Trento*. Lasy w koło stały w fioletach i granatach. Pierzyste obłoczki snuły się leniwie po niebie. Na polach zbierano kukurydzę. Zrywano dojrzałe kaczany z zeschniętych badyli i do pajorów zwożono spieszenie.

Omnibus pędzi krętymi drogami w górach. Nad przepaściami wije się karkołomną brawurą. Drogi wąskie i śliskie po deszczu. Ale szofer młody, roześmiany, a oczy ma sokole. Więc ludzie spokojni.

Nagle wóz się ześlizguje... Hamulce wypowiadają posłuszeństwo. Lecimy w dół...

Krzyki przerażenia! Na szczęście wehikuł zatrzymuje się, zahaczywszy o kępę palm. Potłuczone szyby! Podrapane i pokrwawione twarze; jedna ręka złamana i więcej nic! Wyciągają nas na wierzch. Bogu dzięki! Mogło by być gorzej. Dobry jest Pan Bóg, że stworzył palmy, a ludziom zsyła stróże-anioly.

Windujemy się na drogę! W pierwszej chwili na twarzach maluje się przerażenie. Ale już krótko potem, gdy minął strach, ludzie się śmieją. Tacy są bowiem Brazylijanie. Czekamy pomocy. Dwie godziny mijają, ale nikt nie nadjeżdża.

Ludzie zaczynają się nudzić. Więc ktoś wyciąga pistolet i zaczyna celować do pomarańczy na drzewach przydrożnych. Jak na zawołanie wszyscy dobywają sześciostrzałowych „Szmitów“ i nuż palić do wcale oryginalnego celu. Pomarańcze spadają jedna za drugą. To jeszcze więcej roznamiętnia strzelców i rozpoczyna się regularna kanonada.

Wreszcie nadjeżdża inny omnibus i zabiera nas do pobliskiego miasteczka. Rannych odstawiają do szpitala. Zdrowi, choć podrapani, w dalszą udają się drogę.

Po ośmiogodzinnej podróży stanąłem w Nova Trento. Józek Michalskiego z Pinieralu już czekał z wozem. Miało się jednak ku wieczorowi, a i deszcz zaczął przepadywać. Więc postanowiliśmy wyruszyć nazajutrz rano.

Nova Trento fundowali Włosi z Tyrolu, pięćdziesiąt lat temu. Dziś to miasteczko powiatowe, choć domów nie liczy ponad sto. Domki ładne i schludne. Ponad wejściem do każdego domu zawieszono żelazny krzyżyk. Śnać, że te włoskie Tyrolczyki — pobożny wielce lud.

Pokazuje mi wszelkie osobliwości tej miejsciny X. hrabia Lassberg, jezuita. Jezuci bowiem sprawują duszpasterstwo w miasteczku i całym rozległym powiecie. X. Lassberg, osiemdziesięcioletni staruszek, na-

uczył się po polsku i od wielu lat opiekuje się Polakami w tutejszej okolicy.

Za staraniem staruszka powstaje tu ładny szpitalik, na który łożą także nasi rodacy. Pokazuje mi on wszelkie urządzenia. Widać, że jest dumny ze swego dzieła. Zachodzimy potem do Sióstr ze Zgromadzenia Niep. Poczęcia. Spotykam tam dwie nowicjuszki z polskich kolonii — Elżbietę Krzyżanowską z Pinieralu i Annę Sumkównę z Weado. Mówią ślicznie po polsku i w klasztorze podoba im się bardzo. Z medalika Częstochowskiej ucieszyły się niezmiernie.

Nazajutrz dzień był tak samo zadeszczony i smutny. Deszcz uderzał w szyby klasztoru, jakby ktoś garścią piasku rzucał. Wiatr baraszkował w sadzie klasztornym. Na wielkich liściach palmowych smutne wygrywał melodie.

Po Mszy św. wyjeżdżamy. Przyłącza się do nas Stasiék Rubików, brat kowala z Pinieralu. Jedziemy w ten Boży, zamglony świat. Ponad nami płyną szarawe chmury tak nisko, że prawie zadzierają o wierzchołki drzew przydrożnych. Krople grubego deszczu padają z gęślowym pobrzękiem na liście krzewów i rozmokłe kukurydziane badyle. Szaruga idzie od borów, co na wzgórze się wdzierają i w zagłębione schodzą parowy. Wreszcie koło południa deszcz przechodzi w ulewę, jakby kto niebieskie spusty pootwierał.

Przystajemy, by konie napić w potoku. To znowu Józek wdrapuje się na pomarańczowe drzewa i rwie soczystych i słodkich pomarańczy pełne wiadro. Potem zawinięci w siwawe peleryny jedziemy dalej.

Jedziemy prawie ciągle pod górę, jako że Pinieral 500 m wyżej położony jest od Nova Trento. Jedziemy krętą drogą górską ponad przepaściami, ponad strumieniami wartkie, rwące po głazach.

Kędy droga zbyt stroma, schodzimy z wozu, by nieco ulżyć Józkowym szkapom, co uszy tulą i zmęczone wyrzucają nogi.

Przystajemy na chwilę w Walsuganie. Mieszkali tam kiedyś sami Polacy. Ale jak to bywa! Kiedy las już wyrębali i ziemia była gotowa, sprzedali wszystko Włochom i poszli dalej. Przyszli rajnicy i jęli chwalać owe wielgachne grunta za górami. A nasi posłuchali i poszli na nową poniewierkę, na nowo wrębując się w las tropikalny. Nienasycony głód ziemi — oto chwała zarazem i zguba naszych. Idąc samopas, zatracają łatwo język ojczysty, a i we wierze szkody ponoszą.

I dziś Walsugana jest cała prawie włoska. Został tylko po Polakach kościółek drewniany z św. Stanisławem Kostką w wielkim ołtarzu. Pamiątka ich wiary i polskości!

Józef Dumka, żonaty z Brazylianką, ma tu „wendę”. Stara Dumkowa zaprasza nas na filiżankę gorącego mleka. Kochana babunia nie posiada się z radości. I opowiada o swej wiosce rodzinnej pod Koninem, którą opuszczała 40 lat temu. Tak dawno już w Brazylii, a ledwo rozumie język tutejszy. To też synowa na gwałt się uczy po polsku, a mały wnuczek Franuś,

o czekoladowej twarżyczce, odmawia polskie paciorki wspólnie z babunią.

Kilka dni temu trzepot skrzydeł bocianich nad chałupą Dumkową zwiastował radosną nowinę. Mimo nieobecności ojca na główkę maciupuchnej Jolantki spływa woda Chrzu św. Więc po drodze ta chrześcijańska przysługa — no i pamiątka wiekuista, że tym szlakiem jechał polski ksiądz.

Pod wieczór zajeżdżamy zmoknięci do Pinieralu. Nazwa ta pochodzi od piniorów — sosen brazylijskich, których tu było kiedyś mnóstwo. Dziś bodaj czy cztery piniory się znajdzie w całym tym pięknym Pinieralu.

Pinieral piękny, bo piękny. Położenie jego cudowne. Położony na wysokości 600 m otoczony ze wsząd górami, przypomina okolice Szczawnicy. Nie jest tu tak gorąco jak gdzie indziej. Przy tym powietrze zdrowe i przesycone ozonem.

Pszenica się rodzi, choć nie każdego roku. Zyto zaś nie wydaje prawie żadnego plonu. Mimo to nasi się chciwią... Koniecznie chcą mieć żyto, jak to w starym kraju bywało. Teraz jakoś to idzie. Ten i ów kwartę żyta wysieje i dumny jest, że siał żyto. Z początku jednak te zachcianki kosztowały drogo. Bo gospodarze większe kawały obsiewali żytem i nie zbierali nic. I powtarzali próby po kilka lat.

— A niechta, niechta! Ono musi dać!

Tak! zagięli parol! Ale daremnie!

Dziwna, że nasi nie zakładają winnic. Każda kolonia włoska produkuje rocznie kilkanaście tysięcy litrów wina. A wino płaci nieźle. Za litr jednego mil-



rejsa. Ale nasi są uparci. W kraju nie było winnic. A więc ich i tutaj nie będzie.

— Niech Italiany se marnujom. Nom nie trzeba!

Jedynie Stanisław Szpoganiec spod Stanisławowa szedł na przebój. Nie zapatrywał się na nikogo. Czynił, co mu bystry rozum kazał. I dorobił się nieźle. Posiada wielki magazyn, trzy tartaki i kilkaset hektarów ziemi. A dzieci jego wszystkie kształciły się w stolicy stanowej. Dobry dał przykład. Ale cóż, kiedy inni nie poszli jego śladami.

Przez cztery dni odprawiała się w Pinieralu misja św. Lud na nabożeństwa i nauki się garnał. I z grzechów swych się spowiadał. A kościół przez cztery dni trząsł się od tych śpiewów serdecznych. Boć śpiewaków ma Pinieral niezgorszych. Przewodzą im Jędrzej i Teofil Jaraczewscy, śpiewaki tęgie, co już w kraju w kościołach śpiewali. A obaj „cwaniaki“, bo jeszcze za młodu się po świecie włóczyli. Opuścili byli wówczas rodzinny Ślesin pod Koninem i przez granicę do Hówca pod Czempiniem się przedarli. A potem do tej Brazylii wyjechali, kędy to ludziska podówczas lecieli, jako ci ptacy na wyraj. No, i nie żałują. Każdy z nich ma 50 hektarów ziemi własnej. I ani Lehmanom z Hówca, ani inszym panom nie służą.

Jędrzej nawet niedzielne nabożeństwa odprawia w kościele pinieralskim, jako że X. Lassberg od czasu do czasu tylko tu zajeżdża. On to ludowi czyta św. ewangelię. A i napomnienia i nauki, ten obrok duchowny, z książki drukowanej odczytuje.

Przez cztery dni korzyliśmy się u stóp obrazu Częstochowskiej Panienci, który w Wielkim Ołtarzu się znajduje. Przywiózł go był Walek Zidziński spod Grudziądza i kościołowi go darował. A święta Paniątka spoglądała łaskawie na te dzieci swoje, sieroty. I zdała się uśmiechać i błogosławić temu ludowi polskiemu, co przed nią wyciągał te ręce spracowane i wzdychał głęboko, a w piersi się bił i modlił żarliwie.

Mieszkam w kościele według zwyczaju. Może to i dobrze. Bo każdej chwili mogą się ludzie spowiadać, a i o inne prosić usługi. A i dla kapłana szczęście wielkie w domu Pańskim przebywać zawsze z Panem nad Pany...

Ostatniej nocy, coś około trzeciej godziny rano, ktoś puka do drzwi kościelnych. Wychodzę. Janowa Michalska prosi o Komunię św. Córka jej nagle zachorowała, a ona do niej śpieszy daleko w góry. I chce się pożywić chlebem żywota i Tę, co jest „Uzdrowieniem chorych“ — prosić o zdrowie dla córki.

Po oktawie Bożego Ciała, w święto Serca Bożego, zakończenie misji.

Słońce się już przetoczyło z południa. Jasność rozlewała się po horyzoncie. Staw pinieralski i te sosny i strumyki lśniły i migotały. Cały Boży świat był przesycony światłem. Cisza otulała rozżoconą ziemię.

Po nabożeństwie wyruszyła w koło kościoła dziękczynna procesja. Marian Cywiński niósł Pański krzyż. Antoni Jaraczewski i Stasiek Krzesiński nieśli brackie chorągwie. A przy obrazie Częstochowskiej Hanka Lisiecka i Genia Michalska kroczyły w asyście. Zaraz



za księdzem szły oba bractwa ze świecami. Potem już kupą cały pinieralski naród, wystrojony pięknie, że tylko w słońcu grały wyszywane chusty i pęki korali i „mentalików“ i te wstęgi barwne, rozpuszczone jak skrzydła. A śpiewali z taką mocą, jakoby się wicher zerwał nagły. I hen w góry szły radosne głosy. Nad stokami śpiewały, we świat leciały szeroki. A dzień się dopalał jaskrawo i wolno przygasał.

Wieczorem jadę dalej. Kolej teraz na Nową Galicję! Bomby ogniste, rakiety i ognie oznajmają przybycie księdza. Jeszcze tego samego wieczora krótkie nabożeństwo, a potem spowiedź św. w późną noc.

Mieszkam znowu w kościele dwa metry od Wielkiego Ołtarza i metrów cztery od grobów umarłych. Tuż przy kościele bowiem znajduje się cmentarz. A naprzeciw Wielkiego Ołtarza starzy Rubikowie Eliasza i Gerupina odpoczywają po trudach i niedoli tułaczkiej. Eliasza Rubik, pochodzący z Perepenik, powiatu złoczowskiego, wiele się przyczynił do budowy tujszego kościoła. On też fundował Główny Ołtarz i obraz darował Matki Boskiej Pocieszenia, co jest patronką Nowej Galicji.

Głównym śpiewakiem nowogalicyskim jest Wojciech Gaździcki, z załościckiej parafii pochodzący. On też w nabożeństwach przewodniczy i uroczystościach. W niedzielę i święta ewangelię św. czyta ludowi i nauki głosi. Człowiek to wielce pobożny i w Nowej Galicji bardzo poważany. Dwie córki ma zakonnicami, a trzech jego synów przywdziało franciszkańskie habitę.

Więc odprawiały się tu święte nabożeństwa i obrzędy. Ludzkie dusze kąpały się w blaskach łaski Pańskiej. I niosły się na te Boże ugory ogromne, radosną światłością oprzędzone. I wyżej jeszcze leciały, kędy nie słyhać człowieczego płakania ni żalosnego skrzybotu duszy. Było tu wielkie żniwo ludzkich dusz!

## Weadowski odpust

Dziwna procesja. Serdeczne pozdrowienia. Mnohaja lita. W zwar-  
tych szeregach. Grzechy synowe. Kryzys. Nazajutr. Z dalekich  
stron. Wielcy odpustnicy. Rzewne nabożeństwo. Wkoło weadow-  
skiego kościółka.

Kiedy przebywałem na Pinieralu i w Nowej Ga-  
licji, przyszedli weadowscy gospodarze i jęli prosić do  
siebie. Miałem do nich przyjechać na odpust Najświęt-  
szego Serca Jezusowego.

Jadę tedy na odpust weadowski. Pod niebotyczne  
góry wdrapujemy się na przystawkę. A z gór na dół  
i znowu pod górę. Ale siwki Adama Koneckiego, wy-  
pasione kukurydzą, biorą wszelkie przeszkody. Wresz-  
cie „zdobynamy“ ostatnią górę. Przed nami *W e a d o!*  
Chałupy wyrychtowane wzdłuż srebrnej wstęgi rzeki,  
a w środku kościółek.

Adamowe konie odpoczywały zziajane. Poszumy  
lasów dochodziły głuchym szmerem, a belkot rzeki w  
dolinie rozlegał się jak łkanie żałosne.

Nagle przy kościółku rozległ się strzał. I w tej  
samej chwili dzwon zaczął dzwonić, a z kościoła wy-  
sypywały się chorągwie, sztandary i okropna moc na-  
rodu, jak mrowia. Szli drogą nad rzeką. Szli prosto  
ku nam!

— Wej, uni idom nos powitać, tłumaczy Adam.

Pospieszamy i za chwilę stajemy blisko tej dziwnej procesji. Na piechotę idę im naprzeciw. Krótkie powitanie i wspólnie idziemy do kościoła, śpiewając „Kto się w opiekę“, aż do ostatniej zwrotki. A dzwon dalej zawodzi jękliwie. Raz po raz kowal pinieralski nabija armatki własnego wyrobu dymnym prochem i strzela i wali, aż ziemia drży.

Przy kościele chwieją się palmy wysmukłe, a tuż przy palmach na wysokich słupach deska świeżo heblowana. A na desce stary Sumek wypisał węglem drzewnym słowa powitania: „Witaj Nom Rodacku z Polski Ukochany!“

Kiedy skończyli śpiew, czynię im łagodne wyrzuty, iż nie powinni byli urządzać takiego przyjęcia. Żem — owszem — rodaczek, ale mizerny szaraczek Boży, co im służyć przyszedł i pocieszać w doli tułaczek. Tłumaczę się jednak, że po raz pierwszy z Polski przybywa do nich ksiądz. Stąd w kolonii radość i uroczystość ogromna.

A potem rozplakali się na głos, kiedy słowa pozdrowienia usłyszeli od tej Polski dalekiej. Pozdrowienie od tych kościółków i tych rodzinnych wiosek, co je opuszczali dawno temu — i od tych cmentarzy na przydrożu, kędy spoczywają kości ich dziadów.

— Jezusicku, Jezusicku! Maryjo, Maryjo! — wołali z wielkiej markotności i rozrzewnienia.

I słuchali, jak ta Matuchna Boża, co Jasnej broni Częstochowy, nadal im matką jest, jak kiedyś w kraju.

I jak ta Polska i ten Polski Prymas o nich radzą i ratunek im gotują.

Odprowiły się potem nieszpory i inne nabożeństwa, jak w kraju. Przewodzi Sumek stary, Bazyli, co z Oleska się wywodzi, niedaleko Złoczowa. Pomagają mu syny, śmigłe kiej te sosny polskie, o głosach czystych i mocnych. A wtóruje im cały kościół nabity po brzegi.

Po nabożeństwie Sumek coś komenderuje. Chcą uczcić X. Prymasa, co to o nich pamięta, choć w dalekim kraju. A że narodu dużo ruskiego, co jednak do polskości się przyznaje, więc ludziska śpiewają, aż im się oczy świecą z wielkiej radości:

*Mnohaja lita, mnohaja lita*

*Wozdrawienje, wospasenje!*

A potem święta spowiedź odpustowa do późnego wieczora.

Zwykle ksiądz tu nocuje w kościele. Ale że kościół drewniany i świecący szerokimi szparami, więc wolałem zamieszkać w chałupie starego Sumka. Boć zimno było, a na przymrozek zanosilo się walnie.

Idziemy wspólnie z chłopakami, którzy maszerują w zwartych szeregach. Idą z taką mocą, że aż ziemia drży. Wielkie kapelusze brazylijskie, założone na bakier, siwe peleryny, zwisające w kokieteryjnych fałdach z pleców, długie buty o miękkich cholewach, dodają im trochę dzikości. Porodzili się już wprawdzie wszyscy na brazylijskiej ziemi, ale Polskę kochają i polskie piosenki śpiewają zawzięcie.

„Walecznych tysiąc opuszcza Warszawę“ — śpiewają zwrotkę za zwrotką. A pieśń ich płynie w ciemną noc.

W chałupie Bazylego dużo się nagromadziło ludzi, więc gwarzymy sobie społem do późnej nocy.

Opowiadają, że ksiądz do nich przyjeżdża cztery razy na rok. Jest to X. Lassberg, z dalekiego Nova Trento. Staruszek mimo ośmdziesiątki jeździ na mule, odwiedzając rozległe parafie. Choć z pochodzenia Niemiec, nauczył się niezłe po polsku i Polaków lubi.

— Najgorzej to umierać przez tych świętych Sakramentów — żalą się biedacy. Opowiadają, jak to niedawno temu jednego z gospodarzy przygniotło drzewo w lesie. Wyciągnęli go na pół żywego. Biedaczek prosi o księdza. Ale jakto, mój Boże posłać po księdza, kiedy kapłan i za 12 godzin nie zajedzie, a oczy nieszczęśliwego już mgłą śmierci zachodzą. Więc na ciekawo wpadają pomysł.

— Niech się matce biedocek wypowiedzi — radzą.

I matka splekana siada przy łożu umierającego syna. A on przed nią spowiedź odprawia generalną z całego życia. A ona mu potem krzyżyk święty kreśli na czole na drogę wiekuistą.

Chwilę potem synaczek jej zamknął oczy na wieki. Po pogrzebie matczyńsko stroskane idzie do Nova Trento. Tam X. Lassbergowi wyznaje grzechy synowe i prosi dłań o rozgrzeszenie.

I w gospodarstwie nie wie im się nadzwyczajnie. Toć mają gruntu 50 hektarów i 100 i więcej. Ale cóż, kiedy cząstkę zeń tylko uprawiają. Reszta to las

dziewiczy i góry. Poza tym bieda, wielka bieda. Za worek kukurydzy (60 kilo) płacą kupcy 5 milrejsów. Ale trzeba ją wieźć daleko, poprzez strome góry. A ryż, słodkie kartofle i jadalne korzenie mandioki to — do własnego użytku. Niektórzy mają tartaki, pędzone wodą. I deski sprzedają. Za tuzin czterometrowych desek z tutejszych drzew płacą 12 milrejsów w miasteczku. Jedynie smalec płaci nie najgorzej. Więc chowają trzodę chlewną. Świnki czarne, nieco mniejsze od naszych. I jak się szczęści, to jeszcze. Ale jeśli przyjdzie groźna „pesta“ — pomór, co w jednym dniu zniszczy wielkie nadzieje, to od dalszego chowu ludziska odstręczy.

O tych i innych rzeczach opowiadali mi weadowscy gospodarze do późnej nocy.

Nazajutrz jeszcze przed świtaniem na drogach i ścieżkach do Weado ruszali się ludzie. A zimno było, a parowy bielily się szronem porannym, jakby pocukrzzone.

Na górskich drogach widny był łańcuch wozów, toczących się wolno, krok za krokiem. A kto koni chciał oszczędzić, to na piechotę szedł na weadowski odpust.

Szli gospodarze, szły kobiety, szły parobki i dziewczyny. Szli z Pinieralu i Nowej Galicji i Barra Negra i Boa Vista. Nawet z dalekiej Walsugany szli ludziska. Niektórzy już o trzeciej rano wyszli, nieledwie po drugich kurach. Szli przeważnie boso, mimo przymrozku, boć obuwie drogie, a drogi rozmokłe.

Kiedy słońce wstało zamglone i blade, wielkie gromady ludu uwijały się około kościółka. Niektórzy biegali dla rozgrzewki. Inni otoczyli kołem rozpalone ogniska. Grzejąc się, w białe dymy wpatrywali się sennie, co płynęły pod stalowo - błękitny strop niebieski.

Inni oblegli szczerze konfesjonał i z grzechów swych się spowiadali, lub też śpiewali Godzinki, chwalać Panne Świętą.

Walek Wojtyna uwijał się skrzętnie. Od kowalowych armatek biegał do ogniska. To znowu w kościele rozkazy wydawał. I nie dziw, bo Wielkim Odpustnikiem mianowało go Weado. A przydano mu jako Wielką Odpustnicę Józefową Bonikowską, zaradną gospodynię. A od Wielkich Odpustników cały odpust zależny. Czy nakupili dostatecznie prochu, czy rakiet, tych bomb ognistych? Czy goście zdaleka poczęstunek znajdą suty? Honor to być Wielkim Odpustnikiem. Ale też koszt nie lada. Bo inaczej przechwalać się będą w Pinieralu czy Walsuganie, że u nich odpusty bywają inaksze.

Około dziesiątej nadszły ostatni z weadowskich kolonii. Idzie Bolek Piotrowski ze swoją i dziećmi, idą Koneccy, Wiśniewscy, Decowie, Murszewscy, Reznery i Maliszewscy. Lud wystrojony, aż oczy razi. Kobiety mają chustki wyszywane na głowach. Chłopy ubrani w niebieskie kamizele i portki ciemne, co w cholewach tkwią miękkich a długich.



Dzwon podzwaniał już po raz trzeci. Kowalowe móżdziejrze przeraźliwym hukiem oznajmiły początek nabożeństwa.

Nasamprzód to święte pokropienie według zwyczaju. Potem uroczysta wychodzi suma. Lud na kolana się rzuca i przed majestatem Bożym się korzy. Potem śpiewa pieśni nabożne na cześć tego Boskiego Serca, co kościółkowi patronuje.

„Et cum spiritu tuo“ odpowiadają sami, jako że ani organów tu nie ma, ani mizernego organisty nawet. A jak czego nie wiedzą, to im podpowiada starego Bazylego syn. I tak Boga chwala na swój sposób, ino serdecznie, bardzo serdecznie. Dusze jakby wniebowzięte, kościół zapchany, że aż żebra trzeszczą.

Niejednen modli się ze starokrajskiej książeczki. A ten, co czytać nie umie, przez te palce spracowane przesuwa ziarnka koronki. Czasem szloch bolesny zerwie się z ciżby. Czasem płacze sieroce kwilą niby pisklęta.

A czasu Podniesienia lud twarzą ziemi dotyka, a wówczas słychać ludzkie płakania i skargi wygnące, co pod te nóżki Jezusinka płyną, utajonego w świętej Hostii.

Po „ite missa est“ kazanie odpustowe o tym Sercu Jezusowym, co nędzniki przygarnia, i umęczone i tęsknotę cierpiące.

— Miłujcie to Serce Święte, a ono błogosławić będzie wam i waszym chatom, i plonom waszym i przedsięwzięciom! I pokój ześle duszom waszym, a w niedoli otuchą będzie, pokrzepieniem. Przeto wśród wea-

dowskich lasów i gór niechaj rozlega się wiekuiste wołanie: Niech będzie znane i uwielbione Najświętsze Serce Jezusowe! Jemu cześć i chwała na wieki. Amen. — Takie było zakończenie.

Jezuchnu najdroższy! — rwało im się z dusz umęczonych. Podnosili zmęczone twarze i ręce, spracowane, jak ta ziemia święta. I oczy, szare niby ta ziemia wznosili i serce swe biedne rzucali do stóp tego Najświętszego Serca Bożego. I wybuchali świętym płaczem oddania się i rezygnacji.

A potem uroczysta procesja wyruszyła w koło kościoła.

W słońcu zimowym lśniły się feretrony. A w wietrze łopotały sztandary i chorągwie kościelne. Armatki kowalowe grzmiały w krótkich odstępach. Sztuczne ognie i rakiety, sycząc, rwały wysoko ponad tłum i z trzaskiem pękały w powietrzu. A naród śpiewał pieśni nabożne. Płynęły skroś te zawodzenia świerszczy i buczenia cykady i te dalekie pogłosy puszczy.

A wiatr się zerwał i niósł je na Wschód daleki, kędy Polska, najdroższa Ojczyzna.

Taki to był odpust weadowski, hen daleko, za szerokim Oceanem.

## Kazimierzowo

W ciemną noc. Burza na morzu. „Maks“ zwycięzca. Wyspa Lwów.  
Przez węglowe krainy. Ś. p. X. Chyliński. Poświęcenie polskiej  
świątyni. W trzydzieści koni. Święte dni.

Z Florianopolis jadę tym razem na Południe. Maleńki stateczek „Maks“ płynie w głuchą noc. Pasażerów wiezie zaledwie dziesięciu, przeważnie kupców, którzy jadą do Laguny. Powoli nikną we mgle nadbrzeżne światła. Płyniemy po pełnym Oceanie.

Na „Maksie“ są również kabiny, ale nigdy niezamieszkałe, bo po pięciu minutach choroba morska murowana. Tak się kołysze to chuchro, tak się prze-wala na boki, jakby sobie drwiło z ludzkich żołądków i nerwów.

Nagle zrywa się wiatr zimny, południowy. Czarny palacz wsuwa do kotła coraz to większe porcje węgla brazylijskiego, aby dodać maszynie siły. Wiatr się wzmacnia. Kapitan mulat zamyka pasażerów w kabinach. Fale przelewają się przez pokład. Wicher gwizdże i wyje. Jakby kto tysiące ogarów spuścił ze smyczy!

Biedny „Maks“! Co się uniesie na spienione grzbiety fal, to znowu jakaś niewidzialna siła spycha

go do wodnych przepaści. Otaczają go góry wodne, jak gdyby przysięgły się na jego zgubę.

Biedne pasażery! Twarze wybladłe. Oczy przeżalone. Żołądki puste, albowiem uczyniły, co było przeznaczone... Jedni w pozycji leżącej na ziemi. Druzy na klęczkach wymawiają słowa modlitwy. Za chwilę znowu się wywracają. Chaos i panika...

Wiatr przechodzi w orkan. Ocean szaleje. Wydaje się, że lada chwila ściany wodne zmiażdżą naszą łupinę. Wały wodne raz po raz przelewają się przez pokład. W pewnym momencie porywają łódź ratunkową i unoszą ją w przepaść. Coś trzaska jakby pod uderzeniem toporów. Maszt nadłamany, deski na burcie zerwane.

Kapitan, z rozczochraną czupryną, na chylączkę skrada się to tu, to tam. Gestykułuje rękami, jak gdyby wydawał rozkazy. Orkan nie ustaje. „Maks“ sygnalizuje „S. O. S.“ — ratujcie dusze nasze! Wymawiam słowa rozgrzeszenia.

Ale Pan Bóg jest miłosierny, a dobroć Jego nie-skończona. Zaiste Bóg jest dobry i na wieki miłosierdzie Jego.

Burza się przesila. Następuje odprężenie. „Maks“ sygnalizuje, że rezygnuje z pomocy.

Po ciężkiej tej nocy zbliżamy się do Laguny. Lecz, gdy już podjeżdżamy pod sam port, dostajemy się w zburzone zwały wodne. „Maks“ manewruje umiejętnie. To zachodzi z boku, to cofa się i znowu prze naprzód. Inaczej fale rzucają go o skały nadbrzeżne i rozbijają na kwaśne jabłko.

Daremnie się jednak trzdzi zdenerwowany kapitan. Wreszcie widzi, że to nie przelewki i wycofuje się na pełne morze.

Kilkanaście kilometrów cd wybrzeży znajduje się dzika wysepka skalna, t. zw. „Ilha dos Lobos“ — Wyspa Lwów. Niegdyś wysepkę tę zamieszkiwały morskie lwy. Wyginęły z czasem i tylko nazwa pozostała. Otóż przy „Wyspie Lwów“ prądy morskie bywają nie tak silne. Tam chronią się kutry rybackie w razie niebezpieczeństwa. Tam też podąza „Maks“.

Krażymy dokoła wyspy. Łądować nie można, bo strome zręby skalne nie pozwalają. Na wyspie mewi raj. Tysiące tych białych ptaków morskich i drugie tysiące burzyków. Przez lunetę widać nawet gniazda, mewki młode i skały, pobielone ptasim nawozem.

Mijają godziny. Ludzie już ochłonęli z przerażenia, choć jeszcze nie wiedzą, jak się to skończy. Kapitan jednak nie przejmuje się. W pewnym momencie każe nawet spuścić drugą łódź ratunkową, która szczęśliwie ocalała. Siada do niej wraz ze sternikiem i wyrusza na połów ryb. Łódź skacze niby piłeczka gumowa. Odważny mulat zarzuca sznury z haczykami i raz po raz wyciąga przerażone stwory morskie. Dziwaczne, bo dziwaczne! Niektóre o niebieskich pletwach, a inne jakby miały łby rogate a oczy takie ogromne, prawie zwierzęce. Na obiad kazał ugotować swój łup. I raczyli się nim, chcąc nie chcąc zgłodniali pasażerowie.

Dwa razy jeszcze szturmował „Maks“ zaporę wodną, która broniła wejścia do portu. I dwa razy wycofywał się, pokonany. Poszczęściło się dopiero za

trzecim razem. Bucząc, kwicząc i pogwizdując wjeżdżał „Maks“ — zwycięzca do portu laguńskiego.

Z Laguny jedziemy wąskotorowym ekspresem do interioru. Przejeżdżamy przez tereny węglowe, należące do „Companhia Carbonifica Brasileira“. Na wielkich przestrzeniach znajduje się węgiel tuż pod wierzchem. Jenó, że warstwy cienkie, przeciętnie jakieś 25 cm. A węgiel jest jakości drugorzędnej. Przy tym trzeba go czyścić i zmywać. Chcąc jednak poprzeć przemysł krajowy, rząd porewolucyjny zobowiązał wszelkie fabryki do zużywania 10 proc. węgla krajowego. A że wskutek dewaluacji milrejsa węgiel zagraniczny podrożał, przeto eksploatacja się opłaca.

Ekspres pędzi z szybkością 22 kilometrów przez gaje palmowe i mija wioski zaciszne przy bystrych strumykach. W kącie naszego wagonu brzęczy „viola“. Ktoś nuci półgłosem „fado“ brazylijskie. Z oddali dolatuje wrzask papug, wracających parami do swych gniazd, rozrzuconych po koronach drzew.

W nocny zajeżdżam do K o k a l u. W koło miasteczka mieszkają Polacy w zwartych koloniach. Dziś niestety bez pasterza. Bo oto 4 miesiące temu umarł śp. X. Franciszek Chyliński, ich ojciec, wychowawca i wódz. Przez lat 35 X. Chyliński pracował w tej okolicy.

Jako młodziutki kapłan opuszcza rodzinną Wielkopolskę. Przez cały ten czas potyka się jak prawdziwy żołnierz Chrystusowy. Stoi twardo na posterunku. Jest ojcem i przyjacielem blisko dwu tysięcy Polaków, którzy w obrębie jego parafii mieszkają. I nagle cztery

wniesiące temu odwołuje go Pan Bóg z ludzkich szeregów.

Przy grobie jego serca się krwawiły społem. Płakali Polacy, Włosi, Niemcy, Brazylijanie, wierni jego parafianie.

A na drugi dzień przychodzi pismo od Ojca św., że X. Franciszek do godności prałackiej jest wyniesiony. Za te wszelkie utrudzenia, za to poświęcenia pełne życie dla narodu chrześcijańskiego. Za późno. Dusza X. Franciszka już była uleciała na wiekuiste odpocznienie.

Nazajutrz rano już czekają Polacy z kolonii „J o â o B a t i s t a” — św. Jana Chrzciciela. Zabieram rzeczy najpotrzebniejsze i dalej na koń! Po drodze moi towarzysze oznajmiają wszystkim, że wiozą ze sobą polskiego księdza. Ludziska przecierają oczy, jakby nie dowierzali. Bo skądby się tu nagle wziął polski ksiądz!

— Przeciek ksiądz Franciszek chyba nie zmartwychwstol!

Lecz skoro przekonali się naocznie, że jednak „polski” ksiądz przyjechał, juści siadali na śkapy i dalej oznajmiać wszędy, gdziekolwiek zamieszkują Polaki.

To samo zdziwienie w samej kolonii. Ludzie widzą w tym łaskę Bożą. Boć w przyszłą niedzielę ma się odbyć poświęcenie kościoła, co go budowali przez tak długi czas. A X. Franciszek za to ich chwalił i tak bardzo się cieszył, że kościół poświęci i Bogu w nim złoży Świętą Ofiarę. Ale nie doczekał się nieboraczek.

Więc poświęcać miał X. Rhoden, kapłan zacny, ale Mi-miec, co ich języka nie zna, ani obyczaju.

Przeto gruchnęła wieść po całej okolicy, że X. Franciszek uprosił w niebie polskiego księdza na tę uroczystość wielką.

Zamieszkałem w domu Rocha Machyńskiego spod Konina. Człek to zacny i serca poczciwego. Dom ma murowany, co tu na ogół jest rzadkością. Ziemi jakiejś 100 hektarów, świń sporo i wielki, wielki sad. A w sadzie tym prawie same pomarańcze i mandarynki. Długie aleje pomarańczowe przeryniają go wszere i wzdłuż. Będzie tych drzew ze trzy setki. A każde oblepione złocistymi owocami, co się mienią i świecą niby kule lśniące na gwiazdkowej choince. Nad drzewami unoszą się stada zielonych papużek i z łoskotem i piskiem rzucają się na dojrzałe owoce. Nikt im nie broni. Bo dosyć tego. A i tak większa część spadnie na ziemię i świnki będą miały pociechę.

Gdyby tak tu można przenieść ową ćwierćmilionową rzeszę mieszkańców grodu Przemysława, to u samego Rocha Machyńskiego dostało by się każdemu po jednej pomarańczy. A gdyby któryś wyciągnął rękę po więcej — poszlibyśmy do Rządkiego i Michałaka, Dąbrowskiego, Białeckich, Wojciechowskich, Stuzińskich. I starczyło by dla mieszkańców, ich krewniaków i wszelkich powinowatych.

João Batista pod względem polskości trzyma się dobrze. Nie usłyszysz tu prawie nigdzie języka brazylijskiego. Nawet wnuki starych naszych wiarusów mówią świetnie po polsku. Zasługa to poniekąd księ-



dza nieboszczyka i pana Werpachowskiego, który tuż przed wybuchem wojny światowej zabłąkał się w te strony. I dziś jest tu szkoła polska. Jest i polskie towarzystwo im. Tadeusza Kościuszki, któremu przewodzi Leonard Białecki, człowiek wielce rozumny. Doradcą jego jest Władysław Dębowski.

Tak, więc i tu jest Polska! Jenó, że palmy szumią na przydrożu. Jenó, że po gałęziach palmowych skaczą ptaszyny o żółtym brzuszku i czarnej główce, z białymi wstęgami po bokach i za motylami ganiają i wołają bez ustanku:

— Bem ti vi, bem ti vi!

Wreszcie nadszedł dzień poświęcenia kościoła. Z rana słońce rzucało na ziemię powódź światła i rozsiewało po ziemi promienie złotymi garściami. Później jednak jał dąć zimny wiatr południa i chmury pierzaste zakryły tarczę słoneczną. Nieskończone horyzonty falistych wzgórz, pokrytych lasami, ginęły we mgle szarawej.

Przed kościołem wzrastał gwar rozmów i nawoływań. Kotłowały się brąkania dzwonek umieszczonych u szyi końskich. Konie, przywiązane do drzew i płotów, rżały i parskały.

Zjechał się naród polski z bliska i z daleka, ażeby uczestniczyć w tej rzadkiej uroczystości. W koło kościoła wyrósł zagajnik palm. Niezliczone girlandy opasywały filary, drzewa. Snuły się setkami metrów i szeleściły w wietrze. Z wieży kościelnej zwiślał Orzeł Biały na amarantowym tle.

Zadzwonił dzwon. Moździerze huknęły wraz. Rozpoczynają się święte uroczystości. Wraz z księdzem wychodzi dwanaście par chrzestnych ze świecami. A przed nimi idą chorągwie i Pański krzyż. Stają przy pierwszym rogu kościoła. Ksiądz głośno się modli. To znowu ręce składa i z cicha wymawia święte słowo liturgiczne. Po czym kropi wodą świętą ścianę. I dymy kadzidła się unoszą i lecą w przestworza. I idzie dalej procesja, a wszyscy śpiewają: „Kto się w opiekę“.

Przy następnych węglach te same obrzędy. Potem po trzykroć szła procesja w koło kościoła. I śpiewał naród litanie do Wszystkich Świętych. Dzwon dzwonił jękliwie. Moździerze dawały coraz to nowe salwy. Szły tłumy w nabożnym skupieniu. I palmy chwiały się niespokojnie, a cichy szum gałęzi drżał na głowami. I śpiewy prośbne łkały w powietrzu, a wiatr je unosił w dal ku błękitniejącym góróm, ku morzu.

Dalsze uroczystości odbywały się w samym kościele. Padały krople wody święconej na ściany pobielane, na deski mahoniowe w podłodze. I na Wielki Ołtarz padały i na ten obraz świętego królewicza Kazimierza, który jest kościoła patronem.

A potem przemówienie. Słuchał naród, jaka to wielka uroczystość. Jak to sam Pan Jezus się cieszy, że mu przytułek ziemski wystawiono i te wszystkie święte i niebieskie duchy. I te duszyczki ich ojców i dziadów w przyobleczeniu wiecznym i tego mizeročka proboszcza duszyczka strudzona.

Jak to polskie króle i hetmany i senatory świętynie Panu budowały, a polscy rycerze, co latami z koni nie zsiadali, zawsze broniąc świętej sprawy Pana Jezusowej.

I słuchał naród, jak im ten Pan Jezus za wszystko zapłaci. Za tę każdziutką potu kropelkę. Za ten każdziutki mizerny kamyczek nawet, i za ten każdy krok, uczyniony przy budowie kościoła.

A wszyscy się potem na kolana rzucili, bo ksiądz rzewne zanosił prośby do Matuchny Częstochowskiej i do świętego Kazimierza, możnego patrona, iżby orędownali za ludem przy Bożym tronie w niebiesiech.

I było słychać kołatanie serc wzruszonych. Wilgotne blaski oczu świeciły jak rosa. Drżały westchnienia i łkania. Dusze człowiecze kładły się do stóp Pańskich w niemym uwielbieniu.

A po nabożeństwie raz jeszcze wyszli wszyscy przed kościół. I krople wody święconej zrosiły ziemię na wschód i zachód, na północ i południe. A były to chrzciny osady.

— „Kazimierzowem odtąd nazywać się będzie wasza osada“.

— „Kazimierzowem teraz i na wieki wieków“ — huknęło z tysiąca gardzieli.

W tym czasie odbyła się też święta misja. Przez cztery dni kościół był pełen ludu wiernego rano i wieczór. A świętych spowiedzi przeszło sześćset! A tych świętych Komunii nawet nie zliczysz! Aż ręce mdlały od rozdawania chleba Bożego, co dusze karmi na żywot wieczny...

I wreszcie skończyły się kazimierzowskie święte dni. Pożegnanie serdeczne i zapewnienia wiernej służby w szeregach Boga i Polski.

Wyjeżdżamy w trzydzieści koni! Aż ziemia dudni pod nogami. Konie parskają i dzwonią brazylijskimi munsztukami. A towarzysze wałą, co sił starczy, kupą całą, prawie ramię przy ramieniu, że aż strzemięna brzęczą. A pokrzykują, a pośpiewują siarczyście. A pędzą, jakoby się młody bór zerwał i wichurą leciał....

Przed miasteczkiem, na wzgórzu znajduje się cmentarz kokalski. Tam zsiadamy z koni. I wchodzimy na cmentarz, by się pomodlić u grobu księdza Franciszka. Idziemy w surowym milczeniu, bo tupot nóg rozlega się głucho wśród krzyżów cmentarnych. Ino te drzewa cmentarne chwieją się niespokojnie.

Grób proboszcza w samym środku, jak na pastorza przystało. Zwiędłe wieńce na grobie i wywrócone wazon-y, daniny czci i miłującego serca. A w koło grobu leżą pokotem rodziny całe, całe pokolenia. On je chrzczył, węzłem małżeńskim łączył i do śmierci gotował. I leżą razem, na życie i na śmierć...

Mimo woli osuwamy się na kolana. I płyną modły za księdza Franciszkową duszyczkę. Słychać ludzkie płakanie. Niejeden szloch bolesny zerwał się przy proboszczowej mogile. Niejeden lament żałosny wił się wśród krzyżów cmentarnych.

*Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie —*

*A światłość wiekuista niechaj mu świeci na wieki*

*[wieków....*

## *W Krainie Leworamieńców*

Czterdzieści lat temu. Wiarusy zostały. Na miejscu. Bez pasterza. Samorodne nabożeństwo. Odpust bez księdza. Bogacze. Czemu wyszli? Czego im żal? Wierne chrześcijany. Jedyna woda. A dnia pierwszego! Święto umarłych. Święto radości.

Było to 45 lat temu. Nad brzegami Oceanu w portach santokataryńskich rojno było i gwarno. Okręty zwoziły coraz to nowe gromady ludu polskiego, który uciekał przed złym losem i biedą w ten słoneczny kraj grozy. Rozbijano naprędce obozy, izby pomieścić można te rzesze niezliczone ze wszystkich zakątków Polski. I codziennie wyruszały gromadki w głąb kraju. Szły z ufnością w Bogu w te puszcze i lasy nieprzebyte, kędy dziki Indianin królował i jaguar płowy. Szły, pieśni pobożne śpiewając i lejąc łzy tęsknoty za starym krajem...

I szła gromada biegiem Rzeki Pomarańczowej. A potem nad lewym ramieniem tej rzeki. I ciągle dalej szli wzdłuż rzeki, aż wreszcie stanęli zmęczeni. A że ziemie były dobre, więc uradzili tam osiąść. Wycięli las, pobudowali sobie chaty z drzewa, a miejsce to władze rządowe nazwały „Braço Esquerdo“ — Lewym Ramieniem, jako że rzeka jest lewym dopływem Rzeki

Pomarańczowej. I tak żyli spokojnie przez kilka miesięcy. I naraz pewnego poranku Indianie napad urządzili i kobiety pomordowali bezbronne i dzieci. I padł strach na biednych wygnańców. Siła ludu uciekła wówczas w inne strony. Garść tylko została.

Ale ci, co zostali to prawdziwe wiarusy. W jednej ręce dubeltówka ku obronie, a w drugiej siekiera do pracy. I Indian daleko wyparli i daleko wrąbali się w las tropikalny. I lasy i puszcze na żyzne zamienili „nowiny“. Dali świadectwo, co może zawzięty upór w parze z głęboką, odwieczną miłością ziemi. Dziś Lewe Ramię do najbogatszych należy kolonii.

Odwiedziłem podczas objazdów naturalnie i tę kolonię. Z Orleansu, gdzie Rzeka Pomarańczowa wartkie toczy fale, jest 30 kilometrów odległości. Jadę na ślicznym, gniadym rumaku, w towarzystwie kochanych Leworamieńców. Cwałujemy przez pola, pełne kukurydzianych badyli i zielonych krzewów mandioki, gwarzymy sobie wesoło. Mimo zimy tutejszej słońce przypieka niezgorzej.

Pod wieczór zajeżdżamy do kolonii. Przed plebanią ludu gromada. Stoją dzieci szkolne w szeregach i gospodynie i gospodarze co najprzedniejsi. I witamy się serdecznie, a potem już razem idziemy do kościoła.

Kościół nowy, murowany, pobielany na zewnątrz i otoczony palmami. W kościele ład i porządek. Ławki malowane, a stacje święte i obrazy w złocistych ramach. Wielki Ołtarz z drzewa mahoniowego, a w środku ołtarza św. Stanisław biskup, co kościołowi patroluje.

Rozpoczęły się zaraz nieszpory. Ludzie śpiewali na dwa chóry: chłopcy niskimi głosami, a kobiety piskliwym dyszkantem. Śpiewali „Rzekł Pan do Pana mego“ i inne psalmy jeden za drugim. Prowadzi stary Wroński. Choć mu dwie siekierki już wiszą na karku, silny ma głos, a donośny.

W czasie „Magnificat“ ksiądz kadzi ołtarz, jak w kraju. Przy ołtarzu klęczy Ignacy Herek, młody gospodarz, co kościelnym tu jest z woli narodu. Jego to dziełem jest turybularz z blachy wyrobiony. Tu też na talerzu podaje воск mieszany z cukrem, z braku kadzidła. I płyną kadzielne obłoki pod stropy świątyni. Rozchodzi się zapach spalonej trzciny cukrowej i wosku pszczelnego. A Pan Bóg mile spogląda na te dymy kadzielne i ten polski lud, boć to wszystko szczere i kochane.

A potem dowiadują się, że w Lewym Ramieniu misja święta się odprawi, że każdy gotować się ma, by pożytek z niej był chrześcijański. A potem pozdrowienia przyjmują od Polski ukochanej i od tych polskich pól i dalekich wiosek rodzinnych. I od tej Matuchny Częstochowskiej z Jasnej Góry i od tego Stanisława świętego, ich patrona, co na Skalce w Krakowie sobie odpoczywa. Załość ich przeto ogromna chwyciła za serca i wzdychali sobie, ojczyste przypominając strony. A w oczach ich perliły się łzy...

Po niesporach rozmawiamy jeszcze czas dłuższy. Żalą się Leworamieńcy, że opuszczeni są bardzo. Ksiądz brazylijski zagląda do nich trzy razy na rok. Ale prawie nikt się nie spowiada, bo ksiądz po polsku nie ro-

zumie. I tak żyją niestety bez świętych Sakramentów. Ale może Pan Bóg im przebaczy i miłosierdzie okaże w sądny dzień...

Toć modlą się jak mogą i Boga chwalą i szanują święte przykazania. Co niedzielę i święta odprawiają sobie nabożeństwa. Jan Kraszewski czyta im ewangelię, a potem głosi naukę. I wypomina narodowi grzechy wszelkie i zdrożności. Zatwardziałość w grzechach piętnuje i owe kłótnie wieczne i nienawiście. Czasami błyskawice rzuca oczami i ręce wznosi i wygraża grzesznikom, że ich ogień wieczny nie minie, ni ludzka kara. I padają słowa jego na głowy jak kamienie, a ludzie się kruszą i za grzechy żałują.

Nawet odpust ostatni odprawili sobie sami — w maju na Stanisława. Zjechało się narodu sporo z polskich kolonii. Brazylijanie, Italiany i Niemcy, wszystek naród katolicki, choć języka obcego. I budy były odpustowe i loterie i zabawy i walki kogucie, jak każde obyczaj.

I suma się nawet odbyła w kościele, choć bez księdza. Na ołtarzu wszystkie świece się paliły. Kielich postawili święty, iżby przypominał Najświętszą Ofiarę. I na „Kyrie“ śpiewali i na „Gloria“ i Ofiarowanie. A czasu podniesienia zamilkli naraz wszyscy. Zdawało im się, że święta Hostia nad ołtarzem się unosi i im błogosławi.

Odbyła się też procesja z chorągwiami i obrazami. A dzwony przydzwaniały i słońce świeciło, a ptaszęta i tangary i gadatliwe papugi wespół z ludźmi chwaliły Boga i Jego dobroć nieskończoną.



Taki to odpust wyprawili kochani Leworamieńczy.

Na ogół mają się dobrze. Są i bogacze między nimi, jak taki Antek Maciejewski, co z Cieślina pod Płockiem pochodzi lub Władek Spancerski spod Łodzi. Po 500 hektarów ma z nich każdy i liczne stada świń, a innego drobiazgu ani nie policzysz. Tu zaraz za nimi idzie Herek Jan z Łąk pod Chojnicami i Kawka Stanisław, co z Osieka pod Kołem pochodzi.

Herkowi i Kawce dał Pan Bóg inne jeszcze bogactwo. Każdy z nich bowiem ma sporą gromadkę dzieci. Ośmnaścioro żyjących, to już prawdziwe błogosławieństwo Boże. Jest jeszcze dużo rodzin mających czternaścioro. A już niżej dziesiątki, to nie ma nikogo.

Dzieci zdrowe i silne. Dwunastoletni smyk wygląda na szesnastoletniego dębczaka. Widać, że im ta Brazylia służy. A grzeczne to i karne i mocno nabożne. Rano i wieczór wspólnie z rodzicami długie odmawiają pacierze i rodziców w rękę całują przed spaniem. A i robotne to i do wszelkiej pracy zdatne. Małeństwa, a już na ojcowskim pomagają zagonie. Bo próżniaków nie znoszą Leworamieńczy. Wszak i oni nie cudem, ale krwawą robotą stali się bogatym ludem.

Główny dochód — to trzoda chlewna. Gospodarze odstawiają od razu kilkanaście sztuk. Wiozą je 30 km do Orleansu, gdzie płacą półtora milrejsa za kilo. Używa się tu wózków o kołach drewnianych bez szprych, co dokoła drewnianych osi się obracają. Pisk to i kwik nie lada, jeżeli kilka wozów zaprzężonych we woły wyrusza w drogę. Ale odzwyczać się nie mogą od tych „bid“, jak się tu nazywają owe wozy.

Z rozmowy z ukochanymi rodakami dowiaduję się, że są zadowoleni ze swego losu. Opuścili kraj rodzinny, by sobie poprawić swój byt. Niektórzy, jak Herek, bo go „Niemcy ździebełko gnębili“. Jędrzej Lisiecki, co z Dużych Jezior pod Strzelnem pochodzi, chciał koniecznie osiąść na własnej ziemi. Dążył do swobody, bo tam w Jeziorach to „przystowce go bili, co je w kraju pozywają włódorze“.

Tęsknią za krajem. Janowi Kraszewskiemu przypominają się ciągle te żyta polskie i pszenice — i tego mu zol. A Szlachcie, co jest Wrońskiego zięć, to się te ptozki polskie przypominają, co tak śpiewają ślicznie — i tego mu zol...

Mówią wszyscy tylko po polsku. Ich dzieci i wnuki również. Nawet młodzi nie zawsze znają język brazylijski. Ale też tu same mieszkają Polaki. Jeden jedyny Mimiec tu się zabłąkał, co to mieszka kole kościoła. Ale i on już nauczył się po polsku. Mówi mi jednak Maciejewski, że go wykupi.

Jedną jedyną wadę mają Leworamieńcy. Kłócą i gniewają się między sobą. O byle co! A to, że krowy weszły sąsiadowi w szkodę. To znowu Stasia od Herków miała coś powiedzieć na Kazię od Wrońskiego. I tak bez końca. Głównie jednak Herki bczą się na Wrońskich. Oba te rody mają licznych krewniaków i kumów i pociotków. Reszta zaś kolonii idzie za jednymi lub drugimi. Dość, że rozłam powstał w Lewym Ramieniu. Są nawet dwie polskie szkoły. W jednej uczy Wincenty Herek dzieci ze stronnictwa Herków. W drugiej zaś Wroński Kazimierz uczy dzieci wszystkich Wrońskich i ich stronnictw.

Nazajutrz był dzień pierwszy misji świętej. A dusze się wznosiły wysoko ponad ziemię. A oczy ich całkiem się przysłoniły na ten świat mizerny, szary i smutny. I temu Panu Jezusowi towarzyszyli w jego wędrówce po ziemi. Jak on dobrym był i miłosiernym. Jak uzdrawiał chore i niemoc mające, jak płaczące pocieszał i wskrzeszał umarłe. I jak ten Judasz go zaprzedał i jak umierać musiał w krwawej udręce, rozpięty na krzyżu... I jak umierał za grzechy człowieka, za nienawiści i wszelakie przestępstwa.

...A dnia drugiego był dalszy ciąg misji. I otwierały się oczy na świat inny, na te krainy cudów i czarów pełne. I chadzali po niebieskich wyrajach. Po ulicach rajskiego Jeruzalem stąpali, co szmaragdem wykładane są i jaspisem... Łączyli się duchem z tymi, co za Barankiem idą i pieśń śpiewają nową, jakiej nikt śpiewać nie może. I umierali prawie z zachwyty i wyżyn pożąдали wiekuistych. A dopiero teraz rozumieli, jak mało jeszcze kochają tego Jezusinka. Jak jeszcze w błocie tarzają swe gwiazdne dusze, co je Bóg przeznaczył na żywot rajski...

...A dnia trzeciego było święto umarłych. I po polach śmierci bładzili. I przypatrywali się korowodom mar przerażających. Jak Bogu ducha oddają ludzie dobre i jak te, co je czekają straszności i ciemnice gniewu Bożego... I do czyścica zstępowali, kędy czyścicowe duszyczki męki cierpią dokuczliwe i gryzące upalenia...

I tegoż dnia odprawili procesję na cmentarz umarłych. Szła procesja światel płonących i głosów jękli-

wych. Na przedzie migotał Chrystusowy krzyż, co go niósł Rudolf od Wrońskiego. Chorągwie niby ptaki łopotały czarnymi skrzydłami. A nieśli je Julek Falizak i Broniek od Zawadzkiego i Jadwisia Szlachciana.

A na grobach zapadłych wśród krzyży i mogił gwarno się zrobiło i uroczyście. Padały krople wody święconej na te mogiły, na te krzyżyki sterczące, a naród w piersi się bił i za umarłe modły odprawiał. I szła dalej procesja żałobna na wszystkie strony cmentarza. Chór śpiewów, modłów i westchnień unosił się nad królestwem śmierci. Podnosił się jak słup, jak fala zda się płynął w słońce blade. Dzwony huczały nieustannie śpizowymi ustami aż palmy dygotały, co straż dzierżą koło cmentarnych bram.

...A dnia czwartego było święto radości. I przed wielkim ołtarzem zgromadziło się wszystko zagniewane i urażę do siebie czujące. I dano im świece zapalone do ręki. A potem głośno przyrzeczenia składali miłości i braterstwa na wieki wieków. Niewinnie posądzone, do win się poczuwające i wszelkie winowajce. I szloch szedł po kościele z okrutnej radości...

A potem dopiero odprawiło się nabożeństwo. Pierwsza Komunia św. dzieci i Komunia generalna całej parafii.

„Wesoły nam dzień dziś nastał“ śpiewali. Słońce świeciło i dzwony dzwoniły. A niebo się roztwierało i sam Bóg Ojciec spoglądał na te duszyczki wniebowzięte i ludowi błogosławił i całej krainie Leworamińców...

## 3000 kilometrów morzem i lądem

Wzdłuż Oceanu. Calma brasileira. Karl Hoepcke. Polityka i loteria. Topią kawę. Słoneczne miasto. Na północ. Zielone piekło. Ostatnie nabożeństwa. Ostatnie przemówienie. Ostatni dzień w Brazylii.

Dnia 30 czerwca dogonił mnie w drodze telegram z Rio Janeiro.

— „Kerguelen“ primeiro agosto. Polmission.

Innymi słowy, bracie, pospiesz się, bo 1 sierpnia odchodzi okręt „Kerguelen“, który zabierze cię do Europy. Poselstwo Polskie.

Zaledwie cztery tygodnie czasu!

Cztery tygodnie, a potem opuszczę tę krainę słońca, palm i wiecznej wiosny. A w tych czterech tygodniach trzeba odwiedzić kilkanaście osiedli polskich. Trzeba jeszcze przebyć 3000 km morzem i lądem. Takie ustaliłem sobie program, gdy nadszedł telegram z poselstwa.

Z Florianopolis, stolicy stanu Santa Kataryny, jadę na północ. Jadę rozklekotanym autobusem, ciągle wzdłuż Oceanu. Po prawej lśnią się bryzgi i wały wodne błyskami odbitych promieni. Na lewo od czerwonej koleiny drogi widać tylko las. Las wdziera się na wzgórze, to znowu schodzi we wgłębienia i wrzyna

się między pola, gdzie porozrywanymi zaciosami odgradza zagrodę od zagrody.

W zagłębieniach i parowach biela się trawy, pokryte szronem. Nic dziwnego — przecież to zima. Czekoladowi tubylcy wyłażą ze swych nor, ćmia fajki, piją gorący „s z i m a r o n“ i wygrzewają się w słońcu.

Przymrozek w gorącej Brazylii! — Oczywiście, że zdarza się to zaledwie kilka razy w ciągu roku. Wczoraj, po deszczu, wieczorem nagle się wypogodziło. Chmury poszły w górę. Gwiazdy się zaiskrzyły. Wypłynął księżyc i migotał śliczny Krzyż Południa. Zapowiedź zimna!

— Będzie jutro mróz — mówiono. I przypuszczenie to spełniło się.

Przypuszczać by należało, że B r a z y l i a n i n jest wybuchowy. Przeciwnie, posiada on nawet dużo flegmy. Utało się też osobne określenie „calma brasileira“ — spokój brazylijski. Uśmiechnięty spokój!

Drogę zatarasowało nam stado bydła, pędzonego do pobliskiej rzeźni. Nasz szofer nie denerwuje się. Wypala kilka papierosów i dowcipkuje.

— „Paciencia“ — cierpliwości, powtarza z uśmiechem.

Nieco później zatrzymuje nas jakiś jegomość, który chce się z nami zabrać. Tłumaczy się jednak, że ma jeszcze przygotować kilka pakunków i musi się przecież ubrać. Mamy więc czekać. No — czekamy. Cze-  
mużby nie! Całe pół godziny!

— „Paciencia“ — powtarzają pasażerowie i szofer — i palą papierosy.

Miejscami wehikuł nasz zbacza z drogi i zieżdza na plażę. Piasek ubtty jak asfalt. Pędzimy więc z szybkością 90 km na godzinę. Czasem fala podleje opony. Czasem obryzga wóz cały i pasażerów. Nad nami mewy krążą żarłoczne. Jazda wspaniała, jazda szalona. A plaża? Pozazdrościłby jej można Brazylii. Ale tu pusto. Czasami tylko jakaś chata rybaka mignie przed oczyma. Oto wszystko.

Itajahy! Koniec podróży za trzydzieści i kilka milrejsów. Stąd dalej w stronę polskich kolonii Masaranduba, Braco do Norte. Sześćset rodzin polskich. Najliczniejsza nasza kolonia w pasie nadmorskim. Na posterunkach duszpasterskich Salezianie Polacy. Młodzieńki X. Antoni Kuczerowski z Krakowa i Stanisław Banisz, który już 35 lat Polski nie widział. A Polska dla niego stokroć piękniejsza od Brazylii. Kraj czarowny, kraj cudowny, co mu się wiecznie śni...

Z powrotem do Itajahy. Dobrze się składa. Najjutrz wychodzi do Rio „Karl Hoepcke“. Okręt ten należy do Niemca i nosi jego nazwisko. P. Hoepcke, przyjechawszy do Brazylii, był biednym kowalem. Miał jednak szczęście. Bo bez szczęścia niedużo się działo w Ameryce. Dorobił się i stworzył nawet własne towarzystwo okrętowe. A poszczególne okręty noszą imiona żony, i jego dzieci. Jest więc „Anna“, „Max“ i „Karl“.

Pasażerowie rozmaici. Przeważają kupcy, jadący w sprawach handlowych do stolicy. Wyrzekają na kryzys. Obecnie nie tylko nic nie zarabiają, ale nawet tracą bezustannie. Brak zbytu. Milrejs skacze

niczem pajac na sznurku. Dziś za dolara płacą 14 mil-rejsów. Płacili już szesnaście, a jutro może kosztować dwanaście. Poprzednie rządy rozkradały majątek narodowy. I dziś trudności ma rząd porewolucyjny prawie nie do pokonania. Skarb został pusty, a długów blisko 300 milionów funtów angielskich. Bogata i biedna Brazylia!

Inni nie bardzo się tym przejmują. Mówią o polityce i loterii. Dwie te rzeczy najwięcej bowiem elektryzują każdego Brazylianina.

Prawie wszyscy tu grają. A codziennie odbywa się ciągnięcie loterii federalnej czy też stanowej. Więc podniecenie ciągle. Dużo też grywa w „Bicho“.

Co to za gra? Istnieje spis zwierząt. A każde oznaczone pewnym numerem. Każde cztery tworzą jedną grupę (np. 11 — 12 — 13 — 14). Wygrane oparte są na ostatnich cyfrach losu, wygrywającego w loterii federalnej.

Któżby nie grał w Bicho! Ciemny kabokło z lasów, który w pobliskim miasteczku „przerznie“ dosłownie wszystko, cokolwiek zarobił przez długie miesiące — pensjonarki, marynarze, a nawet najwięksi dostojnicy brazylijscy.

Gra ta jest surowo zakazana. Na papierze. Czasem schwycą nieostrożnego „biszera“ i odbierają mu gotówkę. Każdy jednak wie, że to tylko komedia. Istnieje bowiem konsorcjum, a nawet osobny bank, prowadzący tę grę. W ostatnich dniach São Paulo zniósł zakaz tej gry. Wdzięczność Paulistów nie do opisania. Pochody, manifestacje dziękczynne. A pra-



sa przyklasnęła zarządzeniu, nazywając „Bicho“ grą najwięcej brazylijską — „jogo brasileirissimo“.

São Francisco! Pierwszy port, w którym „Karl Hoepcke“ zarzuca kotwicę. Miasto nieduże, pełne zieleni i kwiatów. Chodniki w parkach wysypane mielonymi muszlami. Dużo mulatów o sercach poczciwych.

W dwa dni później — Santos. Największy port kawowy świata. Ogromne magazyny zapchane kawą. Dwadzieścia przeszło milionów worków. Ale cóż, kiedy zbytu mało. Dzień przed naszym przyjazdem zatopiono w morzu 40 tys. worków kawy. I tak raz po raz. Coprawda to kawa trzyletnia. Ale zawsze majątek. Recepta ekonomistów nie bardzo fortuna.

Miasto dość ruchliwe. Nowoczesne zbiorowisko will, gmachów i ubogich chat murzyńskich na przedmieściach. Ogromna plaża i moc hoteli kuracyjnych. Wszak milionowe São Paulo stąd o dwie godziny. Gości więc zawsze dużo. Od października do marca ruch tu osiąga swoje maksimum. Ale i zimą można się kąpać. Tu słońce zawsze świeci i woda ciepła. Zimą nawet cieplej, aniżeli nad naszym Bałtykiem latem.

I znowu wicher wiał i morze śpiewało. A dnia czwartego wjeżdżaliśmy do zatoki Guanabara. Rio de Janeiro witało nas w słoneczny poranek niedzielny. Witano tym dziwnym urokiem, jaki roztacza najpiękniejsza stolica na świecie.

W dwa dni później uwozi mnie kurier na północ. Pędzi nad słodką Rzekę, kędy kolonista polski rąbie las tropikalny — najbliżej równika.

Znowu opuszczam ośrodki kultury i na kilkanaście dni zaszywam się w gąszczach lasów dziewiczych. Znowu mnie otacza wiekuista zieleń. Boć w pasie tropikalnym prawie nie ma drzew, któreby traciły liście. Zielone piekło — „inferno verde“, jak mawiają Bryzylianie. Ciepło mimo zimy. Temperatura 26° w cieniu.

Dosiadam muła i cwałuję sobie skroś te gąszcze, płataniny i zielone c z a h a r y.

Pocziwe mulisko, kochane stworzenie. Rok temu po raz pierwszy siedziałem na mule. Przyznam, że trochę się wstydziłem za długouchego wierzchowca. Dziś przepraszam cały ród muli za tę moralną krzywdę mu wyrządzoną. W tutejszych warunkach muł jest stokroć lepszy od konia. Prawie nic nie jada, a sił ma wiele.

Nieraz odbywałem drogę w ciemną noc. Nie było widać nawet własnej ręki. A muł szedł i zaprowadził szczęśliwie. Przeprowałem się wąską ścieżyną po zrębie skalnym nad przepaściami. Muł zniżał łeb do ziemi, obwąchiwał grunt, a potem ostrożnie przechodził. Nieraz się zleciało na łeb na szyję. Wówczas mulisko stanęło i czekało na niefortunnego jeźdźca.

Ostatnie wyprawy z kolonii na kolonię. Ostatnie polskie nabożeństwa. Płacz narodem wstrząsał i żar go przepalał próśb i błagań serdecznych. Z duszy narodu płynął. A łzy polskie, te ukochane polskie łzy, kiej te krwawe perły, wsiąkały w brazylijską ziemię...

— Pozdrówta od nos Polske!

— Ucałujta te nojdroższą i nojlepszą polską zimie!  
Tak wołali na pożegnanie.

Ostatnie przemówienie w Brazylii.

„Cierp i pracuj, a bądź dzielny, bo twój naród nieśmiertelny“.

Posłuszni słowom wieszczą, pracowaliście szczerze, po polsku. Twarda wasza dłoń rąbała odwieczny bór. Nic nie oparło się jej ciosom. Tam gdzie przeszła noga wasza, pozostał wiekuisty ślad polskiej siły i kultury.

W pocie czoła kładliście podwaliny pod stan polskiego posiadania na brazylijskiej ziemi. I wprawialiście w podziw tych, co na was patrzyli. Niechaj więc nadal rozbrzmiewa wesoło chóralna pieśń waszej pracy!

A pracując, pamiętajcie o Bogu i Polsce! „Bóg i Ojczyzna“ — to było święte hasło ojców waszych. Oni z tym hasłem na ustach pracowali w zagrodzie i w służbie Najjaśniejszej Rzeczypospolitej...

W jego obronie nawet krew swą przelewali. Legł Henryk pod Lignicą, Władysław pod Warną, a hetman Żółkiewski pod Cecorą — za Boga i Polskę!

Pracujcie dla Boga i Polski, jako pracowali nasi prawodawcy, wieszczę i kaznodzieje, co umysł i serce wysilali, żeby Bogu i Polsce chwały przysporzyć.

Pracujcie dla Boga i Polski, jako pracowali królowie nasi, hetmani i żołnierze, co bój wiedli z pohańcem na polskich rubieżach.

Bądźcie dumni z tego, że tutaj, na drugiej półkuli, możecie nawiązywać do świetnych tradycji pracy waszych ojców. I radość niech rozpiera piersi wasze,

że przez pracę dorzucacie cegiełkę pod budowę Wielkiej Polski!

Dbajcie o oświatę, popierajcie prasę naszą, podtrzymujcie szkoły, zakładajcie nowe, nie szczydźcie grosza na kształcenie własnych dzieci.

*Nie cudem, ale oświatą i trudem,  
Staniemy się silnym ludem.*

Bądźcie jedni! Partie niechaj sobie będą w kraju, tutaj każdy Polak musi być sobie bratem. Was jest garstka tylko. Poważnieni osłabicie się i lada grom was powali. Siła tylko w jedności, dlatego:

Jednolity front wszystkich Polaków w Brazylii.

Zawiozę Polsce pozdrowienie od was. Pozdrowię jej łąny zielone, bory i rzeki od wód warcianych aż do porohów dniewostrowych — od turni tatrzańskich aż do Bałtyku szmaragdowych fal.

Wkońcu życzenia wam składam; czego wam życzyć, drodzy? Mimo woli słowa św. Pawła cisną się mi na usta.

„Niechaj Bóg spełni wszystkie wasze nadzieje! Pokój i łaska Boża niechaj zawsze będzie z wami!“

Niechaj więc Bóg ziści życzenia wasze, niech błogosławi waszym rodzinom, chatom i polom. Niech was chroni od nieszczęścia, niech przedłuża dni tych, którzy są sercu waszemu drodzy. Pokoju i łaski życzę wszystkim waszym pracom, planom i przedsięwzięciom na brazylijskiej ziemi...

— — — — —  
Jestem znowu w Rio de Janeiro.

Dzień 31 lipca — ostatni dzień w Brazylii!

Ostatnie przygotowania. Ostatnie wizyty. Ostatni wjazd na górę Corcovado, kędy Chrystus króluje.

Ma się ku wieczorowi. Długie cienie pałm kładą się na sukach. Niebo rozpała pokrwawę na złotych pasmach obłoków. Góry Organowe mieniają się jak rubiny. Ogłuchła, niema cisza otula fioletową stolicę i dalekie morze.

Siadam u stóp Chrystusa. Chmury pachną i niesione lekkim wietrzykiem, owijają szczyt, kładą się u moich stóp. W dole śpiewa Ocean. Tak samo, jak rok temu, kiedym tu pierwsze stawiał kroki. Minał rok trudów, radości i wesela. Bywało ciężko, ale Chrystus błogosławił. Więc mimo woli ręce się do modlitwy składają a usta szepczą hymn dziękczynienia...

Taki to był dzień ostatni w Brazylii.

A był to dzień moich imienin...

## *Na Ojczyznę tonó!*

Znika ląd. Towarzysze podróży. Martwe i żywe zbiory. Śmierć nieubłagana. Dusze polskie na Oceanie. Równik. Oryginalny samobójca. Madeira. Lizbona. Za tydzień.

Skończyły się objazdy duszpastersko - oświatowe po Południowej Ameryce. Dnia 31 lipca opuszczałem Rio de Janeiro, opuszczałem te krainy czarowne. Opuszczałem te krainy palm i wiekuistej wiosny — być może — na zawsze.

„Kerguelen“ wypływał majestycznie z zatoki Guanabary na bezkresne, tajemnicze wody Oceanu. Stoję zadumany na tylnym pokładzie. Ląd brazylijski znika mi z przed oczu.

Żał mi tego kraju, co serdecznej mi udzielał gościny. Stokroć więcej żał mi tych polskich pielgrzymów, którzy Balcerowym szlakiem zawitali w te strony — za chlebem.

Co oni teraz robią?

Przedwiośnie tam. A więc płoną poręby przygotowane pod nowe zasiewy. Ciężkie chmury dymu unoszą się w przestworza. Chciwie błyskają mazurskie oczy, a od świtu do zmierzchu grzmią fojsy, topory. A gdy słońce zajdzie, myśli swe niby sokoły wy-

syłają hen za te morza ku Polsce. I tęsknią i popłakują sobie. A wówczas zdaje im się, że to nie palmy szumią, nie piniory, ale kochane nasze polskie sosny.

Biedni pielgrzymi! Przypominam sobie ich tęsknotę i jako czułe pozdrowienia wieść kazali dla ojczystych zagonów. Biedni, bo i przyszłość ich nie bardzo różowa. To też polecam ich opiece Syna Bożego, Jego litościwemu Sercu. W tej chwili bowiem zasłaniają mgły pomnik Chrystusa gigantycznych rozmiarów na górze Corcovado.

Potem już nie widać nic. Słyszą tylko głosy dzwonów, co wiernych zwołują na wieczorne nabożeństwa. Poważne, głębokie uderzenia śpiżowych serc żegnają nas i błogosławią na daleką drogę. A potem zapada noc i czarna atramentowa ciemność rozlewa się w około.

W rzęście oświetlonych salonach ogólne zapoznanie się. A jakie pustki! W pierwszej klasie 8 pasażerów, w drugiej 15, a w trzeciej 125, w tym 30 Polaków.

Jedzie X. George Carrière, Salezjanin. Opuścił na trzy miesiące swój posterunek misyjny w centralnej Brazylii, żeby w Montpellier jeszcze przed śmiercią ujrzeć swą matkę-staruszkę.

Jedzie pani Bironowa, delegatka Urzędu Emigracyjnego z Warszawy. Wraca z inspekcji w Buenos Aires.

Jedzie p. Lion de Prete, konsul hiszpański w Santos z synkiem „Kiki“. Wraca do Madrytu. A tam bę-

dzie prosił o przeniesienie do Warszawy. Sprzykrzyły mu się bowiem gorąca i upały. Tęskni za chłodem i śniegiem. Więc ciągle się dopytuje, czy w Warszawie nie jest czasem zbyt zimno. Czy Wisła zamarza, czy w Białowieży można polować na niedźwiedzie?

Jedzie jeszcze sporo ciekawych figur i figureczek. A więc pani de Gireau, buddystka, która już pierwszego wieczoru rozpoczęła dysputę religijną. Pokonana jednak, więcej tych tematów nie porusza. Jada także dwaj lekarze, jeden Hiszpan, drugi Francuz. Jeden duży, a drugi mały — więc Patem i Patachodem zostali przezwani. Kupcy i urzędnicy różnych instytucji francuskich w Boliwii, Peru i Chile, dopełniają reszty. Tym razem mam nieco kłopotu. — Prócz zbiorów martwych wiozę nie lada zwierzyniec. Są więc dwie małpki z nad Słodkiej Rzeki — „Małpuś“ i „Murzynek“. Jest mały mrówkojadek z okolic Ivahey: są dwa żółwie i jeden pancernik. Świat ptasi reprezentuje jedna papuga, mocno wygadana, dalej dwa śliczne tukany o potwornych dziobach, dwa setykory mieniające się wszystkimi kolorami tęczy, sroka niebieska i kos brazylijski. Prócz małpek i papugi wszystkie owe niebożęta miały wzbogacić zwierzyniec poznański.

Niestety... nie wszystkie miały szczęście zajechać do Polski...

Od drugiego dnia podróży zaczyna śmierć zaglądać do moich piskląt. Pierwszy uległ niewygodom podróży morskiej kos brazylijski. Z ogromnym żalem rzuciłem go do morza.



A dnia trzeciego znalazłem srokę martwą. A piątego dnia zakończył swój żywot jeden z tukanów.

W miarę, jak ginęły pisklęta coraz więcej przywiązywałem się do tych, co pozostały przy życiu. Dogadzałem im, pieściłem. Wszelką siłą chciałem je wyrwać z uścisków śmierci, która im z dnia na dzień groziła. Daremnie. Śmierć zabrała oba setykory mieniające się wszystkimi kolorami tęczy i żółwia i mrówkajada z nad Ivahey.

Porządek dzienny, jak na innych statkach. Rano Msza św., potem przechadzka po pokładzie, lektura i gry.

Wieczorem kino. Jeno, że filmy przedpotopowe i niezbyt nęcące.

Za to nasi śpiewają wieczorem. Jest kilku wśród nich śpiewaków. Więc hukają razem i z mocą taką, że aż pod wszystkie maszty idą ich głosy. Na rufie śpiewają i na ten Ocean lecą szeroki. „Wszystkie nasze dzienne sprawy“ na zakończenie.

Pasażerowie wychodzą z kabin, tłoczą się na tylnym pokładzie i śpiewaków otaczają ciżbą. Niektórzy lokują się na daszku górnego pokładu. Marynarze nawet wdrapują się na liny. Wszyscy chcą się nasłuchać tych polskich melodii.

Dziwna rzecz. Są i Chorwaci, Serbowie, Portugalczycy i Hiszpanie, a nawet Chińczycy. Portugalczycy i Hiszpanie śpiewali po dwa razy i koniec. A nasze wiarusy śpiewają bez zmęczenia i zawsze wynajdują nowe piosenki.

Zresztą nie dziwić im się. Są okrutnie zadowoleni, że wracają. Sprzykrzyła im się Argentyna. Pracy było mało, a tęsknota za krajem nie dawała im spokoju.

Piotr Knychalski z Turka ani rok nie wytrzymał, bo mu się wiecznie śniły polskie bory i te pola polskie, pachnące na wiosnę.

Władysław Karkosiński ze Skarżyna pobyl aż 4 lata. Nie zawsze miał pracę. Ale mimo to uzbierał sobie tych pezów argentyńskich i jest zadowolony, że spłaci nimi swój dług.

Andrzej Ruszczak z Darulina, pod Kaliszem, również cztery lata włóczył się po Argentynie za robotą. Doszedł był aż do niebotycznych Kordylierów.

— Ino, że ta Jargentyna do nicego. Polska to zawsze Polska!

Dnia 7 sierpnia przepływamy r ó w n i k. Uroczystości Neptunowe się nie odbywają. Wykazuje się, że nie ma kandydatów na noefitę. Wszyscy bowiem już byli ochrzczeni, jako że nie pierwszy raz się włóczą po Neptunowym Królestwie.

Opowiada nam kapitan, że tydzień temu rzucił się na tym miejscu do morza pewien Urugwajczyk, pasażer włoskiego statku „Duilio“. Zatrzymano okręt. Spuszczono łódzie ratunkowe. Szukano przez dwie godziny nieszcześnie samobójcy. Tak bowiem każą przepisy. Daremnie. Zostawiono więc dwa pasy ratunkowe i dalej w drogę. A głębokość Oceanu na tym miejscu wynosi 4085 metrów...

Wjeżdżamy na półkulę północną. Zostawiamy za sobą zimę i odrazu lato bierze nas w swoje objęcia. Tylko na południowej półkuli różnicy nie ma żadnej. A nawet cieplej było zimą, aniżeli tutaj latem.

Dnia 9 sierpnia mijamy wyspy Zielonego Przylądka. Jest ich aż 17. Ale wrażenie robią ponure. Nagie skały, ani zieleni, ani życia. Góry te zakrzepnięte, są to masy lawy, jako że wyspy te są tworem wulkanicznym.

Na wyspie São Vincente Portugalczycy założyli stację węglową. Tu więc zaopatrują się w węgiel liczne okręty, idące do Afryki Południowej i Australii.

I dalej płynie „Kerguelen“ po modrych wód rozchwiejach. Warczą śruby i wody kotłują. I za sobą lśniąca brózdę ryje, jako ten brylant na stalowej tarczy.

Obserwujemy ławice ryb, pozostawiających za sobą połyskujący szlak. Podziwiamy harce rekinów i wyrzucające się z wody olbrzymie ryby — tuńczyki. Przyglądamy się rybom latającym, ściganym przez żarłoczne dorady. A wieczorem napatrzeć się nie możemy milionom fosforycznych płomyczków, strug i plam.

Poza tym dzień każdy do siebie podobny. Rano, kiedy słońce wschodzi, marynarze, czarni jak heban Senegalczycy, na twarz padają i zawiniątko całują z ziemią Senegalu i w stronę Mekki zwróceniu, wołają:

— „Niubilai menasardi serdarazim!“

Potem „Kiedy ranne“ naszych i Msza św., wykłady, lektura, przechadzki, śpiewy i muzyka w czarujące, oceaniczne wieczory...

13 sierpnia Madeira — „A perola de Oceano“ — perła Oceanu. Zwiedzamy Funchal i wszystko, co widzenia godne. Jedziemy saniami, co się ślizgają po kamykami wykładanych uliczkach.

15 sierpnia Lizbona. Święto Matki Bożej. Uroczyste je obchodzi stolica Portugalii. Rzewne też uroczystości odbyły się na pokładzie.

Za trzy dni Havre.

A potem z rodakami w Lisieux u grobu św. Tereski. Było za co dziękować i za co się korzyć u Tej, co łaski wyprasza i chroni wszelkie utrapione i po obcych morzach i lądach wędrujące...

A potem Paryż i Wystawa Kolonialna.

A potem polska granica. Polska bożamęka i polski krzyż. Polski policjant. Polskie szyny i słupy telegraficzne...

I skończyła się tęsknota, człowieczy, polski ból.

Otulił mnie ojczyściej ziemi wiew i polskich borów czar. Stąпам po świętej ziemi polskiej.

Lecz radość smętek tłumi. Wychodźca, brat nie wróci! Nie wróci może nigdy...

Więc do braci ukochanej serce się znów wyrывa —  
Drogą Pielgrzymów...

## TOWARZYSTWO CHRYSZTUSOWE

Dla Wychodźców  
Nowicjów Kleryków

## Spis rozdziałów

	Str
1. W szeroki świat . . . . .	1
2. Na pełnym Oceanie . . . . .	11
3. Królowa stolicy . . . . .	24
4. Na szczytach . . . . .	30
5. Życie polskie w stolicy . . . . .	37
6. Kraina Ducha św. . . . .	43
7. Do najmłodszej kolonii . . . . .	50
8. Forpoczty w odwiecznym borze . . . . .	56
9. Pod mahoniowym Krzyżem . . . . .	61
10. Dusze na pustkowiu . . . . .	71
11. Wielka zawierucha . . . . .	78
12. Wzdłuż Słodkiej Rzeki . . . . .	84
13. Wśród polskich kawiarzy . . . . .	90
14. Pomorski lud . . . . .	97
15. Królewskie dni . . . . .	104
16. Czerwonym szlakiem . . . . .	111
17. Metropolia kawy . . . . .	118
18. Polacy w paulistańskiej stolicy . . . . .	124
19. Na nowy rok . . . . .	130
20. Do stolicy parańskiej . . . . .	136
21. Na odpuszcie . . . . .	141
22. Wśród parańskich gospodarzy . . . . .	148
23. Pozdrówka Polskę . . . . .	156
24. Konno przez tereny Indian . . . . .	164

25. Na nocnej straży . . . . .	172
26. Ktoś ty jest, biały człowieku . . . . .	179
27. Przez Paragę . . . . .	186
28. Ksiądz Kominek opowiada . . . . .	194
29. Z kapłańską posługą . . . . .	202
30. W cieniu tropikalnych ogrodów . . . . .	214
31. Południowym szlakiem . . . . .	220
32. Miasto nad Srebrną Rzeką . . . . .	226
33. Pod modrym niebem Argentyny . . . . .	232
34. Nowa ojczyzna . . . . .	238
35. Królowa argentyńskich wód . . . . .	249
36. U najwspanialszych wodospadów świata . . . . .	256
37. W Paragwaju . . . . .	262
38. Przez Argentynę Centralną . . . . .	269
39. Przez Kordobę i Rosario . . . . .	278
40. W stolicy Urugwaju . . . . .	286
41. Z powrotem do Brazylii . . . . .	294
42. Żniwo wielkie . . . . .	300
43. Weadowski odpust . . . . .	309
44. Kazimierzowo . . . . .	317
45. W krainie Leworamieńców . . . . .	327
46. 3000 kilometrów morzem i lądem . . . . .	335
47. Na Ojczyzny łone . . . . .	344

TOWARZYSTWO CHRYSZTUSOWE

Dla Wychodźców

Nowicjów Kleryków

Ośrodek Postulatorski  
Towarzystwa Chrystusowego